

Szanowni Czytelnicy!

Od kilku tygodni zmagamy się z obfitymi opadami deszczu, które powodują wzbieranie rzek zalewających okoliczne tereny. Codziennie śledzimy prognozy i mapy pogody, które niestety nie przyniosą oznak poprawy pogody.

Tereny Zagłębia Dąbrowskiego nie ucierpiały z powodu powodzi, lecz straty w innych regionach Polski są ogromne, porównywalne z powodziami w 1997 roku, a niektórzy twierdzą, że tegoroczna sytuacja jest nawet gorsza. Tym, co różni ją od sytuacji sprzed 13 lat jest zdecydowanie większa liczba terenów zalanych. Straty są tak duże, że Polska ma szanse otrzymać pomoc z funduszu solidarności, z którego finansuje się działania związane między innymi ze stratami spowodowanymi przez kataklizmy. Władze samorządowe i rząd uruchomiły pomoc dla powodzińców, tyle że – jak donosi prasa – są dowody opieszałości urzędniczej w przekazywaniu powodzińcom środków finansowych. Wiele osób zwraca uwagę na fakt, iż wiele terenów zostało zalanych z powodu niewykonania licznych prac inwestycyjnych, które zalecano po powodzi 1997 roku. Ta traumatyczna przede wszystkim dla ofiar powodzi sytuacja wpływa także na przebieg oraz styl kampanii prezydenckiej.

Przyspieszone wybory prezydenckie są konsekwencją tragicznej śmierci Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, który zginął w wypadku samolotu pod Smoleńskiem z małżonką i 94-osobową delegacją państwową w drodze na uroczystości w Katyniu.

Zgodnie z Konstytucją RP obowiązki prezydenta pełni Marszałek Sejmu RP, Bronisław Komorowski, kandydat Platformy Obywatelskiej na urząd prezydenta.

21 kwietnia 2010 Marszałek Sejmu rozporządzeniem wyznaczył przedterminowe wybory prezydenckie na 20 czerwca 2010 roku. Państwowa Komisja Wyborcza do 6 maja zarejestrowała 22 kandydatów na Prezydenta RP, spośród których ostatecznie w szranki wyborcze stanęło 10 następujących kandydatów: Marek Jurek, Jarosław Kaczyński, Bronisław Komorowski, Janusz Korwin-Mikke, Andrzej Lepper, Kornel Morawiecki, Grzegorz Napieralski, Andrzej Olechowski, Waldemar Pawlak i Bogusław Ziętek.

Badania opinii publicznej, które stanowią element trwającej już od kilku tygodni kampanii wyborczej, wskazują na dominację dwóch kandydatów: Jarosława Kaczyńskiego i Bronisława Komorowskiego. O ile na początku kampanii wyraźnie przewodził ten drugi, to z upływem czasu zaczęło rosnąć poparcie dla Jarosława Kaczyńskiego. Pozostali kandydaci odstają w rankingu do pierwszego urzędu w państwie.

Politycy dwóch największych w polskim parlamencie partii politycznych oraz zdecydowana większość mediów utrwalają przekonanie o przekształcaniu się polskiego systemu partyjnego w układ dwubiegunowy, dwupartyjny. Nie podejmują się trudu wyjaśnienia najniższej w krajach Europy postkomunistycznej frekwencji wyborczej, której powodem może być właśnie kurcząca się ilość partii politycznych, a więc również ofert rozwoju Polski.

Nie sprawdza się w Polsce model ograniczonej liczby partii politycznych, które byłby w stanie wykreować trwałe i skuteczne rządy, potrafiące rozwiązywać problemy i modernizować kraj. Najbardziej efektywne okazywały się rządy wyłaniane spośród nawet kilkudziesięciu partii politycznych w polskim parlamencie. Preferowanie modelu dwupartyjnego w polskiej polityce zamiast aktywizować polskie społeczeństwo, może wywołać odmienny skutek prowadzący do marginalizacji politycznej coraz szerszych grup społeczeństwa.

Trwająca kampania prezydencka charakteryzuje się brakiem dyskusji pomiędzy kandydatami na temat modelu prezydentury oraz spraw ważnych dla Polski. Zwłaszcza główni kandydaci nie prezentują swoich programów. Ograniczają się do reakcji na wydarzenia bieżące związane z powodzią oraz wyjaśnień przyczyn katastrofy prezydenckiego samolotu pod Smoleńskiem. Zdecydowanie większy wkład w merytoryczną część kampanii wnoszą pozostali kandydaci.

Zachęcając Państwa do lektury 9 numeru „Nowego Zagłębia”, jednocześnie namawiamy do udziału w wyborach prezydenckich w niedzielę 20 czerwca 2010 roku. Głosujmy mądrze i odpowiedzialnie.

Marek Barański



Nowe Zagłębie – czasopismo społeczno-kulturalne ● Redaguje kolegium w składzie: Marek Barański – redaktor naczelny, Paweł Sarna – sekretarz redakcji, Maja Barańska, Ewa M. Walewska ● Adres redakcji: 41–200 Sosnowiec, ul. Będzińska 65/31, tel./fax: +48 32 733 42 27, +48 512 175 814 ● e-mail: redakcja@nowezaglebie.pl, www.nowezaglebie.pl ● Wydawca: Związek Zagłębiowski ● DTP: Tomasz Kowalski ● Zagłębiarka: redaguje kolektyw w składzie: Maja Barańska, Aleksandra Sarna, Paweł Barański, Paweł Sarna, Piotr Jakowenko (projekt graficzny i skład) ● Foto na okładce: www.istoc.photo ● Współpracownicy: Zbigniew Adamczyk, Paweł Barański, Jarosław Krajniewski, Bogdan Dworak, Przemysław Dudzik, Tomasz Kostro, Dobrawa Skonieczna-Gawlik, Piotr Smerka ● Druk: Progress Sp. z o.o. Sosnowiec ● Nakład: 1500 egzemplarzy ● Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo ingerencji w teksty zamówione. Reklamę można zamawiać w redakcji; za treści publikowane w reklamach redakcja nie ponosi odpowiedzialności ● Zasady prenumeraty „Nowego Zagłębia”: Prenumeratę krajową lub zagraniczną można zamawiać bezpośrednio w redakcji lub e-mailem ● Cena prenumeraty półrocznej (przesyłanej pocztą zwykłą) – 3 wydania – 20 złotych, rocznej – 40 złotych ● Prenumerata zagraniczna przesyłana pocztą zwykłą – 3 wydania – 60 złotych, roczna – 120 złotych ● Wpłaty na prenumeratę należy dokonywać na konto: Związek Zagłębiowski, GETIN BANK SA, 70 1560 1010 0000 9010 0006 2987.

Spis treści

Moda na Sosnowiec	2
Historie zapisane na kartach pocztowych	5
Kiedy powstała Dąbrowa (Górnica)?	7
Muzyka znad Utraty i Sekwany	10
Rok Chopinowski w Zagłębiu	12
Wybory prezydenckie 2010	15
Zapomniany doktor honoris causa	18
Święta początku lata	20
Zagłębiowskie godki	22
Wspomnienia kazachstańskie	23
PROZA	24
PLASTYKA	26
FOTOREPORTAŻ	28
ZAGŁĘBIARKA	31
FILM	39
RECENZJE	41
POEZJA	43
Wróżka	44
Skarbińscy i Stypulkowscy	46
SPORT	49
FELIETONY	51
REGION	52
KALENDARIUM IMPREZ KULTURALNYCH	64

Druk i upowszechnienie czasopisma „Nowe Zagłębie” są współfinansowane przez Zarząd Województwa Śląskiego i gminę Sosnowiec



Sosnowiec łączy



Śląskie. Pozytywna energia

Moda na Sosnowiec

Z Kazimierzem Górskim, prezydentem Sosnowca rozmawia Paweł Sarna

Na przełomie lat 80. i 90. Sosnowiec był miastem przemysłowym. Górnictwo węglowe – i trochę w mniejszym stopniu hutnictwo – przez kilka dziesięcioleci było czynnikiem miastotwórczym. Jakie zmiany nastąpiły w gospodarce miasta po zamknięciu prawie wszystkich kopalń oraz restrukturyzacji, a właściwie znacznej likwidacji przemysłu hutniczego?

Spotykamy się w okresie obchodów powstania, czy raczej restytucji samorządów w Polsce. Dzisiaj może już tego tak nie zauważamy, ale trzeba wspomnieć ten moment, kiedy prawie 30 tys. górników straciło pracę na terenie miasta, gdy zamknięto większość kopalń, z których właściwie została jedna – „Kazimierz Juliusz”. Sosnowiec szczylił się też silnym przemysłem włókienniczym z takimi zakładami, jak Intertex, Politeks, Wanda. Dzisiaj już nie istnieją. Przypominając o tych uciążliwościach, można mieć też satysfakcję, że początki działania samorządu w historii naszego miasta zbiegły się z olbrzymimi wyzwaniem, z którymi w dużej mierze już sobie poradziliśmy. Przy tak dużych zmianach gospodarczych nie ma możliwości, żeby z niewielkim budżetem uporać się ze wszystkimi problemami, zresztą z nimi nie radzi sobie cała Polska. Zmieniliśmy obraz miasta diametralnie. Sosnowiec to dziś zielone miasto, w którym nie ma żadnego trującego komina. Zakłady, które dziś powstają, to przedsiębiorstwa XXI wieku, produkujące w oparciu o najnowocześniejsze technologie. Jesteśmy chyba jedyną gminą, która nie tylko w Polsce, ale i w Europie poradziła sobie tak szybko z terenami poprzemysłowymi. Nie ma już miejsca w Sosnowcu, które by nie było zmienione dzięki wysiłkowi samorządu i mieszkańców. Chodzi nie tylko o tereny pokopalniane, ale wszelkie poprodukcyjne. Są oczywiście pewne obszary, których nie udało nam się przejąć ze względu na przepisy dające możliwość rozprzedawania części zakładów pracy oraz duże uprawnienia syndyków masy upadłościowej. Do strefy ekonomicznej przejęliśmy tereny po kopalni „Miłowice”, kupiliśmy tereny po kopalni „Sosnowiec”, „Niwka-Modrzejów”, częściowo kupiliśmy tereny kopalni piasku „Maczki-Bór”. Powstała tam większość nowych zakładów pracy, gdzie 50 proc. mieszkańców zatrudnionych w przemyśle pracuje w zakładach zbudowanych dzięki staraniom samorządu. Jeszcze ważniejsze od wymienionych są te zmiany, które na co dzień traktujemy jako normalne.

To wszystko wokół, co działa dobrze, nie dziwi, a najłatwiej zauważa się złe rzeczy. To też naturalne.

Gdy rozpoczynałem pracę w samorządzie, Sosnowiec miał 3 lokale gastronomiczne, które ledwo działały. Życie wieczorne właściwie nie istniało. Nie było żadnych funkcjonujących hal sportowych, odnowionych stadionów, miejsc, które nadawałyby się na widokówkę z miasta. Tak wyglądał Sosnowiec jeszcze kilkanaście lat temu. Kryzys u nas zaczął się o wiele wcześniej, praktycznie całe lata 80. były już w tym regionie latami bez inwestycji. Sosnowiec nie był modny, niedobrze było podejmować przedsięwzięcia, które gdzie indziej byłyby dobrze postrzegane. Miasto odczuło to bardzo mocno, szczególnie w latach 90., kiedy doszło do upadku dużej części przemysłu. Dzisiaj wizytówką miasta są Międzynarodowe Targi EXPO SILESIA, najnowocześniejsze zakłady produkcyjne, wraz z budowaną obecnie, największą w Europie, fabryką baterii słonecznych, czy strefy przemysłowe w Dańdówce, Miłowicach i na terenie kopalni „Sosnowiec”. Do tego dodać należy przejęcie obciążenia sportem, kulturą i rekreacją, które kiedyś były utrzymywane przez państwowe zakłady. Wszystko to spoczywa na barkach samorządu i mieszkańców. Ostatnią sosnowiecką spółkę skarbu państwa, Zakłady Budowy Maszyn Wiertniczych przy ul. Mikołajczyka Ministerstwo Skarbu wystawiło niedawno do sprzedaży. Można powiedzieć, że w gospodarce miasta udział państwa już dzisiaj nie ma. Sosnowiec kiedyś kojarzył się głównie z zakładami państwowymi, a dziś mamy już zarejestrowanych prawie 25 tys. podmiotów gospodarczych i sto kilkadziesiąt dużych zakładów różnych branż. Z całego świata inwestorzy przyjeżdżają do Sosnowca i zapewniają nowe miejsca pracy.

Główny ciężar spoczął na władzach samorządowych praktycznie w całości?

Tak, choć były pewne drobne środki pomocowe. Wciąż nie mówi się o tym głośno, ale Kontrakt dla Województwa Śląskiego, który był przewidziany do pomocy gminom górniczym, zrealizowano w ten sposób, że kopalnie zlikwidowano w Zagłębiu, a środki – kilka miliardów złotych – właściwie w całości przeznaczono na część górnosłaską. Wiemy, że tam są olbrzymie potrzeby, ale nasze problemy też należało zauważyć. Nasza część województwa nie otrzymała żadnej znaczącej pomocy. Gdybyśmy ją uzyskali, efekty na pewno byłyby jeszcze lepsze.

Gdzie obecnie zatrudnieni są byli górnicy i hutnicy?

Program Pakiet Socjalny dla Górników polegał bardziej na załagodzeniu problemu społecznego niż na zagospodarowaniu wykwalifikowanych ludzi, którzy byli zatrudnieni w kopalniach. Myślę, że znakomicie mogliby się spełniać chociażby przy budowie warszawskiego metra. Tylko niewielka część górników przeszła do innych firm związanych z górnictwem. Znacząca grupa dopracowała do emerytur w kopalniach śląskich i do dzisiaj część z nich tam pracuje. Wielu otrzymało jednorazowe odprawy, które jednak nie były tak znaczące, aby rzutowały na ich życie. Najwięcej w okresie restrukturyzacji zawdzięczamy pomysłowości i przedsiębiorczości samych mieszkańców Zagłębia. Obserwuję i podziwiam, jak wiele różnych pomysłów mają ludzie na ułożenie sobie dalszej działalności. Wspomagaliśmy, jak tylko mogliśmy tych, którzy chcieli się przekwalifikować, m.in. poprzez powołanie do życia Agencji Rozwoju Lokalnego, która do dziś działa z dużymi sukcesami.

Jeden problem udało się rozwiązać, pojawiają się już kolejne zagrożenia...

Dziś największy problem jest związany z absolwentami szkół wyższych, bo system szkolnictwa był wykorzystywany do łagodzenia skutków bezrobocia. Szkolnictwo wyższe cztero-, a nawet pięciokrotnie w niektórych regionach zwiększyło liczbę kształcących się. Duży odsetek studiujących powoduje, że trzeba dla nich przygotować miejsca pracy. Dzisiaj w całej Polsce dyskutuje się na ten temat, gdyż zachwiane są proporcje między potrzebami rynku a kształceniem kadr. Miasto jest producentem nowoczesnych komponentów i wyrobów gotowych w wielu branżach – i to okazało się najlepszym antidotum na kryzys. To, że zakłady są nowoczesne, uchroniło je przed likwidacją, ale ten potencjał cały czas trzeba wzmacniać. W latach 70. Sosnowiec stał się miastem uniwersyteckim, a nawet szerzej – akademickim. Poza Uniwersytetem Śląskim uruchomiono wydział farmaceutyczny Śląskiej Akademii Medycznej a w latach 90. przez kilka lat funkcjonował jeden z wydziałów Politechniki Śląskiej w Gliwicach. W 1997 roku powstała pierwsza prywatna szkoła wyższa.

Jak Pan Prezydent ocenia rolę szkolnictwa wyższego w Sosnowcu i jego wpływ na wizerunek miasta?

W czasach gdy dominował przemysł ciężki, potrzeba było kadr dla przemysłu. Jako region przemysłowy przypominaliśmy o konieczności wspierania Uniwersytetu

Śląskiego. Dziś wszystkie uczelnie zaczynają współpracować. Na terenie miasta mamy około 15 tys. studentów, a ta liczba będzie jeszcze wzrastać. Najważniejsze dla nas jest wypracowywanie modelu współpracy z uczelniami, co zresztą przynosi już efekty. W ciągu zaledwie kilku lat, w porozumieniu z rektorami i dziekanami, zrealizowaliśmy budynek przy ul. Wojska Polskiego, gdzie są już trzy uczelnie. Powstają tam nowe kierunki, m.in. pielęgniarstwo i inżynieria środowiska. Kolejne inwestycje to nowe obiekty – przy ul. Jedności, wraz ze Śląskim Uniwersytetem Medycznym za kilkadziesiąt milionów, oraz olbrzymi gmach dla Instytutów Neofilologii Uniwersytetu Śląskiego za ponad 70 mln zł przy ul. Grota-Roweckiego. Trwają modernizacje i remonty obiektów przy ul. Będzińskiej, a także mniejszych budynków, jak te przy ul. Jagiellońskiej. To nie jest koniec przedsięwzięć inwestycyjnych, planujemy kolejne również z Wyższą Szkołą „Humanitas”.

W ostatnich latach zwiększyła się także atrakcyjność miasta dla studentów. Jeszcze dziesięć lat temu po południu nie mieli oni gdzie iść. Tylko w tym roku oddajemy młodzieży takie obiekty jak Centrum Treningowe przy ul. Kresowej zrealizowane z myślą o Euro 2012, gdzie do nocy przy sztucznym oświetleniu można grać w piłkę, trenować, ćwiczyć. Niedawno zrealizowaliśmy dwa kompleksy nowoczesnych boisk na Juliuszu i w Zagórzu, kompleks lekkoatletyczny z salkami siłowymi, kryty basen na Pogoni, boisko AKS Niwka po gruntownej modernizacji. To wszystko służy rozwojowi młodzieży.

Powiedział Pan, że jeszcze niedawno miasto nie było modne wśród inwestorów. Czy można powiedzieć, że jest już moda na Sosnowiec?

Świadczą o tym inwestycje, o których mówiłem, ale także nagrody, które otrzymujemy jako najbardziej innowacyjna gmina, w której certyfikowana jest lokalizacja inwestycji. Nasza Podstrefa Sosnowiecko-Dąbrowska od dawna przyciąga inwestorów. Mamy już w budowie dwa obiekty hotelowe. Jeden z nich będzie bardzo duży, wkomponowuje się w projekt przebudowy ul. Narutowicza i terenów kopalni „Sosnowiec”. W planach są kolejne dwa. To wszystko także przyciąga inwestorów.

Od kilku lat województwo śląskie mocno się promuje. Trzeba przypomnieć, że w Polsce nadal nie kojarzy się najlepiej. Sosnowiec mimo wielu swoich atutów nie znalazł się w nowej kampanii wizerunkowej województwa. Jaki jest tego powód?

Jest to szeroki problem związany z budową wizerunku Polski, która chciałaby się promować jako nowoczesny kraj. Ale nowoczesny kraj musi mieć także nowoczesne produkty.

Przykładem naszych problemów tożsamościowych jest polski pawilon na EXPO 2010 w Szanghaju, gdzie z jednej strony widać nowatorski design, a z drugiej stylistykę wycinanek ludowych. Cały czas podobnie jest w naszym województwie. Żeby jednak to zrozumieć, trzeba tu żyć, tu być i patrzeć na to z różnych punktów, także z perspektywy Sosnowca czy Zagłębia. Obserwujemy stąd bicie się z myślami, czy bardziej iść w kierunku tradycji i pokazywać pewien schematyczny, znany już obraz Śląska, w którym jest przemysł ciężki, górnictwo, a więc patrzeć przez pryzmat historii, czy promować go jako region nowoczesny. Chciałbym, aby



Kazimierz Górski, prezydent Sosnowca. Fot. arch. UM w Sosnowcu

ten właśnie nowoczesny region był promowany od Częstochowy, poprzez Zagłębie, aż po Cieszyn w kategoriach różnorodności. Niewiele regionów ma tyle atutów, a wśród nich są miejsca pielgrzymkowe Jasnej Góry, główne dwie rzeki Polski przepływają przez Śląskie, tu znajdują się czyste źródła Wisły, mamy malowniczą część Polski z Jurą, Beskidem Śląskim i Żywieckim. Atutów ten region ma bardzo dużo, być może wielość odrębności regionalnych i nadmiar atrybutów powoduje, że jeszcze nikomu nie udało się stworzyć jednego produktu promocyjnego. Przeszkadza nam w tym także obciążenie historyczne, bo my nie potrafimy się od tego uwolnić tak jak inne narody i promować tego, co z punktu widzenia historycznego jest niewygodne. Jako przykład można wskazać problem z Trójkątem Trzech Cesarzy. Historycznie było tu centrum Europy i tak je trzeba promować. Myśmy do Europy nie wchodzili, nie pojawiliśmy się w niej z dalekiego kraju, walka o wpływy była tu już widoczna kilkaset lat temu. Trzeba pokazać, że ten region był

bardzo ważny dla Europy, a nie przypominać ciągle, że byliśmy ciemniejsi. Dziś też chcemy być ważni i dla Polski, i dla Europy. W ten sposób prowadząc promocję, by pokazać Śląsk i Zagłębie bez stereotypów, byłoby o wiele łatwiej. Za dużo jest u nas krytyki oraz lęków, a za mało twórczego myślenia. My, wiedząc o tym, nie czekaliśmy i rozpoczęliśmy pracę nad promocją gminy. Region zagłębiowski odgrywał rolę jako pewien łącznik – granic, wpływów, kultur, a teraz łączy miasta aglomeracji, w której jesteśmy. Stąd właśnie nasze hasło promocyjne „Sosnowiec łączy”. O tym chcemy przypominać, to chcemy promować. Czasami serce boli, gdy w różnych statystykach nie uwzględnia się Zagłębia.

Sosnowiec jest częścią Zagłębia Dąbrowskiego. Czy władze miasta widzą potrzebę budowania tożsamości regionalnej, a jeżeli tak, to w jaki sposób można ten cel osiągnąć?

Rozmawiałem na ten temat z prezydentami i burmistrzami innych miast zagłębiowskich, przy czym trzeba wspomnieć, że strategia zagłębiowska była opracowana wcześniej niż strategia wojewódzka, czy metropolitalna. Celem jest cały czas to, żeby do tej szerokiej strategii GZM-u weszły jeszcze Czeladź i Będzin oraz Knurów z Mikołowem. Ale istnieje w tej chwili problem ustawodawczy. Idea, którą ja również będę chciał szerzej przedstawiać, dotyczy tego, aby w powiecie grodzkim, na podobnej zasadzie jak zrzeszają się gminy w powiecie ziemskim, mogły zrzeszać się także miasta. Nie powstawałyby przez to żadne odrębne byty, a dzięki temu można by prowadzić wspólną gospodarkę odpadami, utrzymania dróg, także projektów przestrzeni publicznej, układów komunikacyjnych. Wszystkie miasta stykają się przecież z sobą, można to wszystko zorganizować wspólnie. Może wreszcie ktoś przy tych perturbacjach z kolejami regionalnymi zauważy, jak dobrze współpracujemy w regionie, jeśli chodzi o transport publiczny między miastami, obsługując komunikację ponadlokalną, która powinna być dofinansowywana przez stronę rządową. My bierzemy to na siebie już od lat – tramwajem, autobusem, pociągiem można przejechać trasę z Dąbrowy Górniczej do Gliwic na jednym bilecie. O tym rzadko się nie mówi. Miasta na prawach powiatu, których jest większość w tej aglomeracji, mają o wiele skromniejsze budżety od miast wojewódzkich czy byłych miast wojewódzkich, a ponoszą koszty, podobnie jak Wrocław, Warszawa albo Kraków. To powoduje, że przy szczupłości budżetów trzeba oszczędzać, by wypełniać te obowiązki, którymi miasta obciążono.

Czy uważa Pan, że Zagłębie powinno mieć własne logo, własny herb?

Dzisiaj jestem otwarty na taką dyskusję, czy promować Zagłębie jako subregion, czy w ra-

mach Związku Metropolitalnego. Będziemy grać kartą dwóch obliczy tej aglomeracji, które nawzajem mogą się uzupełniać. Na ten drugi pomysł zresztą jest zgoda partnerów z części górnośląskiej. Była ona wyrażona po moim wniosku, by aglomeracja nazywała się Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia. Termin Silesia bierze się stąd, że trzeba mieć znak rozpoznawalny na zewnątrz. Z punktu widzenia promocyjnego to nas lokuje w świadomości – to jest logo, które pokazuje nas na mapie, a czasami wciąż trzeba objaśniać specyfikę tego regionu, mówić o jego odrębności.

W tym roku mija 20 lat od reaktywowania samorządu terytorialnego. Czy ta instytucja sprawdza się w praktyce zaspokajania potrzeb lokalnych mieszkańców, czy stwarza dogodne warunki dla zapewnienia rozwoju miasta?

W takich miastach na prawach powiatu jak Sosnowiec 95 proc. życia mieszkańców zależy od samorządu – od komunikacji, poprzez ochronę zdrowia, po edukację. Na pewno ta struktura się sprawdziła. Jeśli ktoś jeszcze w to nie wierzy, to podam przykład. W Polsce mniej więcej połowę środków na inwestycje ma sfera rządowa, a połowę samorządy. Jeśli wskazać przykłady inwestycji samorządowych, to widać, że ich w ogóle nie da się zliczyć, a te najważniejsze mieszkańcy widzą. Co w tym czasie udało się wybudować rządowi? Czekały na zapory, drogi, stadiony na Euro. Są one w tej chwili budowane, ale ze środków unijnych. Dysponowaliśmy takimi samymi środkami. Dziś tak się wszyscy przyzwyczaili do samorządu, że traktują jako oczywistość to, że on jest – i to jest chyba największym osiągnięciem. Polska transformacja samorządowa uniosła ciężar przemian.

Jest Pan prezydentem już drugą kadencję. Wcześniej był Pan członkiem zarządu miasta. Mandat radnego uzyskał Pan w roku 1994. Jest więc Pan członkiem elity samorządowej od 16 lat. Jak Pan ocenia ten okres w działalności samorządu i rozwoju miasta?

Być radnym jest pięknym przeżyciem, bo człowiek może wymyślać dla swojego miasta coś nowego, dyskutować na tematy ważne dla miasta. Potem przechodząc do zarządu, zderza się z tą drugą stroną – jak to wszystko należy zrobić. Jako radny walczyłem o modernizację na Śródułi, a dopiero dziś kończymy to zadanie. To pokazuje, że samorząd to jest walka o to, by doprowadzić do końca pewne zadania, nawet gdy z punktu widzenia zadań priorytetowych są one na dalekim planie. Samorząd nauczył się pewnej konsekwencji w inwestowaniu. Polaków często ogarnia taki słomiany zapał, co widać często na szczeblu centralnym – nagle rzucane jest jakieś nowe hasło, bo trzeba w telewizji coś powiedzieć, a potem ginie wśród innych pomysłów. W samorządzie

tak się nie da, bo ten kto był na zebraniu, przyjdzie i zapyta o to, co było obiecanie, i będzie pytał wielokrotnie. Nie da się zbudować czegoś dużego, gdy się nie planuje z wyprzedzeniem na kilkanaście lat. Po to była również budowana w Sosnowcu strategia rozwoju. Przez to, że samorząd tak dobrze się sprawdził w ostatnich latach, dostaliśmy na barki potężne obciążenia, które finansowo nie zawsze jesteśmy w stanie udźwignąć, ale nadrabiamy braki finansowe sprawnością organizacyjną.

Jakich największych problemów do tej pory nie udało się rozwiązać?

Na pewno bardzo ważnym problemem, którego nie udało się rozwiązać w całej Polsce, jest problem mieszkaniowy. Szczególnie chodzi o odpowiedzialność za osoby w gminach, które nie są w stanie samodzielnie pozyskać lokalu. Całą odpowiedzialność przerzucono na samorządy. Do tego doszła też kwestia zwrotu nieruchomości, które cały czas są gminom odbierane. Drugą sferą jest polityka społeczna; rozbudowane struktury ośrodków pomocy społecznej też spoczywają bez wystarczających środków na gminach. Trzeci problem związany jest z zapisem w ustawie, poprzez który miasta na prawach powiatu zobowiązane zostały do utrzymania dróg krajowych na terenie miast. Sosnowiec z tego powodu ma olbrzymie obciążenia. W latach 70. wybudowano tu drogi, które dziś mają prawie 40 lat, wszystkie wymagają modernizacji, a my otrzymaliśmy je „w spadku”.

ponieważ od 16 lat Sosnowcem kieruje lewica, proszę powiedzieć, co jest wyznacznikiem lewicowego samorządu?

Przypominam zawsze, że kiedy potrzeba czternaście boisk przy szkołach, to trzeba je wybudować, a nie jeden obiekt na pokaz, jak na przykład wielką halę, którą wykorzystuje się kilka razy w roku. Gdy dojdziemy do końca transformacji i będziemy mieli więcej pieniędzy, to stać nas będzie na coraz większe



Wydział Nauk o Ziemi UŚ z nową elewacją. Fot. arch. UM Sosnowiec

projekty. Lewica działa w ten sposób, aby we wszystkich dzielnicach żyło się lepiej. Dzięki temu powstają place zabaw dla dzieci, boiska, domy pomocy społecznej w standardzie europejskim, które przebudowaliśmy i skończyliśmy w tym roku. Trwa remont szpitala, potężna inwestycja, właściwie w dziedzinę, której powinniśmy się wystrzegać, bo to przecież domena Ministerstwa Zdrowia. Musimy to brać na siebie, ale dzięki temu będziemy mieli jeden z największych i najnowocześniejszych szpitali w Polsce. Dalej sprawa inwestowania w kulturę, nowe obiekty – w Maczkach, w Kazimierzu. Kolejny punkt to inwestowanie w oświatę. W naszym mieście tego nie odczuwamy, ale gdzie indziej krzyczą, że nie ma przedszkoli, nie ma żłobków – a u nas są. Budujemy następne przedszkole, kolejne rozbudowujemy przy ul. Wawel. Zachowaliśmy strukturę placówek oświatowych – u nas nie trzeba dowozić dzieci do szkół z daleka. Sosnowiec jest miastem zielonym, są parki, ogrody działkowe, których nie będziemy likwidować, by budować hipermarkety, bo to są zielone płuca miasta. To wszystko pokazuje, że samorząd może być i jest coraz bliżej ludzi.

Historie zapisane na kartach pocztowych

**W porównaniu z Będzinem albo Czeladzią Sosnowiec zdaje się być młodym, bo zaledwie stu-
ośmioletnim miastem. Jego rozkwit na przełomie XIX i XX wieku ściśle związany był z intensywną
industrializacją regionu, ale nie tylko boom przemysłowy miał miejsce w tamtym okresie.**

Patrycja Wites

Gdy w 1865 roku w Niemczech powstała pierwsza karta pocztowa, nikt nie spodziewał się, że ta skromna forma korespondencji wkrótce zawojuje świat, jednak już od lat 90. XIX wieku zapanał prawdziwy pocztówkowy

kroć tylko damy się porwać obrazom miasta sprzed lat.

W podróż śladami dawnego Sosnowca powinniśmy wyruszyć tam, gdzie wszystko się zaczęło, czyli... na kolei. Sosnowiec zaistniał na mapach

ścia granicznego. Jedną z nich była komora celna, która nie zachowała się do naszych czasów – dziś na jej miejscu stoi budynek szkoły przy ulicy Kilińskiego. Co do samego dworca, to choć na przestrzeni lat przeszedł

wiele przeobrażeń, wciąż niewiele się różni od tego wzniesionego w 1859 roku. Największe zmiany nastąpiły przed pierwszą wojną światową, kiedy dobudowana została dodatkowa hala, oraz w latach 70., kiedy wyburzono część stylowej pierzei wschodniej, na miejscu której powstał przylegający do dworca biurowiec. W związku z przebudową centrum Sosnowca na setną rocznicę nadania praw miej-



Dworzec Główny na starej pocztówce. Fot. arch. aut.

szął. Własne karty wydawały zarówno duże miasta, jak i niewielkie miejscowości, widokówki podlegały modom, zmieniały się ich formy oraz wygląd. Od początku kupowano je jako pamiątki bądź przysyłano na nich informacje z wypraw do nowych miejsc. Ich grafika przedstawiała obiekty reprezentacyjne i ważne dla lokalnych społeczności. Dziś możemy powiedzieć, że czas kart pocztowych minął wraz z rozwojem nowoczesnych i znacznie szybszych form komunikacji, lecz pocztówki, które kiedyś umożliwiały podróżowanie w wyobraźni razem z ich nadawcą, pozwalają nam dzisiaj na odbywanie podróży w czasie, ile-



Dworzec Główny obecnie. Fot. Patrycja Wites

dzięki uruchomionemu w 1859 roku odgałęzieniu Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, która przyczyniła się do powstania okazałego dworca oraz budowli towarzyszących, związanych z funkcjonowaniem ówczesnego prze-

skich budynek poddano gruntownej modernizacji, przywracając mu dawną świetność oraz przebudowano przejście podziemne łączące „Patelnię” z ulicą Kilińskiego. Dziś miasto może pochwalić się jednym z najbardziej zadbanych



U góry dworzec Maczki na starej pocztówce. Fot. arch. aut. Na dole dworzec Maczki obecnie. Fot. Patrycja Wites



dworców w regionie, a nawet w kraju.

Los znacznie okrutniej obszedł się z drugim dworcem, równie często goszczącym na pocztówkach z początku ubiegłego wieku. Mowa o Maczkach, dziś dzielnicy Sosnowca, która na kartach historii zapisała się pod nazwą Granica (ros. *Граница*). Powstały tam w latach 1839-1848 neorenesansowy dworzec był ostatnią stacją Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej w zaborze rosyjskim. W latach swej świetności w budynku mieściły się między innymi bogato zdobiona restauracja, okazałe

pomieszczenie poczekalni, a nawet apartamenty dla cara Rosji. Także w tym przypadku kolej przyczyniła się do rozwoju osady, choć dworzec w Maczkach nie miał tyle szczęścia, co główna stacja kolejowa miasta. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 roku i przesunięciu granicy znaczenie dworca w Maczkach radykalnie zmalało. Obecnie to jedynie marny cień dawnej potęgi; reprezentacyjne pomieszczenia zostały zamurowane, a zabytkowy budynek niszczeje.

Oba dworce łączy jeszcze jedna historia, którą często pomija się, mówiąc o dziejach miasta. Otóż zarówno stacja w Granicy, jak i dzisiejszy Sosnowiec Główny w styczniu 1863 roku zostały zdobyte przez powstańców walczących z wojskami carskimi, co w latach narodowej niewoli było wydarzeniem ogromnej wagi.

Widzimy zatem, że dworce kolejowe odegrały ogromną rolę w powstaniu i rozwoju Sosnowca, jaki znamy w jego obecnym kształcie. Nic dziwnego, że często to one utrwalane były na kartach pocztowych, dziś pozostających dla nas świadectwem minionej epoki. Wśród papieru i farby drukarskiej znaleźć można niezliczoną ilość opowieści o przeobrażeniach Sosnowca oraz jego historii, która często gdzieś nam umyka, gdy przemierzamy miasto w codziennym pośpiechu.

Kiedy powstała Dąbrowa (Górnicza)? cz. 2.

Jarosław Krajniewski

Osadnicy

Kiedy na rolach, zwanych później Dąbrową, pojawili się pierwsi osadnicy? Pewną odpowiedź dają już cytowane w poprzedniej części artykułu akta, którymi posłużył się Marian Kantor-Mirski. Jeden ze świadków ze strony mieszczan mówił o *Panu Strusiu, Staroście Będzińskim, który niektóre chałupki popostawiał na Grontach Mieyskich Radocha zdawności zwanych*. Inny z kolei podaje: *Imci Pan Korczakowski niektóre chałupy y Karczme na własnych Grontach Mieyskich Dąbrowa nazwanych zaczął kazać stawiać*. (Notabene – te słowa być może stanowiły kanwę historii, na której oparł się Kantor-Mirski, pisząc o dwóch Dąbrowach; do tej kwestii jeszcze powrócimy). Imię Pan Korczakowski to wspomniany poprzednio „ekonom” starosty – Franciszek Korczakowski. Funkcję tę (odpowiadającą w zasadzie roli wicestarosty) sprawował w latach 1735–1758, a więc już za urzędowania starosty Jana Dembowskiego. Ciekawa jest informacja o osadnictwie już za czasów starosty Strusia. W Będzinie dwóch starostów nosiło to nazwisko: Albrecht Struś herbu Korczak, starosta w latach 1686–1699 oraz Andrzej Struś (być może syn), także herbu Korczak, starosta w latach 1712–1723. W zależności od tego, na którego Strusia byśmy postavili,

tak osadnictwo dąbrowskie możemy przesunąć na drugą lub trzecią dekadę XVIII stulecia (pamiętamy o Annie Lisowej z Dąbrowy w roku 1726) lub nawet końcówkę wieku XVII.

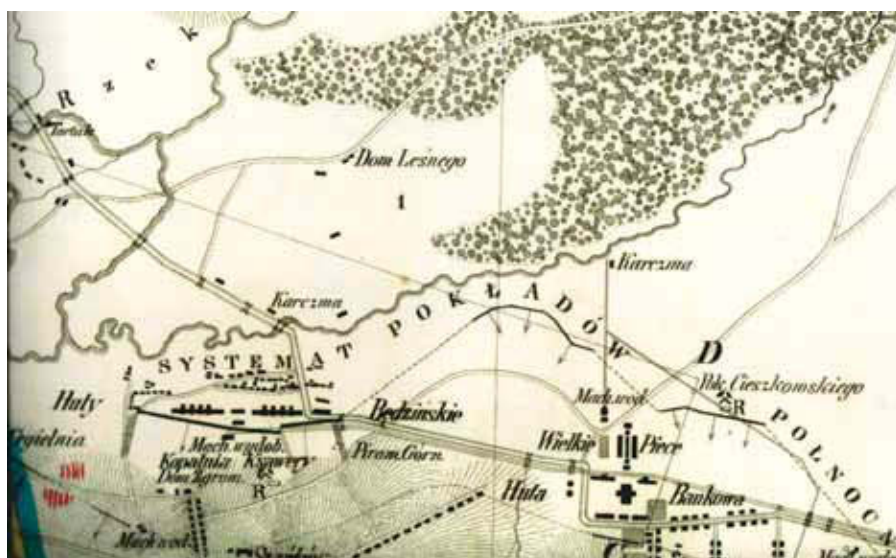
To jednak nie wszystko. Dokładna analiza będzińskich ksiąg metrykalnych i innych dokumentów pozwoliła przesunąć początki Dąbrowy o dalszych kilkadziesiąt lat, aż do połowy XVII wieku. W tych dokumentach Dąbrowa pojawia się już w roku 1655, przy chrzcie dziecka Szymona Gołego i jego żony Reginy oraz w aktach wizytacji biskupiej z tego roku. Co więcej, nie było to pierwsze dziecko owych małżonków, gdyż w 1652 chrzcili swoje dziecko urodzone w Woli Koniecpolskiej. A że akta owej wizytacji mówią o wsi *Dąbrowa seu Koniecpolska Wola*, mamy zatem do czynienia bez wątpienia z tą samą miejscowością, której nazwa początkowo nie była jednoznacznie określona. Późniejsza wizytacja (1721) potwierdza to mówiąc o *Dąbrowie seu Koniecpolskie*. Na dzień dzisiejszy możemy zatem uznać, że rok 1652 jest pierwszym, w którym pojawia się Dąbrowa – najpierw jako Koniecpolska Wola, ale trzy lata później już jako Dąbrowa. Wśród mieszkańców wsi w latach 1654–1656 możemy odnaleźć jeszcze małżeństwo Grzegorza i Zofię Bednarczyków oraz Macieja Wieczorka.

Zygmunt Stefan Koniecpolski

Kim zatem był ów Koniecpolski, z którego woli powstała nowa wieś? W naszym przypadku chodzi oczywiście o Zygmunta Stefana Koniecpolskiego, pieczętującego się herbem Pobóg, sędziego ziemskiego sieradzkiego, a w latach 1642–1657 starosty będzińskiego. W okresie tym pojawia się na będzińskich dokumentach, jak choćby na zatwierdzonym własną ręką statucie cechu kowali i bednarzy (1644) przechowywanym w zbiorach będzińskiego muzeum. Sprawy urzędowe nie absorbowaly go na tyle, aby zaniechać swoich historycznoliterackich zainteresowań, skoro w roku 1651 opracował *Rodowód Domu Koniecpolskich*. Urodził się w roku 1588 jako najmłodszy (czwarty) syn kasztelana rozpińskiego Mikołaja Koniecpolskiego i Zofii z Przerębskich. Już od najmłodszych lat przeznaczony był do służby wojskowej, choć równocześnie – przynajmniej do rokosa 1606 roku, uczył się w Krakowie, razem z trzema młodszymi od niego kuzynami Stanisławem Koniecpolskim, późniejszym sławnym hetmanem. W hierarchii urzędniczej pisał się od młodzieńczych lat: w roku 1623 był starostą szczercowskim, 1626 – sędzią ziemskim sieradzkim. Tę ostatnią funkcję pełnił zapewne równocześnie ze starostwem będzińskim, skoro w 1648 roku wraz z województwem sieradzkim podpisał elekcję Jana Kazimierza. Żonaty dwukrot-

Fragment mapy Hempla. Fot. arch. aut.





Fragment mapy Hempła. Fot. arch. aut.

nie, po raz drugi w roku 1642 ze starościną będzińską Dorotą Gosławską, wdową po staroście Krzysztofie Gosławskim, dzięki której objął starostwo będzińskie.

Wraz z żoną w latach 1644 i 1652 zapisał znaczną kwotę na rzecz Bractwa Różańca Świętego przy będzińskim kościele Świętej Trójcy, które w zamian, po śmierci darczyńców, w każdy poniedziałek (a w razie trudności w dniu następnym) miało odprawić *Requiem* za zmarłych małżonków.

Z pierwszego małżeństwa miał trzech synów, z których wieku dorosłego dożył tylko Adam, którego – jak pisał ojciec – w piętnastym roku do Niderlandy wyprawił i tam służył, na elekcję króla Władysława powrócił, acz bez woli mojej i jmcj pana krakowskiego, niezaznał łaski naszej. Zmarł bezdzietnie około 1647 roku. Z dwóch córek Zofia Anna wyszła za mąż za niejakiego Bedlińskiego, z którego to małżeństwa urodził się Karol Bedliński, dla którego to m.in. dziadek Zygmunt spisał dzieje swego rodu. Prawdopodobnie też tą właśnie drogą – przez koligacje rodzinne – pojawił się w Będzinie kolejny starosta: Piotr Bedliński z Bedlina (starosta 1657 – po 1680).

Dwie Dąbrowy

Marian Kantor-Mirski pierwszy postawił tezę o istnieniu w XVIII wieku dwóch Dąbrów. Hipotezę tę wysnuł na podstawie dokumentów sporu z lat 1755–1758. Szczegółowa analiza tych dokumentów nie ułatwia zrozumienia toku myśli Kantorowej, a spowodowała jedynie lawinę zarzutów o niekompetencję i brak warsztatowego przygotowania naszego monografisty (z perełką w postaci *mistyfikacji opartej na niepojętym i niekontrolowanym naukowo wizjonerstwie Kantora*). Spróbujmy zatem na rzecz spojrzeć raz jeszcze, posługując się jako podstawą swoistą „dyskusją” toczoną między Kantorem (tekst zasadniczy opracowania o Dąbrowie Górniczej, wydany w 1994 roku) a Janem Przemysławem Zielińskim (przypisy i komentarze tamże).

Zakładając (jak się w sumie okazuje – słusznie) dawne istnienie Dąbrowy, doszukuje się Kantor śladów owej osady w omawianych dokumentach. Ale wnioski, jakie z nich wyciąga, w istocie są niedopuszczalne. Zresztą cały ten fragment Kantorowego dzieła jest absolutnie niejasny, a wnioski, jakie płyną z jego lektury, jedynie potwierdzają słuszność tezy zawartej w ostatnich akapitach niniejszego szkicu.

Żeby nie męczyć czytelnika zawiłymi meandrami cytowanych dokumentów można stwierdzić, że Marian Kantor-Mirski widział dwie Dąbrowy, jedną starościńską (tzw. Stara Dąbrowa) oraz mieszczańską, będzińską (Radocha, Dąbrowa). Położenie tej pierwszej da się oczywiście dokładnie określić – to wzgórze, na którym stoi budynek „Szttygarki” i Szkoły Podstawowej nr 4. Z kolei Radocha to nazwa pastwiska leżącego pod lasem należącym do Będzina.

Rzecz w tym, że na dzień dzisiejszy nie da się dokładnie określić ani położenia tego lasu, ani pastwiska. Wiadomo jedynie, że leżały one na wschód od miasta, gdzieś na pograniczu Będzina i Dąbrowy Górniczej. Na przełomie XVIII i XIX wieku las ten już nie istniał. Położenie owej Radochy, a co zatem idzie także tej „mieszczańskiej” Dąbrowy widział Kantor mniej więcej w okolicach Koszelewa i kopalni Paryż. To położenie zdecydowanie bardziej odpowiada położeniu gruntu miejskiego (łan ziemi przylegający do Czarnej Przemszy), na którym osiedlili się pierwsi osadnicy z Będzina. Prawdopodobnie tego miejsca dotyczy zarówno zapisek o Woli Koniępcowskiej, jak i domach naprawianych przez starostę Strusia. Także dokumenty sporu mówią o dwóch grupach osadników, którzy nie mogli przecież budować swych domostw w tym samym miejscu. Z drugiej strony, mieszczański zarzucił ekonomowi Korczakowskiemu, że zabiera właśnie owe grunty miejskie. Być może odpowiedź jest w wypowiedzi jednego ze świadków procesu, który zeznał, że grunta dąbrowskie są w samym ciągu ról miejskich, ciągnące się do granic dóbr Jaśnie Oświeconego Xięcia Imię Biskupa Krakowskiego na pastwiskach i uwrociach miejskich. Najbliższe ziemie należące do biskupstwa krakowskiego to Łągisza (w granicach Księstwa Siewierskiego) oraz Gołonóg (wchodzący w skład tzw. klucza sławkowskiego) – w tym przypadku chodzić musiało raczej o Gołonóg. Być może zatem cała rzecz zasadza się o jeden i ten sam grunt, tylko z różnej strony obserwowany. Zwłaszcza że ciśnie się na usta jeszcze jedno pytanie bez odpowiedzi

Fragment mapy Hempła. Fot. arch. aut.





Typ dawnego domku na Starej Dąbrowie.

(Ze zbiorów fotogr. p. A. Vietrose)

– dlaczego to owo nowsze, XVIII-wieczne osadnictwo, ochrzczone zostało mianem Stara Dąbrowa?

Dąbrowianie a potop szwedzki

„Potop” szwedzki na ziemi, którą zwiemy dzisiaj zagłębiowską, urosł do niebanalnej legendy. Wiemy o zniszczonych miastach i zamkach, zrabowanych dobrach, zgwałconych kobietach... – ale czy na pewno wiemy. Okazuje się, że z „Potopem” u nas było tak, jak z kradzieżą samochodów na Placu Czerwonym. Zainteresowanego czytelnika odsyłam do książki *Szwedzi w Będzinie* – tutaj w skrócie tylko powiemy, że jedyny oddział szwedzki, jaki pojawił się w naszej okolicy w tamtym jakże ciemnym dla Rzeczypospolitej okresie, liczył jeden regiment rajtarów (czyli około 400 ludzi), a miał za zadanie zaopatrzenie armii szwedzkiej oblegającej Kraków. Do niewielkiej potyczki doszło pod Wojkowicami Kościelnymi, kiedy to regiment piechoty pułkownika Wolffa opuścił Siewierz i podążał do Będzina na spotkanie ze Stefanem Czarnieckim. Do spotkania nie doszło, gdyż właśnie pod Wojkowicami dopędzili ich rajтары Wacława Sadowskiego (w służbie szwedzkiej) i zmusili do przejścia na stronę Karola Gustawa.

Co to ma wspólnego z Dąbrową? Otóż według Mariana Kantora-Mirskiego w czasie potopu szwedzkiego Stach i Jaśko Bednarczyki (czyżby synowie wzmiankowanych w latach 1654–1656 Grzegorza i Zofii?) Krzych Kasprzak i Kuba Chrzęściel na ochotnika poszli do oddziału Wolffa, co stał w Siewierzu i tłukli obuszkami Szweda, aż dziw brał wszystkich. Maciek Stach i Bartek Baldys też nieusiedzieli

w domu. Wyrwawszy się na wole poszli do Dankowa pod Krzepice i tu zaciągnęli się do drużyn Warszyckiego. Przy oblężeniu warowni milickiej pierwsi wdarli się na bastion i toporami utorowali drogę towarzyssom. Ich zasługą, że Lindorn opuścił Pilicę a rajтары jego bez pluderków uciekały. Skąd Kantor czerpał te informacje – zostało już jego tajemnicą. Dopowiedzmy tylko, że regiment Wolffa znalazł się w Siewierzu w wyniku postanowień kapitulacyjnych miasta Krakowa – tutaj, pozostając pod komendą Czarnieckiego, mieli czekać na jego decyzję o opowiedzeniu się po którejś ze stron konfliktu. Czy w tym czasie Wolff prowadził nowe zaciągi – raczej wątpliwe. Bardzo prawdopodobne, że owi dąbrowianie – zakładając ich rzeczywiste istnienie – mogli przyłączyć się do powstającej

na siewierszczyźnie antyszwedzkiej partyzantki, inspirowanej także przez wspomnianego Stanisława Warszyckiego, pana na Dankowie.

Jeśli przyjmujemy za fakt, że Dąbrowa powstała za starostwa Zygmunta Stefana Koniecpolskiego, nie zdziwi nas także – tak wyśmiewana przez Jana Przemszę-Zielińskiego – informacja Kantora o zniszczeniu wioski. Szczegółowość przedwojennego monografisty zakrawa wprawdzie na mistyfikację, ale trzeba przyznać, że po raz kolejny miał on jakieś szczególne wycucie dawnych dziejów, pozwalające mu niejako intuicyjnie wędrować po meandrach naszej regionalnej, wciąż jeszcze nie do końca odkrytej, historii. W czasie potopu szwedzkiego w r. 1655–56 wioska została spalona, a ludność męską popędzili Szwedzi pod Częstochowę do robienia podkopów. Z liczby 85 gospodarstw pozostało zaledwie kilkanaście, a mianowicie: Szymona Gołęgo, Pająka, Bałdysa, Lisa, Bednarczyka, Chytrego, Ciolka, Kasprzaka, Wieczorka, Kuli, Trybalskiego i Owaka. Gdy przed najazdem szwedzkim ludność wioski wynosiła 460 dusz, to po spaleniu nie przekraczała 120 osób. W liczbie tej znajdowało się około 40 dzieci, których rodzice przepadli bez wieści w czasie napadu szwedzkiego. Bezdomnymi sierotami w wieku 7 do 11 lat, zaopiekowali się wyżej wymienieni, wyznaczając na głównego opiekuna Krzemińskiego, który uszedłszy z rąk szwedzkich, po trzechmiesięcznym tułaniu się w borach, zjawił się we wsi, również jako bezdomny. Wymienione przez Kantora liczby radziłbym opatrzyć znakiem zapytania, ale reszta godna jest

zastanowienia. Zwracają uwagę zwłaszcza nazwiska Szymona Gołęgo, Bednarczyka i Wieczorka, występujących także w dokumentach metrykalnych z lat 1654–56.

Dąbrowa – córka Będzina

Pisałem już o położeniu roli wójtowskiej, która stała się podstawą do osadnictwa dającego z kolei początek istnieniu osady o nazwie Dąbrowa. Rzeczą ciekawą może być także prześledzenie wcześniejszych dziejów owego gruntu, tym bardziej że w kwestii tej możemy się cofnąć aż do wieku... XIV. Otóż grunt ten jest tożsamy z łanem wójtowskim, jaki król Kazimierz Wielki przyznał pierwszemu będzińskiemu wójtowi, Hinko Ethiopusowi, w akcie lokacyjnym miasta z 5 sierpnia 1358 roku: *Tenże Hinko wraz ze swymi następcami otrzyma w posiadanie tytułem wójtostwa jeden łan i dwa place do własnego użytku.* Grunt ten – wraz z tytułem wójty – był oczywiście dziedziczny, co zazwyczaj sprowadzało się do obiektu handlu. Trudno powiedzieć, w jakich okolicznościach łan ten znalazł się w rękach szlachcica Gaspara Gutowskiego, który z kolei scedował go na rzecz starościny Doroty z Orzelskich Popowskiej (żony dworzanina królewskiego Jana Popowskiego z Popowa, starosty będzińskiego w latach 1624 – przed 1629). Dorota po śmierci męża starosty wyszła z kolei za mąż za Krzysztofa Gosławskiego herbu Oksza (starostę będzińskiego w latach przed 1629 – przed 1642). Uważny czytelnik pamięta zapewne, że po śmierci Gosławskiego obrotna starościna wyszła za mąż za Zygmunta Stefana Koniecpolskiego – i tak koło się zamyka. Faktem jest, że gdzieś na przestrzeni XVI w. dziedziczne wójtostwo będzińskie zostało zlikwidowane na rzecz starostwa – pozostał tylko urząd wójty sądowego, czyli podwójciego.

Chyba podobnie rzecz się miała z położonymi nieopodal łąkami około rzeki, które mieszczenie będziński także uważali za swoje od czasu przyznania ich miastu dekretem króla Zygmunta Starego w roku 1535. Nie godził się na to ówczesny starosta będziński – Marcin Myszkowski herbu Jastrzębiec (starosta w latach 1528–1538), który wcześniej grunty te sobie po prostu przywłaszczył i mimo wyroku królewskiego ani myślał oddać. Tak to w Najjaśniejszej Rzeczypospolitej wyglądała kohabitacja wójty (później burmistrza) i starosty...

To właśnie na owych gruntach i łąkach, z nadania królewskiego miłościwie panującego Kazimierza Wielkiego (którego 700-lecie urodzin obchodzimy właśnie w tym roku) mieszczenie będziński wzniesli swe pierwsze chałupy, o które później stoczyć musieli krwawy spór. Chałupy te dały początek dzisiejszej Dąbrowie Górniczej. Prawda, że inspirujące?

Muzyka znad Utraty i Sekwany

Fryderyk Chopin w polskiej poezji cz. 1.

Włodzimierz Wójcik

Chopin, zwany powszechnie „Geniuszem Romantyzmu”, nie musiał długo czekać na uznanie współczesnych. Towarzyszyło mu ono od najwcześniejszych lat życia. Podziwiali go nauczyciele, Wojciech Żywny i Józef Elsner, ludzie kultury Warszawy sprzed powstania listopadowego, wreszcie artyści środowiska paryskiego. Dużą wagę przykładam do wysokich ocen dzieła Chopina wyrażonych przez Cypriana Kamila Norwida.

Refleksja o szczególnych związkach Norwida z Fryderykiem Chopinem towarzyszy mi od wielu lat. Myślę o malowniczych miejscach ich urodzenia, które w mojej wyobraźni jawią się jako typowo polskie, bardzo swojskie i romantyczne. Obaj przyszedli na świat w piaszczystych pejzażach Mazowsza. Chopin w roku 1810 w Żelazowej Woli, Norwid jedenaście lat później w miejscowości Laskowo-Głuchy. Poznali się i zaprzyjaźnili na obczyźnie, w Paryżu. Kiedy Fryderyk w czasach przedpowstaniowych opuszczał drogą jego sercu Warszawę, Cyprian Kamil miał zaledwie dziewięć lat. Zaczął uczęszczać do gimnazjum. W Paryżu, po pobycie w Dreźnie, Florencji, Wenecji i Rzymie zjawił się w 1849 roku. Tu poznał Turgeniewa, Hercena, Słowackiego i właśnie Chopina. Niestety ten rok 1849 był rokiem zgonu tego naszego genialnego rodaka.

Krótką znajomość szybko przekształciła się w głęboką przyjaźń, w wielkie powinowactwo duchowe. Tego rodzaju teza zostaje w pełni potwierdzona słowami nekrologu, który Norwid zamieścił w „Dzienniku Polskim”, pisząc o Chopinie: *Rodem Warszawianin, sercem Polak, a talentem obywatel świata...* O niezwykłym przyjacielu myślał bezustannie. W latach 1856–1857 ogłosił w „Czasie” cykl prozy *Czarne kwiaty. Białe kwiaty*. W obydwu nie narzucał sobie jakiegokolwiek stylu literackiego. Chodziło mu o zachowanie wierności faktom. Dzięki szlachetnej prostocie stylu i rzeczowości teksty te zostały uznane za arcydzieła.

Czarne kwiaty? Przymiotnik „czarne” sygnalizuje żalobny lub nekrologiczny charakter zapisków. Tekst opisuje spotkania i rozmowy Norwida z poetą Stefanem Witwickim, Chopinem, Słowackim, Mickiewiczem i malarzem Delaroche’em. *Białe kwiaty* to zbiór fragmentów zaczerpniętych z dziennika autora. Zawiera on elementy estetyki czystej, nieobecności i „przemilczenia”, właściwego dla twórczości Norwida. Nie ma w tym cyklu patosu i sztucznej, pretensjonalnej ekspresywności.

Pisząc o Chopinie w *Czarnych kwiatach* Norwid – mający jako malarz wyobraźnię przestrzenną – precyzyjnie określał topografię miasta nad Sekwaną. Oto w Paryżu [...] *Chopin mieszkał przy ulicy Chaillot, co, od Pól Elizejskich w górę idąc, w lewym rzędzie domów, na pierwszym piętrze, mieszkania ma z oknami na ogrody i Panteonu kupolę, i cały Paryż... jedyny punkt, z którego napotyka się widoki zbliżone do tych, które w Rzymie napotykaśz. Takie też i Chopin miał mieszkanie z widokiem takim, którego to mieszkania główną częścią był salon wielki o dwóch oknach, gdzie nieśmiertelny fortepian jego stał, a fortepian bynajmniej wykwinny – do szafy lub komody podobny, świetnie ozdobiony jak fortepiany modne – ale owszem trójkątny, długi, na nogach trzech, jakiego, zdaje mi się, już mało kto w ozdobnym używa mieszkaniu. W tym salonie jadł też Chopin o godzinie piątej, a potem zstępował, jak mógł, po*



schodach i do Bulońskiego Lasku jeździł, skąd wróciwszy, wnoszono go po schodach, iż w górę sam iść nie mógł. Ten fragment tekstu wyraźnie sygnalizuje, że kontakty z Chopinem były wielokrotne, niekiedy przerywane długim niewidzeniem się przyjaciół:

Tak jadalem z nim i wyjeżdzałem po wielokroć, i raz do Bohdana Zaleskiego, który w Passy mieszkał wtedy, po drodze wstąpiliśmy, nie wchodząc doń na górę do mieszkania, bo nie było komu Chopina wnieść, ale pozostając w ogródku przed domem, gdzie maleńki jeszcze wówczas poety synek na trawniku się bawił...

O tym, jak bardzo Chopin cenił sobie obcowanie z Norwidem, prowadzone z nim rozmowy o życiu i sztuce, wiele mówi następujący fragment *Czarnych kwiatach*:

Od zdarzenia tego ubiegło wiele czasu, a ja nie zachodziłem do Chopina, wiedząc tylko zawsze, jak się ma i że siostra jego z Polski przybyła. Nareszcie zaszedłem razu jednego i odwiedzić go chciałem – służąca Francuzka powiada mi: że śpi; uciszyłem kroku, karteczkę zostawiłem i wyszedłem.

Ledwo parę zstąpiłem schodów, służąca powraca za mną, mówiąc: iż Chopin, dowiedziawszy się, kto był, prosi mnie – że jednym słowem nie spał, ale przyjmować nie chce. Wszedłem więc do pokoju obok salonu będącego, gdzie spiał Chopin, bardzo wdzięczny, iż widzieć mię chciał, i zastałem go ubranego, ale do pół leżącego w łóżku, z nabrzmiałymi nogami, co, że w pończochy i trzewiki ubrane były, od razu poznać można było.

Norwid był mistrzem słowa, przednim filozofem sztuki, nieprzeciętnego talentu malarzem i rysownikiem. Nic dziwnego, że na największego polskiego kompozytora romantycznego spoglądał jako na prawdziwe zjawisko boskie. Wyrażał to w następujących słowach:

Siostra artysty siedziała przy nim, dziwnie z profilu doń podobna... On, w cieniu głębokiego łóżka z firankami, na poduszkach oparty i okręcony szalem, piękny był bardzo, tak jak zawsze, w najpowszejdniejszego życia poruszeniach mając coś skończonego, coś monumentalnie zarysowanego... coś, co albo arystokracja ateńska za religię sobie uważać mogła była w najpiękniejszej epoce cywilizacji greckiej – albo to, co genialny artysta dramatyczny wygrywa np. na klasycznych tragediach francuskich, które lubo nic są do starożytnego świata przez ich teoretyczną oglądę niepodobne, geniusz wszelako takiej np. Racheli umie je unaturalnić, uprawdopodobnić i rzeczywiście uklasycyznić... Taką to naturalnie apoteotyczną skończoność gestów miał Chopin, jakkolwiek i kiedykolwiek go zastałem...

W tych ostatnich godzinach spotkania dwu geniuszy była i chwila zaprawiona gorzkim żartem. Tak tę rzecz ujmuje Norwid:

Owóż – przerywanym głosem, dla kaszlu i dławienia, wyrzucać mi począł, że tak dawno go nie widziałem – potem żartował coś i prześladować mię chciał najniewinniej o mistyczne kierunki, co, że mu przyjemność robiło, dozwalałem – potem z siostrą jego mówiłem – potem były przerwy kaszlu, potem moment nadszedł, że należało go spokojnym zostawić, więc zęgnąłem go, a on, ścisnąwszy mię za rękę, odrzucił sobie włosy z czoła i rzekł: „...Wynoszę się!...” – i począł kasłać, co ja, jako mówił, usłyszawszy, a wiedząc, iż nerwom jego dobrze się robiło silnie coś czasem przecząc, użyłem onego sztucznego tonu i całując go w ramię rzekłem, jak się mówi do osoby silnej i męstwo mającej: „się tak co rok... a przecież, chwała Bogu, oglądamy cię przy życiu.

A Chopin na to, kończąc przerywane mu kaszlem słowa, rzekł: „Mówię ci, że wynoszę się z mieszkania tego na plac Vendôme...”. To była moja ostatnia z nim rozmowa, wkrótce bowiem przeniósł się na plac Vendôme i tam umarł, ale już go więcej po onej wizycie na ulicy Chaillot nie widziałem...

Ilekoć bywałem w Paryżu, zawsze chodziłem „ulicami Chopina”, jego ścieżkami, przystając przy chopinowskich znakach. Cmentarz Père Lachaise, Park Monceau. Przed budynkiem na Placu Vendôme 12 spędzałem sporo czasu.

Przypominałem sobie nazwiska wszystkich tych, którzy dzielili z nim jego „dni przedostatnie” na tej ziemi.

Powiedzieliśmy już, że młodszy od Chopina o dziewięć lat Norwid opisał spotkania z chorym już geniuszem fortepianu w *Czarnych kwiatach*. Ale prawdziwy wyjątkowy hold osobie i dziełu muzyka z Żelazowej Woli złożył w utworze *Fortepian Szopena* (1865). Mistrzowskim słowem poetyckim przypomniał ostatnie już spotkania z ukochanym przyjacielem. Pisał:

Byłem u ciebie w te dni przedostatnie,
Niedocieczonego wątku – –
– Pełne, jak Mił,
Blade, jak świt...
– Gdy życia koniec szepce do początku:
„Nie stargam Cię ja – nie! –
Ja u wydatnię!...”

Norwid wskazywał, że Fryderyk był podobny do upuszczonej przez mitycznego Orfeusza liry. Widział w nim „Geniusz – wiecznego Pigmaliona!” Dodawał z pełnym przekonaniem:

A w tym, coś grał: taka była prostota
Doskonałości Peryklejskiej,
Jakby starożytna która Cnota,
W dom modrzewiowy wiejski

Wchodząc, rzekła do siebie:
„Odrodziłam się w Niebie,
I stały mi się arfą – wrota,
Wstęga – ścieżka...
Hostię – przez blade widzę zboże...
Emanuel już mieszka
Na Taborze!”

I była w tym Polska, od zenitu
Wszchedoskonałości dziejów
Wzięta, tęczą zachwyty –
Polska – przemienionych kołodziejów!
Taż sama – zgoła,
Złoto – pszczoła!...
(Poznał – ci – żebył ją – na krańcach bytu!...)

Norwid wyrażał przekonanie, że pomimo zgonu Chopina wielki romantyk wciąż żyje, ponieważ jego muzyka coraz intensywniej rozbrzmiewa w świecie i ponad światem:

I – oto – pieśń skończyłeś – już więcej
Nie oglądam Cię – jedno słyszę:
Coś?... jakby spór dziecięcy –
– A to jeszcze klóć się klawiszem
O nie dośpiewaną chęć:
I trącając się z cicha,
Po ośm – po pięć –
Szemrzą: „Począłże grać?
Czy nas odpycha?...”

Sama tylko strofa VII jest wypełniona pojęciami, które składają się na swoisty leksykon wiedzy o dziejach światowej cywilizacji, filozofii i sztuki. Przeczytajmy z uwagą tę strofę:

O Ty! – co jesteś Miłości – profilem,
Któremu na imię Dopełnienie;
To – co w Sztuce mianują Stylem,
Iż przenika pieśń, kształci kamienie...
O! Ty – co się w dziejach zowiesz Erq
Gdzie zaś ani historii zenit jest,
Zwiesz się razem Duchem i Literą
I „consummatum est”...
O! Ty – Doskonałe – wypełnienie,
Jakikolwiek jest twój i gdzie... znak,
Czy w Fidiasszu? Dawidzie?
Czy w Szopenie?
Czy w Eschylesowej scenie?...
Zawsze – zemści się na tobie: BRAK!...
– Piętnem globu tego – niedostatek:
Dopełnienie?... go boli!...
On – rozpoczynać woli
I woli wyrzucać wciąż przed się – zadatek!
– Kłós?... gdy dojrzał, jak złoty kometa,
Ledwo, że go wiew ruszy,
Deszcz pszenicznych ziarn prószy,
Sama go doskonałość rozmieta...

Poczynając od strofy VIII Norwid ewokuje przeszłość. Ukazuje niegdyś drogie sercu Chopina obrazy ukochanego miasta:

Oto patrz, Fryderyku!... to – Warszawa:
Pod rozplómienną gwiazdą
Dziwnie jaskrawa –
– Patrz, organy u Fary; patrz! Twoje gniazdo!

Ówdzie patrycjalne domy stare
Jak P o s p o l i t a – rzecz,
Bruki placów głucho i szare,
I Zygmuntowy w chmurze miecz.

IX
Patrz!... Z zaułków w zaułki
Kaukaskie się konie rwą
Jak przed burzą jaskółki,
Wyśmigając przed pułki,
P o s t o – p o s t o...

– Gmach zajął się ogniem, przyszał znów,
Zapłonął znowu oto pod ścianą
Widzę czoła ożałobionych wdów
Kolbami pchane –
I znów widzę, acz dymem oślepian,
Jak przed ganku kolumny
Sprzęt podobny do trumny
Wydźwigają... runął... runął... Twój f o r t e p i a n!

X
Ten!... co Polskę głosił, od zenitu
Wszchedoskoności Dziejów
Wziętą, hymnem zachwyty –
Polskę – przemienionych kołodziejów,
Ten sam – runął – na bruki z granitu!
– I oto: jak zacna myśl człowieka,

Poterany jest gniewami ludzi,
Lub j a k – o d w i e k a
W i e k ó w w s z y s t k o, c o z b u d z i!
I – oto – jak ciało Orfeja,
Tysiąc Pasyj rozdziera go w części;
A każda wyje: „N i e j a !...
N i e j a !” – zębami chrzęści –
.....
Lecz Ty? – lecz ja? – uderzmy w sądne pienie,
Nawołując: „Ciesz się, późny wnuku!
Jękły – głucho kamienie:
I d e a ł – sięgnął bruku” – –

Fortepian Chopina to prawdziwe poetyckie arcydzieło. Widać w nim wyjątkowe skondensowanie metaforyki oraz szczególną głębię refleksji filozoficznych. Są one dosyć trudne i wymagają poważniejszej i uważniejszej refleksji. W utworze odnajdujemy aż trzy wątki. Pierwszy to wątek historyczny. Mówi o autentycznym zdarzeniu. Oto 24 września 1863 roku do generała Berga oddano strzały z Pałacu Zamoyskich w Warszawie. W odwecie Moskale zdemolowali pałac wyrzucając na bruk fortepian Chopina.

Drugi wątek jest wspomnieniowy. Dotyczy on ostatnich chwil kompozytora, którego Norwid odwiedził krótko przed zgonem. Poeta opisuje „alabastrową rękę”, która delikatnie trącając klawisze wydobywa z nich zachwycające dźwięki. Oburzenie autora wywołuje wyrzucenie instrumentu na bruk, stąd bolesna ironia w słowach „ideał sięgnął bruku”. Dla

ROK CHOPINOWSKI W ZAGŁĘBIU

Instytucje kulturalne i oświatowe w miastach i gminach Zagłębia przygotowały całoroczny program uroczystości związanych z obchodami Roku Chopinowskiego. Wiele imprez chopinowskich już się odbyło, wiele jeszcze czeka nas w tym roku.

16 maja w Państwowej Szkole Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Będzinie odbył się koncert chopinowski. Zespół Śpiewaków Miasta Katowice Camerata Silesia pod dykcją Anny Szostak wykonał wokalne adaptacje utworów fortepianowych. Z okazji Święta 3 Maja odbył się Koncert Muzyki Fryderyka Chopina na schodach Urzędu Miejskiego w Sosnowcu. Z kolei w ramach obchodów Dni Sosnowca (4-6 czerwca) zostanie zaprezentowany projekt „Kiepuszucha Chopina”. Wydarzenie to będzie miało miejsce w centrum miasta pod pomnikiem Jana Kiepury, gdzie młody krakowski pianista Adam Dobrowolski zaprezentuje utwory fortepianowe największego polskiego kompozytora.

Koncerty i inne imprezy w ramach obchodów 200. rocznicy urodzin pianisty i kompozytora dzięki bogatemu i

różnorodnemu repertuarowi są ciekawą propozycją na spędzenie wolnego czasu nie tylko dla melomanów.

Orkiestra kameralna pod dykcją Małgorzaty Kaniowskiej oraz pedagog PSM I st. w Będzinie – Zenon Dąbek. Fot. arch. PSM



carskich żandarmów nie istnieje piękno muzyki, nie słyszeli o Chopinie, którego poeta stawia na równi z największymi twórcami w dziejach ludzkości, jak Fidiasz czy Ajschylos.

Wątek trzeci to wątek filozoficzny. Widać w utworze Norwida konstatację, że cechą wszystkiego na ziemi jest brak. Sztuka jest dopełnieniem, jest kształtem miłości, a w dziełach największych twórców zbliża się do boskiej doskonałości. Należy do nich i Chopin. Dzwignięcie i zrzucenie fortepianu łączy się w wierszu Norwida z męczeństwem Orfeusza. Nabiera symbolu odepchnięcia sztuki przez współczesnych. Dopiero „późny wnuk” doczeka zmartwychwstania sztuki i Polski.

Słowami wielkiej czci obdarzył Chopina również przedstawiciel romantyzmu, ale romantyzmu krajowego, Kornel Ujejski (1823–1897) urodzony w Beremianach na Podolu, zmarły w Pawłowie koło Lwowa. Ten przedni twórca, publicysta społeczny; nazywany był często „ostatnim wielkim poetą romantyzmu”. Tworzył liryki wizyjne oraz religijno-mesjanistyczne stylizowane na modlitwy oraz biblijne psalmy, w których wyrażał – idące z myśli Andrzeja Towiańskiego – irracjonalne, zakorzenione głęboko w etyce chrześcijańskiej przekonanie co do zbawienia narodu polskiego w obliczu klęsk kolejnych powstań oraz wewnętrznej niezgody.

W 1847 roku – przez Belgię wyjechał do Paryża. W Brukseli poznał Joachima Lelewela, w Paryżu Józefa Bohdana Zaleskiego, Fryderyka Chopina, Juliusza Słowackiego. W roku 1848 uczestniczył w rewolucji lutowej w Paryżu. W maju powrócił w rodzinne strony. Głównie na wieść o re-

wolucjach w Berlinie i Wiedniu. Wziął udział w rewolucji lwowskiej w dniach 1–2 listopada 1848 roku.

Stworzył takie tomy, jak: *Maraton 1845*, *Pieśni Salomona*, *Skargi Jeremiego*, *Kwiaty bezwoni*, *Zwiedle liście*, *Melodie biblijne*, *Dla Moskali*. Zafascynowany muzyką Chopina pragnął przełożyć ją na język poetycki. Stąd jego *Tłumaczenia Szopena* wydane wiele lat po zgonie kompozytora – w roku 1866. W słynnym *Marszu pogrzebowym* przedstawił monumentalną wizję funeralną. Może to być wizja pogrzebu Chopina, albo też literacki odpowiednik jego marsza żałobnego:

Tyle dzwonów! Gdzie te dzwony?

Czy w mej głowie huczą?

Kędy idą roje księży z taką pieśnią kruczą?

Tu przede mną o dwa kroki czarny wóz się toczy –

Jak mi ciemno! – ten wóz czarny ściemnił moje oczy.

Gdzieś w powietrzu krzyż jaśnieje; migają pochodnie,

A prowadzą mnie pod ręce, idę tak wygodnie,

Same prawie się podnoszą zadrtwiałe nogi,

Dobrze, dobrze, że mnie wiodą – nie znam żadnej drogi.

Idę, płynę niby śniący, bez myśli, bez woli,

Tylko w głowie, tylko w sercu coś mnie strasznie boli,

Coś zatapia w nich swe szpony, krzywe, ostre szpony,

A tu ciągle biją dzwony, a tu kraczą wrony...

Ha! Muzykę jakąś słyszę – pięknie grają, pięknie...

Żar mam w oczach, a po twarzy coś zimnego cieknie.

Patrzę na mnie, ale zbliżyć nikt się nie odważa,



Klub im. Kiepur

Fot. Leszek Wolski, arch. UM w Sosnowcu

Zamek Sielecki

Fot. Tomasz Pelka, arch. UM w Sosnowcu



*Musi coś być w mojej twarzy, co ludzi przeraża.
A wóz ciągną cztery konie okryte żałobą,
A mnie ciągnie jakaś siła, wlecze mnie za sobą...
Wielki Boże! Toż ta trumna wysuwa się ku mnie!
Tam zagadka mego bytu – w tej trumnie! w tej trumnie!*

Ciekawe jest spojrzenie na dzieło Chopina poetów okresu pozytywizmu.

Wiadomo, że sytuacja polskiej poezji w okresie pozytywizmu, nie była najlepsza. Z jednej strony wiązało się to z niechęcią do roli, jaką spełniała ona w okresie romantyzmu. Z drugiej strony liryka ze swej istoty nie nadawała się do realizowania haseł i celów, jakie przed literaturą stawiali poetywiści. Nie oznacza to jednak, że pozytywizm był całkiem pozbawiony poezji. Wśród ówczesnych poetów na czoło wysuwał się Adam Asnyk. Początkowy okres jego twórczości nawiązuje do tradycji romantycznej. Poeta podejmuje próby rozrachunku z klęską powstania styczniowego, w którym sam aktywnie uczestniczył (m.in. utwory *Podróżni w zatoce Baja, Pijąc Falerno*). Z tego też okresu pochodzi wybitny utwór *Sen grobów*. Jednak związki z romantyzmem nie przeszkodziły Asnykowi w zaaprobowaniu nowych ideałów i haseł pozytywistycznych. W wierszu *Na Nowy Rok* każe porzucić marzenia i budować przyszłość opierając się na rozumie i woli. Podobne hasła zawierają kolejne wiersze: *Do młodych, Dzisiejszym idealistom* i inne. W 1894 roku Asnyk opublikował cykl sonetów *Nad głębiami*, w których podjął tematykę filozoficzną. Był również autorem wierszy miłosnych oraz piewka uroków polskiej przyrody, zwłaszcza Podhala (*W Tatrach*).

Drugą wielką indywidualnością w dziedzinie poezji była Maria Konopnicka. W swoich wierszach podejmowała często tematykę społeczną, ukazując nędzę polskiej wsi (*Wolny najmity, Chłopskie serca, Szły zbierać kłosy*) oraz miast (*Jaś nie doczekał, W piwnicznej izbie*). Obok problematyki społecznej częstym motywem twórczości poetyckiej Konopnickiej jest folklor (cykle *Na fujarce, Z łak i pól*). Dużym osiągnięciem poetki jest utwór *Pan Balcer w Brazylii*, utwór mówiący o polskiej emigracji. Sławę przyniosły jej też utwory dla dzieci, takie jak *Na jagody, O Janku Wędrowniczku* oraz baśń z pogranicza poezji i prozy *O krasnoludkach i sierotce Marysi*. Konopnicka tworzyła też lirykę patriotyczną, w tym słynną pieśń hymniczną *Rotę*, która była długo traktowana jako nieoficjalny hymn państwowy.

Adam Asnyk i Maria Konopnicka to najwybitniejsi poeci pozytywizmu. Inni twórcy tego okresu nie dorównywali im ani talentem, ani rolegością zainteresowań i tematów. Wśród nich wymienić jednak można takich twórców jak Felicjan Faleński, Wiktor Gomulicki, Włodzimierz Zagórski, Mikołaj Biernacki, Julian Ochorowicz, Czesław Jankowski i inni. Maria Konopnicka urodzona w 1842 roku miała siedem lat, gdy w Paryżu zmarł Chopin. Zmarła w setną rocznicę jego urodzin w 1910 roku. Była zdecydowaną pozytywistką, ale jako szczerą patriotkę poddawała się czarowi muzyki naszego wielkiego romantyka. Napisała pełen szczerej ekspresji wiersz *Gdy polonez chopinowski*. W jego tonach, w jego muzyce widziała te wszystkie ideały, którym całkowicie poświęciła swoje życie i swoje piarstwo:

*Gdy polonez chopinowski
Tajne struny serca ruszy,
Zawsze wtedy mam widzenie
Narodowej, polskiej duszy.*

*Dusza ta mi się objawia
Nie w zamęcie, nie w wybuchu,
Ale w jakimś idealnym,
Postępowym, wiecznym ruchu.
Ruch ten wolnej chce przestrzeni,
By roztoczyć rytm wspaniały,
Jakichś ornych pól szerokich,
Jakichś pól ogromnych – chwały.
Rytm jej to nie rytm wesela,
Lecz powagi i zapału,
Gdy, natchniona, w przyszłość kroczy
W jasnych łunach ideału.
Mija czasy i stulecia,
Próg jej żaden nie zatrzyma,
Idzie, jutrem zadumana,
Z utkwionymi w świat oczyma.
Idzie cała w orlich szumach,
Z chorągwanym piór szelestem,
W jakąś wielką zorzę ludów
Idzie żywym manifestem.*

W drugim wierszu pod tytułem *W rocznicę Chopina* nawiązywała poetka do motywu polskiego tułactwa w Polsce porozbiorowej. Odniosła się także do faktu przekazania przez Chopina swojego serca rodzonej matce i Matce-Ojczyźnie. Wiadomo, że serce wielkiego kompozytora przewiozła potajemnie z Paryża jego siostra Ludwika. Znajduje się ono w Kościele Świętego Krzyża w Warszawie:

*W obcej gdzieś krainie
Kamień twój grobowy,
Cudze niebo płynie
Nad snem twojej głowy;
Cudze niebo chmurne
Rankiem grób twój rosi,
Cudzy wiatr ci echo
Cudzej pieśni nosi...
Ani twej mogiły
Nasza brzozą strzeże,
Ani świerk pochyły
Szepce tam pacierze,
Ani wierzby nasze
żałosnymi szumy
Budzą ciebie nocą
Z śmiertelnej zadumy...
Kurhanu twojego
Bracia nie sypali,
Nasza złota zorza
Tobie się nie pali;
Nie palą się Tobie
Nasze gwiazdy drżące,
Grobu twego nasze
Nie srebrzą miesiące...
Oj, nie miała matka
Szczęścia w swoich progach,
Oj, puściła synów
Po rozstajnych drogach!
Oj, żyły tam syny
W długiej poniewierce,
Oj, oddały matce
Swe pęknięte serce.*

Wybory prezydenckie 2010

Marek Barański

Piątego prezydenta Rzeczypospolitej mieliśmy wybierać na jesieni. Tragedia w Smoleńsku zmieniła scenę polityczną i dramatycznie skróciła wyborczy kalendarz.

Ostatecznie w wyborach wystartuje 10 kandydatów, z czego najwyżej pięciu ma szansę odegrać jakąś rolę w wyścigu do Pałacu Prezydenckiego. Zamiast zmarłego prezydenta Lecha Kaczyńskiego startuje jego brat Jarosław. Czy wyborcy, powodowani współczuciem bądź potrzebą kontynuacji, a może jednym i drugim obdarzą Jarosława takim zaufaniem, jakim prawie pięć lat temu obdarzyli Lecha? Trudne zadanie stoi przed Bronisławem Komorowskim. Czy marszałek Sejmu, choć jest liderem sondaży, zwycięży w starciu z Jarosławem Kaczyńskim? Czy jego działania w roli pełniącego konstytucyjnie obowiązki Prezydenta RP pomogą, czy też zaszkodzą w walce o urząd? Zamiast Jerzego Szmajdzińskiego, ofiary spod Smoleńska, wystartuje szef SLD, młody Grzegorz Napieralski. Czy jego wynik w wyborach doprowadzi do przetasowań na szczytach władzy w SLD? Na placu boju pozostaje Andrzej Olechowski, który bez poparcia silnego zaplecza będzie musiał z całą determinacją walczyć, aby móc pomarzyć o drugiej turze. Waldemar Pawlak, choć bez widoków na ostateczne zwycięstwo, zapewne umocni swoją pozycję w PSL oraz zwiększy szanse partii na dobry wynik w wyborach samorządowych.

Przedterminowe wybory prezydenckie odbędą się już 20 czerwca. Taką datę zgodnie z Konstytucją RP wyznaczył pełniący funkcję Prezydenta RP Marszałek Sejmu Bronisław Komorowski.

Urząd Prezydenta Rzeczypospolitej jest ważny z punktu widzenia sprawowania władzy państwowej oraz doświadczeń historycznych.

Pozycja urzędu wynika z art. 126 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, która mówi, że Prezydent RP jest najwyższym przedstawicielem Rzeczypospolitej Polskiej i gwarantem ciągłości władzy państwowej. Prezydent RP czuwa nad przestrzeganiem Konstytucji, stoi na straży suwerenności i bezpieczeństwa państwa oraz nienaruszalności i niepodzielności jego terytorium. Będąc organem dualistycznej egzekutywy – obok Rady Ministrów – realizuje konstytucyjną koncepcję podziału władzy i równoważenia władz. Obok tego, konstytucyjny status prezydenta przewiduje dla niego rolę klasycznej głowy państwa.

Miejsce i pozycja prezydenta znacznie zmieniły się od początku procesu transformacji. Prezydent, według znowej Konstytucji PRL z kwietnia 1989 roku, miał zapewnić bezpieczeństwo siłom postkomu-

nistycznym oraz ewolucyjny i pokojowy charakter przemian.

Pierwszym prezydentem okresu transformacji w Polsce został gen. Wojciech Jaruzelski, wybrany (większością jednego głosu) przez Zgromadzenie Narodowe. Pełnił urząd od 31 grudnia 1989 roku do 22 grudnia 1990 roku, czyli do wyboru na to stanowisko Lecha Wałęsy.

Formuła zadań prezydenta „czuwania nad przestrzeganiem Konstytucji”, „strażnika bezpieczeństwa państwa”, „niepodzielności jego terytorium” zapisana w Konstytucji PRL nowelą kwietniową, przetrwała w Ustawie konstytucyjnej z 17 października 1992 roku O wzajemnych stosunkach między władzą ustawodawczą i wykonawczą RP oraz o samorządzie terytorialnym, jak i w Konstytucji z 1997 roku. Zmianie uległ natomiast zapis zadania dotyczącego roli strażnika „na straży przestrzegania między państwowych sojuszy politycznych i wojskowych”. Zadanie to Mała Konstytucja zmieniła na przestrzeganie „umów międzynarodowych”, a Konstytucja z 1997 roku pozbawiła prezydenta takiego zadania. Szczególna rola prezydenta, wynikająca z ustaleń „okrągłego stołu”, polegała na zapewnieniu bezpieczeństwa przemian i bezpieczeństwa siłom postkomunistycznym przez uprawnienie głowy państwa do rozwiązywania Sejmu. Ogólna formuła tego zapisu dawała prezydentowi Wojciechowi Jaruzelskiemu potencjalnie dużą swobodę w podjęciu takiej decyzji, co stwarzało w praktyce możliwość zawrócenia procesu reform lub jego zahamowania. Lechowi Wałęsie okazję do zastosowania uprawnień w kierunku przeciwnym. Obaj prezydenci

nie skorzystali z tego uprawnienia. W Małej Konstytucji zrezygnowano z tak określonej przesłanki rozwiązania Sejmu, natomiast wzmocniono pozycję prezydenta względem niższej izby parlamentu przez jego wybór w wyborach powszechnych.

Przejęcie urzędu prezydenta przez Lecha Wałęsę wiązało się z działaniami skierowanymi na rozszerzenie kompetencji urzędu, zwłaszcza w stosunkach do Rady Ministrów oraz wojska, ale także względem Sejmu. Te działania Lecha Wałęsy znalazły wyraz w Małej Konstytucji, w świetle której Prezydent RP stawał się organem władzy wykonawczej obok Rady Ministrów, natomiast Sejm i Senat tworzyły organy władzy ustawodawczej. W Małej Konstytucji prezydent przejmował od Sejmu prawo powoływania Rady Ministrów, choć w procesie formowania rządu musiał współdziałać z Sejmem, a na pewno respektować istniejący w nim układ sił politycznych. W procedurze formowania Rady Ministrów, oprócz powoływania i odbierania przysięgi, prezydent wykonywał czynności desygnowania premiera, wydawania opinii w sprawie wniosku desygnowanego premiera o powołanie kandydatów na ministrów resortów siłowych i spraw zagranicznych. W praktyce prezydentury Lecha Wałęsy jego opinia była wiążąca, choć formalnie przepis Małej Konstytucji nie nadawał tej opinii obligatoryjnego charakteru. Formalnie Mała Konstytucja odebrała prezydentowi uprawnienia prowadzące do odwoływania Rady Ministrów, które otrzymał na mocy znowej Konstytucji



Fot. Sfu

w kwietniu 1989 roku Konstytucji PRL. W praktyce Lech Wałęsa skorzystał z tego uprawnienia, odwołując rząd Jana Olszewskiego w czerwcu 1992 roku.

Mała Konstytucja rozszerzała pola politycznego manewru prezydenta względem Rady Ministrów, przypisując mu „ogólne kierownictwo w dziedzinie zewnętrznego i wewnętrznego bezpieczeństwa państwa” oraz „ogólne kierownictwo w dziedzinie stosunków zagranicznych”. Zapisy te nie niosły żadnych konkretnych uprawnień, ale przez swój ogólny i nieostry charakter, w powiązaniu np. z prawem prezydenta do zwoływania i przewodniczenia posiedzeniom Rady Ministrów w sprawach „szczególnej wagi” stwarzały potencjalnie możliwości wpływu na pracę rządu.

Mała Konstytucja nie tylko podtrzymała, ale doprecyzowała uprawnienia prezydenta dotyczące prawa występowania do Trybunału Konstytucyjnego z wnioskiem o stwierdzenie zgodności ustawy z Konstytucją przed jej podpisaniem oraz prawa odmowy podpisania i przesłania ustawy do Sejmu w celu jej ponownego rozpatrzenia. Oba te uprawnienia czyniły z prezydenta aktywnego uczestnika procesu ustawodawczego.

Konstytucja z 1997 roku zawęziła pole manewru Prezydenta RP w zakresie posługiwania się wetem i wnioskiem do Trybunału Konstytucyjnego, zgodnie z zasadą, że głowa państwa korzysta w stosunku do danej ustawy tylko z jednego z tych instrumentów. Oznacza to, że złożenie wniosku do Trybunału Konstytucyjnego o zbadanie zgodności ustawy z Konstytucją zamyka mu drogę do posłużenia się wetem. Może on także odesłać ustawę Sejmowi do ponownego rozpatrzenia. Dla odrzucenia weta prezydenckiego Sejm potrzebuje 3/5 głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów.

Ważną kompetencją prezydenta, która związana jest relacjami z rządem, jest zasada kontrasygnaty. Instytucja kontrasygnaty wprowadzona nowelą kwietniową do Konstytucji PRL zmuszała prezydenta nieodpowiedzialnego politycznie przed Sejmem, do współpracy z Radą Ministrów w sferze wydawania wykonawczych przepisów prawa, wymagając podpisu pod takim aktem prezesa Rady Ministrów. Nowela przewidywała kontrasygnatę premiera dotyczącą aktów prawnych o istotnym znaczeniu. Szczegółowo sprawę kontrasygnaty uregulowała Mała Konstytucja, przypisując kwestie odpowiedzialności nie tylko premierowi, ale także ministrom, uwzględniając ich udział na etapie inicjowania i akceptowania treści aktów prawnych.

Następcą Lecha Wałęsy został Aleksander Kwaśniewski, który został zaprzysiężony na urząd Prezydenta RP 23 grudnia 1995 roku. Urząd prezydenta sprawował przez następną kadencję. Wygrał wybory 8 października 2000 roku, w pierwszej turze otrzymując 53,9 proc.

głosów. W trakcie pierwszej kadencji współtworzył projekt i uczestniczył w kampanii do referendum konstytucyjnego na rzecz przyjęcia Konstytucji III Rzeczypospolitej Polskiej, którą podpisał 16 lipca 1997 roku. W trakcie I kadencji wniósł projekty 20 ustaw, podpisał 671 ustaw, zawetował łącznie 11 ustaw, a 13 skierował do Trybunału Konstytucyjnego. W II kadencji wniósł 24 projekty ustaw, podpisał 1123 ustawy, zawetował 24 ustawy, a 12 skierował do Trybunału Konstytucyjnego. W ciągu 10 lat sprawowania urzędu Prezydenta RP ośmiokrotnie zwoływał Radę Gabinetową, w tym raz z udziałem rządu AWS-UW, sześciokrotnie z udziałem rządu lewicowo-peeselowskiego, raz z mniejszościowym rządem premiera Marka Belki.

Lech Kaczyński objął urząd Prezydenta RP 23 grudnia 2005 roku wygrał wybory w drugiej turze, pokonując Donalda Tuska. Pierwszy okres prezydentury (2005–2007) przypadł na czas rządów PiS-LPR-Samoobrona RP, drugi na rządy PO-PSL. W trakcie swej nieodkończony kadencji zgłosił 43 inicjatywy ustawodawcze, prawie tyle samo co prezydent Kwaśniewski w ciągu 10 lat sprawowania urzędu, podpisał 84 ustawy, zawetował 18 ustaw, skierował 17 ustaw do Trybunału Konstytucyjnego. W ciągu czterech lat prezydentury Lech Kaczyński zwoływał Radę Gabinetową czterokrotnie.

Rola ustrojowa i polityczna prezydenta w systemie władzy politycznej w Polsce jest ważna i spełnia on wiele funkcji. Wybór prezydenta w powszechnych, bezpośrednich i większościowych wyborach przyczynia się do podniesienia legitymacji politycznej tego urzędu oraz wzmocnienia jego autorytetu ustrojowego.

Zasady i tryb wyboru prezydenta RP określa Konstytucja, która stanowi, że prezydent jest wybierany przez Naród w wyborach powszechnych, równych, bezpośrednich, w głosowaniu tajnym. Na Prezydenta RP wybrany zostaje kandydat, który otrzymał więcej niż połowę ważnie oddanych głosów. Jeżeli żaden z kandydatów nie uzyska wymaganej większości, czternastego dnia po pierwszym głosowaniu przeprowadza się ponowne głosowanie. W drugim głosowaniu wyboru dokonuje się spośród dwóch kandydatów, którzy w pierwszym głosowaniu otrzymali kolejno największą liczbę głosów. Jeżeli którykolwiek z dwóch kandydatów wycofa zgodę na kandydowanie, utraci prawo wyborcze lub umrze, w jego miejsce do wyborów w ponownym głosowaniu dopuszcza się kandydata, który otrzymał kolejno największą liczbę głosów w pierwszym głosowaniu. W takiej sytuacji datę ponownego głosowania odracza się o dalszych 14 dni. W drugim głosowaniu na Prezydenta Rzeczypospolitej wybrany zostaje kandydat, który otrzymał więcej głosów.

Cechą charakterystyczną elekcji pre-

zydenckich jest stosunkowo wysoka, jak na polskie warunki frekwencja wyborcza osiągająca próg 50 proc. Frekwencja w I turze wyborów 2005 roku wyniosła 49,74 proc., by w dwa tygodnie później podskoczyć do poziomu 50,99 proc. Rzadko się zdarza, aby frekwencja w drugiej turze była wyższa niż w pierwszym głosowaniu. Oznaczało to bardzo wysoką mobilizację społeczeństwa i elektoratów obu kandydatów. Wystarczy porównać wysoką frekwencję wyborczą w wyborach prezydenckich ze zdecydowanie niższą frekwencją w wyborach samorządowych. W wielu gminach i miastach frekwencja wyborcza w drugiej turze wyborów wójta, burmistrza i prezydenta jest prawie o połowę niższa niż w pierwszej rundzie.

Wyniki wyborów prezydenckich w gminach i miastach Zagłębia Dąbrowskiego po pierwszej turze 9 października 2005 roku oraz drugiej turze 23 października 2005 roku przedstawia tabela.

W wyborach prezydenckich 2005 roku w szranki stanęło 12 kandydatów. Obok wymienionych w tabeli zgłoszono następujących kandydatów: Henrykę Teodorę Bochniarz, Leszka Henryka Bubla, Liwiusza Mariana Ilasza, Janusza Ryszarda Korwin-Mikkego, Jana Pyszko, Adama Andrzeja Słomkę oraz Stanisława Tymiańskiego. Pierwsza tura wyborów nie przyniosła rozstrzygnięcia. Żaden z kandydatów nie uzyskał więcej niż połowy ważnie oddanych głosów. Do drugiej tury przeszli: Donald F. Tusk, zdobywając 36,33 proc. głosów wyborców oraz Lech A. Kaczyński, którego poparło 33,10 proc. Polaków.

Wyniki w województwie śląskim odbiegały od ogólnokrajowych. Przewaga Donalda Tuska nad Lechem Kaczyńskim wyniosła 8,5 proc. głosów, a więc była o 5 proc. większa. W powiecie będzińskim przewaga D. Tuska nad L. Kaczyńskim wzrosła do ponad 13 proc. i była większa w miastach niż w gminach wiejskich. Największą różnicę odnotowano w Wojkowicach i Będzinie, najmniejszą w Sievierzu. W żadnej gminie i mieście powiatu będzińskiego L. Kaczyński nie pokonał D. Tuska.

Inaczej przedstawiał się obraz wyborczy w powiecie zawierciańskim, gdzie liderem pierwszej tury w 6 gminach wiejskich był lider Samoobrony Andrzej Lepper, a przewaga D. Tuska nad L. Kaczyńskim nie przekroczyła 5 punktów. W 4 gminach wiejskich L. Kaczyński pokonał D. Tuska.

W dużych miastach Zagłębia Dąbrowskiego najbardziej zbliżony do wyniku wojewódzkiego rezultat odnotowano w Jaworznie, gdzie różnica głosów między D. Tuskiem i L. Kaczyńskim wyniosła ponad 6 proc. W Sosnowcu Tusk wyprzedził Kaczyńskiego o ponad 11 punktów, a w Dąbrowie Górniczej różnica wyniosła prawie 13 proc.

Rezultaty drugiej tury wyborów prezydenckich z Zagłębiu Dąbrowskim odbiegają

Wyniki wyborów prezydenckich w Zagłębiu Dąbrowskim w 2005 roku

Kandydat	Borowski Marek Stefan [%]	Kaczyński Lech Aleksander I/II tura, [%]	Kalinowski Jarosław [%]	Lepper Andrzej Zbigniew [%]	Tusk Donald Franciszek I/II tura, [%]
Gmina					
Województwo Śląskie	11,71	32,95/49,11	0,87	9,37	41,53/50,89
Powiat będziński	17,87	26,05/46,62	1,02	11,66	39,10/53,38
Będzin	19,01	25,57/44,22	0,67	10,01	40,40/55,78
Bobrowniki	15,16	28,27/49,19	1,22	11,04	40,16/50,81
Czeladź	19,84	25,91/46,18	0,69	9,29	40,02/53,82
Mierzęcice	17,81	23,69/54,94	2,34	21,82	30,34/45,06
Psary	18,63	24,35/46,61	1,51	14,60	36,93/53,39
Siewierz	9,93	30,25/ 57,98	3,08	20,79	31,65/42,02
Ślawków	14,72	31,13/53,52	0,77	11,20	36,96/46,48
Wojkowice	17,33	22,0/37,18	0,63	11,66	43,99/62,82
Dąbrowa Górnicza	18,44	26,77/45,93	0,73	10,0	39,56/54,07
Jaworzno	14,47	32,93/49,21	0,73	8,35	39,72/50,79
Sosnowiec	19,92	27,64/45,68	0,57	8,86	38,78/54,32
Powiat zawierciański	14,04	26,27/56,41	2,21	22,79	31,12/43,59
Irządze	5,07	18,59/78,47	4,86	56,49	13,31/21,53
Kroczyce	9,60	21,78/65,38	2,97	41,18	22,12/34,62
Łazy	15,27	26,76/51,87	1,31	17,49	34,91/48,13
Ogrodzieniec	11,60	29,91/58,27	1,30	22,34	31,64/41,73
Pilica	7,36	28,90/76,24	6,24	37,22	18,03/23,76
Poręba	18,56	24,96/47,77	1,29	15,25	35,64/52,23
Szczekociny	6,98	24,31/68,87	5,16	38,60	21,99/31,13
Włodowice	13,13	25,91/60,36	1,78	28,96	27,06/39,64
Zawiercie	17,48	26,69/48,54	0,95	13,79	37,02/51,46
Zarnowice	5,18	23,16/85,49	7,36	52,16	10,46/14,51

od wyników wojewódzkich oraz ogólnokrajowych. Lech Kaczyński zdobył 54,04 proc. głosów, a Donald Tusk 45,96 proc.

W powiecie będzińskim wyniki głosowania były odwrotne z zachowaniem odsetka głosów uzyskanych przez obu kandydatów. W Będzinie, Czeladzi i Wojkowicach zdecydowanie wygrał D. Tusk. W Mierzęcicach, Siewierzu i Ślawkowie wyraźną przewagę uzyskał L. Kaczyński.

W powiecie zawierciańskim wyniki były zbliżone do rezultatu ogólnopolskiego. Tylko w Porębie i Zawierciu D. Tusk pokonał L. Kaczyńskiego. W pozostałych miastach i gminach powiatu zawierciańskiego zdecydowanie zwyciężył L. Kaczyński.

Kampania wyborcza 2010 roku rozpoczęła się postanowieniem Marszałka Sejmu z dnia 21 kwietnia 2010 roku *O zarządzeniu wyborów Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w dniu 20 czerwca 2010 roku*. Komitety wyborcze do 6 maja zarejestrowały 22 kandydatów. 17 maja 2010 roku Państwowa Komisja wyborcza obwieściła następującą listę 10 zarejestrowanych kandydatów na prezydenta: Marka Jurka, Jarosława Kaczyńskiego, Bronisława Komorowskiego, Janusza Korwin-Mikkego, Andrzeja Leppera, Kornela Morawieckiego, Grzegorza Napieralskiego, Andrzeja Olechowskiego, Waldemara Pawlaka i Bogusława Ziętka.

Sondaże opinii publicznej, które stano-

wią element trwającej już od kilku tygodni kampanii wyborczej wskazują na dominację dwóch kandydatów: Jarosława Kaczyńskiego i Bronisława Komorowskiego. O ile na początku kampanii wyraźnie przewodził ten drugi, to z upływem czasu zaczyna rosnąć poparcie dla Jarosława Kaczyńskiego. Biorąc pod uwagę wyraźną polaryzację sceny politycznej, która jest zdominowana przez PiS i PO i ich kandydatów na prezydentów przy coraz bardziej wyrównującej się rywalizacji między nimi, należy się spodziewać drugiej tury wyborów 4 lipca tego roku.

Nie wchodząc w konsekwencje polityczne kandydatów na prezydenta, a kierując się wyłącznie kryterium ich przynależności regionalnej, należy zwrócić uwagę na fakt, iż Bogusław Ziętek jest Zagłębiakiem. Życzymy mu sukcesu i satysfakcji.

Od redakcji

Z sondy przeprowadzonej w kilku gminach i miastach zagłębiowskich wynika, iż przygotowania do wyborów prezydenckich przebiegają sprawnie. - Obecnie działania znajdują się na etapie przygotowywania lokali wyborczych i ich odpowiedniego wyposażenia – mówi Halina Palenica, pełnomocnik ds. wyborów w Sosnowcu. Trwa powoływanie komisji obwodowych. W związku z dużym zainteresowaniem pracą w komisjach wszystkich komitetów kandydatów na Prezydenta RP

przeprowadza się losowania miejsc w 115 komisjach.

W Szczekocinach, według słów Artura Gąsiora – sekretarza miasta i gminy, losowanie miejsc w komisjach obwodowych będzie miało charakter otwarty i odbędzie się 1 czerwca o godz. 14.00 w Urzędzie Miasta i Gminy.

Według Pani Beaty Siodlak z Urzędu Miejskiego w Będzinie, wszyscy przedstawiciele zainteresowanych komitetów wyborczych zasiądą w 31 komisjach, w związku z czym losowania nie będzie. Komisje powinny zostać powołane do 6 czerwca.

Generalnie nie zmienia się lokalizacja obwodowych komisji do głosowania. W kilku przypadkach władze samorządowe poinformują o tym fakcie mieszkańców.

Leszek Jaklewicz, Kierownik Biura Spraw Obywatelskich, Wojskowych i Ewidencji Ludności UM w Dąbrowie Górniczej przypomina, że w sytuacji gdy wyborca będzie przebywał w dniu głosowania w innej miejscowości, powinien najpóźniej na 2 dni przed wyborami zgłosić się do Wydziału Ewidencji Mieszkańców w celu odebrania zaświadczenia o prawie do głosowania bądź dopisać się do spisu wyborców w innych gminach.

Sekretarz Miasta i Gminy Szczekociny przypomina, że osoby niepełnosprawne bądź w podeszłym wieku mogą udzielić pełnomocnictwo do głosowania wybranej osobie.

Zanim Mieczysław Bizoń związał się ze Śląskiem, najpierw trafił do Zagłębia. Działo się to w roku 1916, w przełomowym okresie pierwszej wojny światowej. Miał wtedy 31 lat, trochę praktyki zawodowej, dyplom inżyniera ciężkich motorów elektrycznych i dobrą znajomość języka niemieckiego, a przede wszystkim zapal i liczne pomysły. Wychowany w polskiej tradycji patriotycznej, jak większość młodych owych czasów przeczuwał zbliżającą się niepodległość i całą energię koncentrował na zaangażowaniu w budowę nowego niepodległego państwa.

Zapomniany doktor honoris causa

Nauczyciel Zagłębiaków i Ślązaków

Henryk Szczepański

Urodził się w Przemyślu 12 sierpnia 1885 roku w rodzinie zasłużonego pedagoga prof. Franciszka Bizonia, nauczyciela galicyjskich gimnazjów, dyrektora lwowskiego seminarium nauczycielskiego i autora podręczników do dziejów wychowania. Dzieciństwo spędził w Nowym Sączu. Tam ukończył gimnazjum. Maturę otrzymał we Lwowie w roku 1904, a 5 lat później dyplom inżynierski w tamtejszej Wyższej Szkole Technicznej.

Jako instruktor i wykładowca rozpoczął pracę na kursach monterskich Koła Elektrotechników przy Stowarzyszeniu Techników w Sosnowcu. Od 1922 roku nauczał w tutejszej Państwowej Szkole Średniej Techniczno-Kolejowej, a następnie aż do 1928 roku w Wojewódzkiej Szkole Mechanicznej w Królewskiej Hucie. Równocześnie wykładał w Szkole Budownictwa Związku Samodzielnych Polskich Budowniczych na Śląsku.

Od 1928 do 1934 roku prowadził kursy zawodowe w Śląskim Instytucie Rzemieślniczo-Przemysłowym. Od roku 1934 należał do grona wykładowców Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych, wtedy mieszczących się jeszcze przy ul. Krasińskiego w Katowicach. Prowadził tam ćwiczenia oraz zajęcia

z elektromechaniki i maszyn elektrycznych. Był pedagogiem doskonalącym własne umiejętności. Jego marzeniem była dydaktyka uwzględniająca intelektualne możliwości ucznia. Taka motywacja skłoniła go do pogłębionego zainteresowania logiką, o czym pisze w swoich wspomnieniach: *Jak długo uczyłem elektrotechniki ogólnej, budowy maszyn elektrycznych, tak długo było wszystko w porządku, zdawało mi się, że wiem więcej, aniżeli wiedzą moi uczniowie, a ucząc, zależało mi tylko na metodzie podejścia do ucznia, aby w jak najprzystępniejszy sposób przyswoić mu wiadomości. Pierwsze lekcje fizyki zniewoliły mnie do powściągliwszego mówienia, a kilka lat później lekcje arytmetyki w Szkole Budownictwa w Katowicach mowę mi odebrały. Zaczęła się poważna praca nad samym sobą. Poprzez najpoważniejsze dzieła matematyczne, które oprócz zmęczenia nie dały mi najmniejszej satysfakcji, wysuwając coraz to nowe niezałatwione problemy, przeniosłem się z kolei na teren logiki. Studiując logikę inż. Bizoń dochodzi do wniosku, że ma ona dostarczyć każdej nauce jak najdoskonalszych narzędzi, usprawniających pracę myślową, a w konsekwencji umożliwić równoległe rozumne działanie w każdej dziedzinie.*

z Katowic i rusza w pięciodniowy maraton. Finał tego exodusu jest fatalny. Bizoń dociera do Lwowa 8 października i zapada na ciężkie zapalenie płuc. Dopiero po czterech miesiącach na skutek namów i starań rodziny daje się przekonać i wraca do Krakowa, gdzie zamieszkuje u krewnych swej żony Marty.

Oni pomagają mu w rekonwalescencji i znajdują zatrudnienie. To w czasie okupacji było najważniejszym obowiązkiem każdego Polaka. Bez Ausweiskarte – legitymacji stwierdzającej, gdzie pracuje, trafiał do niemieckiego więzienia lub obozu koncentracyjnego.

Jego szwagierka Helena od wielu lat jest żoną Mariana Grussa, polskiego biznesmena niemieckiego pochodzenia, prowadzącego firmy w Krakowie i Warszawie.

Patriotyczne uczucia Bizonia zostają wystawione na próbę. Długo nie może się pogodzić z faktem, że musi pracować dla okupanta. Jednak stan zdrowia, rodzinne więzy, a wreszcie w gruncie rzeczy autentyczna życzliwość Grussów dla Polaków i polskich tradycji pomagają mu przełamać lody i w październiku 1940 roku zostaje oficjalnie zatrudniony jako inżynier utrzymania ruchu w warszawskiej firmie M.A.Gruss & Söhne (warsztat reperacyjny hamulców pneumatycznych i pomp wtryskowych do silników spalinowych w samochodach ciężarowych). Wraz z żoną zamieszkuje w stolicy przy ul. Mokotowskiej 46.

Nie marnuje czasu. Wciąż pracuje nad udoskonalaniem własnej metodyki nauczania. Już we Lwowie, zaraz po wkroczeniu wojsk sowieckich, korzystając z uprzejmości prof. Leona Chwistka studiuje księgozbiór logiczny dawnego Uniwersytetu Jana Kazimierza. Uczęszcza na wykłady profesorów Ingardena i Ajdukiewicza. Przedmiotem jego studiów jest logika i jej praktyczne zastosowania w procesie dydaktycznym.

Gdy znalazł się w Warszawie, nawiązał osobisty kontakt z prof. Janem Łukasiewiczem, którego *Elementy logiki matematycznej* studiował jeszcze przed wybuchem wojny. Od profesora dowiaduje się, że jego autorskie skrypty, zawierające bezcenne wiadomości i odkrycia spłonęły w pożarach, podczas wkraczania Niemców do bohatercko broniącej się stolicy.

Mieczysław Bizoń. Fot. arch. rodzinne Edmunda Szczepańskiego



Okupacyjne ścieżki

Po zajęciu Śląska przez Niemców, tak jak tysiące innych uciekinierów przedostaje się na wschodnie rubieże Rzeczypospolitej. Już 3 września 1939 roku opuszcza swój gabinet, a na biurku pozostawia otwarte *Elementy logiki matematycznej* Łukasiewicza. Przypuszcza, że do lektury wróci najpóźniej za kilka dni. Wydostaje się

BIZOŃ & ZIEMBA
Inżynierowie
Dom Handlowo-Przemysłowy
Spółka z ogr. odpow.
SOSNOWIEC, | WARSZAWA,
Kollářna 9, I piętro, telefon 33. | Wspólna 60, m. 2.
Adres dla depesz: BIZIEMBA-Sosnowiec, BIZIEMBA-Warszawa.
Posiadając zastępstwa fabryk krajowych i zagraniczn.
DOSTARCZAMY:
Żelazo handlowe, blachy zwykłe, czarne, blachy dekapowane, ocynkowane, gwoździe; stal wszelkich gatunków z huty górnośląskiej „Baildon”.
Automobile marki Olsmobile i Wanderera.
Lodzie motorowe.
Silniki i silnice elektryczne na prąd stały i zmienny, kable i przewody jako też wszelkie artykuły elektrotechniczne.
Maszyny obrabiarcze.
Kołowroty z napędem elektr. lub parowym, liny, pasy skórzane i z sierści wielbłądziej, parcie, lokomotywy parowe i elektryczne, armatura kotłowa, wrębówki powietrzne fabrykacji „Demag”.
Beczki żelazne
na benzynę i spirytus, pompy centrifugalne i tłokowe, oraz wszelkie artykuły techniczne.
Projekty i kosztorysy
wszelkich urządzeń mechaniczno-elektrotechnicznych na życzenie.
Obsługa fachowa i szybka.

4 Hurtowy Skład Apteczny **G. LEITNER** patrz str. 54
Dąbrowa Górnicza.

W tej sytuacji inż. Bizoń prosi prof. Łukasiewicza o cykl indywidualnych wykładów z logiki wielowartościowej. Korzystając z uprzejmości uczonego, już 1 lipca 1942 roku rozpoczyna naukę w prywatnym gabinecie profesora przy ul. Brzozowej.

Po każdej lekcji sporządza szczegółowe notatki i gromadzi cenny materiał, który później, po wyzwoleniu, posłuży mu do opracowania Genezy logiki. Już w Katowicach własnym nakładem wyda ją w roku 1946.

Po trzech latach przenosi się do Krakowa i tu, wciąż u Grussów, pracuje nadal jako inżynier utrzymania ruchu w ich firmie Diesel-Service M.A.Gruss mieszczącej się przy ul. Retmańskiej 6. Wraz z żoną zamieszkuje przy ul. Jasnej 4.

Powrót nad Rawę

Gdy Armia Czerwona przekracza Wisłę, Grussowie likwidują swoje interesy w Polsce i emigrują do Wenezueli. Inżynier Bizoń wraca do Katowic. Tutaj natychmiast po wyzwoleniu zajmuje się organizacją szkolnictwa zawodowego. Jest pierwszym dyrektorem ponownie

uruchomionego Instytutu Rzemieślniczo-Przemysłowego.

Otwiera też własne prywatne Biuro Handlowo-Montażowe. Zamieszkuje w dzisiaj nieistniejącej już kamienicy przy ul. Młyńskiej 22. Mieszkał tu także przed wojną i był jej właścicielem.

Wychodząc na przeciw potrzebom tamtych czasów, a także idąc w ślady swego ojca, poświęca się pisarstwu pedagogicznemu oraz dydaktyce. Píše i wydaje: *Logikę*, czyli *wstęp do popularnego zarysu logiki teoretycznej* (Katowice 1945) oraz *Genezę Logiki* (Katowice 1946).

W roku 1948 Międzynarodowa Akademia im. Juliusza Pereza, rektor i senat Uniwersytetu w Tuluzie wyróżniają Mieczysława Bizonia – Profesora Inżynierii Mechanicznej i Elektrycznej – tytułami doktora honoris causa i dożywotniego członka Akademii.

Magnificencja rektor, prof. Henry H. Chellew, uzasadniając nadanie godności, podkreślał, że na wyróżnienie zasługują: *czcigodny wkład w rozwój logiki matematycznej, jako podstawy całkowicie nowych sposobów rozumowania, jak również (...) jego osobisty wysiłek i poświęcenie, podczas najtrudniejszego i niebezpiecznego okresu Wojny Światowej, na przekór nieopisanym trudnościom, wrogiej okupacji oraz barbarzyńskiemu niszczeniu naukowego dorobku słynnego systemu logiki, opracowanego w Polsce, na Uniwersytecie Warszawskim, przez prof. Jana Łukasiewicza, ludzkość utraciłaby szkic i główne zasady tej teorii, gdyby nie dzielny wysiłek prof. Mieczysława Bizonia.*

Nominacja dla prof. M. Bizonia była jednocześnie wyrazem hołdu, jaki uczeni świata chcieli w ten sposób wyrazić dla mądrego i heroicznego ducha Polski i jej wielkich Naukowców.

Latem 1949 roku pan Mieczysław przeszedł pierwszy zawał serca. Na szczęście udało się go przemóc. W cztery lata później, 12 sierpnia 1953 roku finał jest tragiczny. Inżynier

Bizoń umiera. Zgodnie ze swoją wolą zostaje pochowany w rodzinnym grobowcu obok swego ojca.

Grobowiec rodziny Bizoniów znajduje się na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Tam obok seniora rodu Franciszka i pierworodnego Mieczysława spoczywają jego syn Józef oraz synowa Marta z Krantzów. Właśnie ona była ostatnim kustoszem rodowych tradycji i pamiątek. Dożyła sędziwego wieku 93 lat. Zmarła w grudniu 1981 roku. Ostatnie lata życia spędziła w Katowicach, w czynszowym mieszkaniu przy ul. Moniuszki 12.

Zapomniany salon pani Bizoniowej

Ciasny i po brzegi wypełniony pokój nazywany „złotym salonikiem” był prawdziwym skansenem dawnej świetności. Starannie dobrane płótna – oryginały i kopie – najznakomitszych mistrzów malarstwa dodawały blasku zgrabnym, secesyjnym szafom, kredensom i sofom. Zza szyby stylowej witryny spoglądały uroczne figurki i subtelnie wymodelowane naczynia z porcelany, wśród których nie brakowało wytwornych, miśnieńskich unikatów. Półki wciąż były wypełnione książkami, a honorowe miejsca na nich przypadły tytułom, które wyszły spod pióra Mieczysława Bizonia i jego ojca Franciszka.

Sędziwa Marta Bizoniowa chętnie wracała wspomnieniami do początku stulecia, a jeszcze chętniej do opowieści o swoim ukochanym małżonku, którego fotografia stanowiła najważniejszą ozdobę zabytkowego fortepianu i przypominała o szczęśliwie wspólnie przeżytych 28 latach. Zawsze na Mieczysława, w każdą rocznicę jego urodzin i przy okazji innych świąt zapalała świece, a wtedy salon wypełniała kryształowo pozbiciasta jasność.

Zasiadała przy klawiaturze i tak jak przed laty grała i śpiewała ulubione szlagiery albo melodie operetkowe „niezapomnianego Miecia”. Jedną z nich było tango *Trudno* skomponowane w Katowicach, w 1936 roku przez Kazimierza Grussa do słów Zbigniewa Maciejowskiego.

Ta prywatna minigaleria miała swoich wielbicieli. Nie była powszechnie znana, ale miała wcale liczną publiczność, bywali tutaj najbliżsi znajomi i krewni, którzy w jej wnętrzu umieli odnaleźć urok fin de siecle'u. Zaglądali tu też katowiccy marszandzi lat 70. i coraz częściej na ścianach pozostawiali puste miejsca.

Zacna wdowa, dawniej przywykła do wygód i wygodnego stylu życia, z każdym rokiem ubożała. Była co prawda właścicielką kamienicy w Katowicach i Krakowie, ale w tamtych latach, jako posesjonat, wrogo traktowany przez władzę ludową, nie mogła czerpać pożytków z wynajmowania lokali. Tak więc cenne ruchomości żegnały się ze swoją właścicielką, aby zdobić wnętrza innych zamożniejszych domów, a jej zapewnić jaką taką egzystencję.

W współczesnym kalendarzu świątecznym nadal mamy do czynienia z dwoma elementami: chrześcijańskim oraz pogańskim, które mając za sobą długie wieki współistnienia, spłoty się w całość. Omawiając różnorodne święta, powinniśmy o tym pamiętać.

Święta początku lata

Dobrawa Skonieczna-Gawlik

Święto na każdą porę roku

Przeobrażenie starych obrzędów następowało powoli, a duży wpływ na te zmiany miało początkowo duchowieństwo, a następnie władze państwowe. Nie bez znaczenia dla zachowania tradycji świętowania było także pogłębiające się w miarę postępowania urbanizacji zróżnicowanie klasowe społeczeństwa, współcześnie także unifikacja treści kulturowych, nasz styl życia, łatwość przemieszczania się, dostępność informacji i szybkość ich transmisji. Dzisiejsze społeczeństwo dokonuje wyboru pomiędzy starą tradycją przekazywaną z pokolenia na pokolenie a nowymi zwyczajami przychodzącymi nie tylko z różnych regionów Polski, ale również z innych – często odległych – krajów.

Każda z pór roku obfituje w różnorodną tradycję związane zarówno z obrzędowością „kościelną”, jak i z kulturą ludową. Na maj i czerwiec przypadają trzy święta: Zielone Świątki, Boże Ciało oraz Noc Świętojańska. Przez Jana Stanisława Bystronia, wybitnego polskiego etnografa, święta te zostały nazwane świętami „początku lata”. Boże Ciało jest świętem o charakterze wyraźnie religijnym, natomiast Zielone Świątki i wigilia św. Jana pobrzmiewają jeszcze echem dawnych świąt ku czci przyrody i miłości, w czasie których młodzi ludzie dobierali się w pary.

Zielone Świątki

Nazywane są w Kościele Świętem Zesłania Ducha Świętego i jest to pozostałość dawnego święta agrarnego obchodzonego przez naszych przodków. Należy ono do świąt ruchomych, czyli jego termin uzależniony jest od terminu wcześniejszej Niedzieli Wielkanocnej, ta z kolei przypada na

pierwszą niedzielę po pierwszej wiosennej pełni księżyca. Zielone Świątki obchodzone są zatem pięćdziesiąt dni po Wielkanocy.

Dawniej święto to obfitowało również w praktyki magiczne. Ludność Zagłębia Dąbrowskiego przystrajała swe domostwa zielonymi gałązkami i tatarakiem. Jeszcze w latach 40. XX wieku powszechnie majono domy, przyozdabiano bramy oraz dekorowano wnętrza domostw tatarakiem, gałązkami brzozy, kasztanowca, lipy oraz buku.

W rolniczych dzielnicach zagłębiowskich miast oraz okolicznych wsiach do zwyczajów zielonoświątkowych należało uroczyste obchodzenie pól uprawnych. Po mszy spod kościoła wyruszała procesja prowadzona przez księdza. Według informatorów zwyczaj ten na obszarze pogranicza małopolsko-śląskiego zaczął zanikać już w latach 20. XX wieku, jednakże w okolicach rolniczych jeszcze po drugiej wojnie światowej sporadycznie można zobaczyć można było takie procesje. Grzegorz Odoj, badacz zwyczajów sławkowian, pisał, że z kościoła wyruszała procesja wiernych z kapłanem, na początku której niesiono krzyż ozdobiony kwiatami, następnie obrazy i figury świętych oraz chorągwie. Wierni idąc granicami pól modlili się i śpiewali pieśni religijne, a ksiądz święcił pola, aby dawały dobre plony i nie były nękanie szkodnikami.

Michał Federowski, autor Ludu okolic Żarek, Siewierza i Pilicy... zanotował, iż w drugi dzień Zielonych Świątek urządzało się sobótki, czyli palenie ognisk, mające źródło w obrzędach pogańskich odprowadzanych na cześć słońca. O spotkaniach przy płonących na wzgórzach i wzniesieniach ogniskach wspominają najstarsi

zagłębiacy: w czasie tych spotkań płonęły wysokie ognie a zgromadzona na polanie młodzież tańczyła i skakała przez dogasające ognisko śpiewając:

*A teraz ten wieczór sławny,
Świećmy jako zwyczaj dawny,
Niecąc ognie do świtania,
Nie bez pieśni, nie bez grania.*

Palenie sobótki na górze św. Doroty w okolicach Będzina odnotowuje Marian Kantor – Mirski, pisząc również o chodzeniu z królową - zwyczajem obchodzenia domów przez dziewczęta w gronie których jedna ustrojona była w wieniec z ruty i barwinku. Natomiast chłopcy wybierali z pomiędzy siebie króla pasterzy, a zostawał nim ten kto w wigilię Zielonych Świąt znalazł się pierwszy na pastwisku z bydłem.

Stopniowy zanik zwyczaju palenia ognisk sobótkowych zauważyli dwaj XIX-wieczni etnografowie zajmujący się obszarem dzisiejszego Zagłębia Dąbrowskiego: Stanisław Ciszewski i Michał Federowski. Pierwszy z nich napisał tak: *Zwyczaj ten jednak coraz bardziej zarzucają. Pieśni nie śpiewają [...] żadnych; skaczą tylko przez ogień. Natomiast M. Federowski poczynił takie spostrzeżenie: eee Być może, że jak i w innych okolicach kraju naszego, tak i tu za lat kilka lub kilkanaście nie rozświecili nocy tej ogień bylicowy [...] i nie zakłóci jej ciszy daleko roznoszącym się echem śpiewu dziewcząt, tańczących w koło ognisk, niby fantastyczne postacie duchów.*

Jednakże w czasach, gdy tradycja ognia sobótkowego była jeszcze żywa, dziewczęta ze wsi zbierały się dzień wcześniej i układały pieśń o cnotach oraz przywarach chłopców tzw. ochwiarę. W pieśni tej tekst pozostawał corocznie ten sam – wychwalał zalety jednych chłopców i jednocześnie wytykał wady innych. Dziewczęta w zależności od zachowania kawalerów zmieniali imiona przypisane do zalet i wad wymienianych w pieśni.

Zwyczaj sobótki w szczątkowej formie zachował się jeszcze do lat 60. XX w., nie palono już wówczas tak dużej liczby ognisk (w okolicach Będzina w okresie międzywojennym zobaczyć można było każdego roku ponad pięćdziesiąt sobótek), a magiczny aspekt tego zwyczaju zastąpiony został funkcją zabawowo-towarzystwą. Współcześnie w Zagłębiu rzadko płoną zielonoświątkowe ognie sobótkowe, a dzisiejsza sobótki, jeśli już zapłonę, zdaniem wielu Zagłębiaków ma niewiele wspólnego z prastarą obrzędowością ludową.

Boże Ciało

Jest kolejnym świętem „początku lata” i, jak wspomniano, ma wymiar głównie religijny, to przede wszystkim święto Kościoła. Tego dnia po nabożeństwie odbywa się uroczysta procesja do czterech specjalnie na ten dzień wzniesionych ołtarzy. Liczbie ołtarzy przypisywany jest sens symboliczny – mają one oznaczać czterech ewangelistów lub też, według innej teorii – cztery pory roku.

Procesja Bożego Ciała, Sosnowiec Zagórze, 2009. Fot. B. Gawlik



Trasa procesji jest specjalnie przygotowana przez wiernych, którzy stroją ją zielonymi gałązkami brzoźowymi, chorągiewkami i kwiatami, a w oknach domów umieszczają obrazy święte, plakaty z wizerunkiem papieża bądź figurki Matki Boskiej.

Ołtarze, przy których zatrzymuje się procesja, przygotowywane są przez parafian. Na wzniesionej konstrukcji przykrytej tkaninami, obrusami i dywanami umieszcza się obrazy o symbolice religijnej, świece, kwiaty i zielone gałązki brzoźowe. Coraz częściej pojawiają się również symbole religijne, takie jak hostia, sylwetka gołębiczy, złożone do modlitwy dłonie wykonane ze styropianu.

Procesja wyrusza z kościoła po jednej z do południowych mszy. Na czele procesji niesiony jest krzyż, potem feretrony, sztandary i poduszki z emblematami religijnymi. Przed kapłanem idą dziewczynki sypiące płatki kwiatów. Ksiądz idąc najczęściej pod baldachimem podtrzymywanym przez czterech mężczyzn, niesie monstrancję. W czasach, kiedy w Zagłębiu Dąbrowskim było więcej czynnych zakładów pracy, kopalni i hut, w procesji zazwyczaj brała udział orkiestra oraz górnicy i hutnicy w galowych mundurach. Dziś ma to miejsce tylko w niektórych parafiach zagłębiowskich.

Po zakończeniu obrzędów o charakterze religijnym wierni zrywali z ołtarzy brzoźkę i kwiaty. Po przyjeździe do domu gałązki te umieszczano za obrazem świętym i przechowywano do następnego roku, bowiem wiercono, że zasuszone ziele z ołtarza zapewni domowi i jego mieszkańcom szczęście oraz dostatek. Gałązki z ołtarzy wkładano również w ziemię na polu, aby uchronić uprawy od piorunów i gradobicia.

Obecnie nadal zielone gałązki zabierane są do domu przez część mieszkańców Zagłębia, lecz większość z nich, zwłaszcza ludzie młodzi i w średnim wieku, nie potrafią wytłumaczyć, dlaczego zabierają do domów ziele z ołtarzy. Odpowiadają, że „tak zawsze robiono”, „tak robiła moja mama”.

Niegdyś na oktavę Bożego Ciała kobiety i panny wily wianki z polnych kwiatów, takich jak fiołki i chabry oraz z ziół: macierzanki, rozchodnika, ruty, bylicy, kopytnika, rosziczki, koniczyiny i lubczyku. Wianuszki te, w liczbie nieparzystej, zanoszono następnie do kościoła, gdzie je święcono. Do dzisiaj w niektórych kościołach zwyczaj jest żywy. Wianki po przyniesieniu z kościoła wieszano zazwyczaj na zewnątrz domu nad oknami lub drzwiami, rzadziej wewnątrz. Powszechnie wiercono, że zioła użyte do wypełnienia wianków, po poświęceniu uzyskiwały moc magiczną – podobnie jak palma wielkanocna chroniły dom przed gradem i piorunami, zapewniając jednocześnie domownikom szczególną łaskę i błogosławieństwo Boskie. Do zabiegów magicznych wykorzystywano też wywar z ziół poświęconych w oktavę Bożego Ciała – podawano go krowom po ociepleniu, aby były zdrowe i miały dużo mleka. Poświęcony wianuszek wkładano także zmarłemu do trumny.

W wielu zagłębiowskich domach dzień Bożego Ciała nadal jest obchodzony jako świąteczny – po nabożeństwie i procesji spożywa się świąteczny obiad w gronie rodzinnym, a potem podaje się pieczone bądź kupione na tę okazję ciasto. Jednakże tylko nieliczne starsze kobiety praktykują jeszcze zwyczaj wyplatania i święcenia zielno-kwiatowych wianuszków w oktavę Bożego Ciała.

Noc Świętojańska

Z początkiem lata nierozdzielnie związany jest dzień świętego Jana, a zwłaszcza jego wigilia. Noc z 23 na 24 czerwca, ze względu na letnie przesilenie, uznawana była jako fakt niecodzienny, wiercono, że jest to noc dziwów, niewyjaśnionych zjawisk, tajemnic, złych i magicznych mocy. Uważano iż, wyjątkowo aktywne stawały się wówczas czarownice, a woda, ogień i niektóre rośliny nabierały niezwykłych własności. Dlatego też wigilia świętego Jana, podobnie jak wieczór wigilijny, była najbardziej odpowiednia na wszelkiego rodzaju zabiegi magiczne czy wróżby.

Taletnia noc nazywana jest nocą świętojańską bądź sobótką i najprawdopodobniej jest pozostałością pogańskich zwyczajów związanych z kultem słońca i wody. Nazwa „sobótką”, według Zygmunta Glogera, wzięła początek od soboty – dnia, którego wieczór służył powszechnie ludowi do zabawy.

Świętojańskim zwyczajem było palenie w pobliżu rzeki ognisk. Przy sobótkach zbierała się młodzież, która wieczór i noc spędzała na śpiewach, tańcach i skokach przez ognisko. Tej nocy dozwolone były spotkania panien i kawalerów bez nadzoru dorosłych, spotkania uznawane na co dzień jako nieestosowne. Dziewczęta, które zamierzały brać udział w sobótkach, już z samego rana obwijały się bylicą, co miało uchronić je przed bólami głowy i krzyża w czasie nadchodzących zniw. Ponadto bylicą strojono obrazy święte oraz całe wnętrza domu.

Kościół wprowadzając chrześcijaństwo pragnął powiązać palenie świętojańskich ogni z wigilią Zielonych Świątek, stąd w niektórych regionach Polski, w tym również w Zagłębiu Dąbrowskim, niegdyś płonące ognie można było zobaczyć zarówno w Zielone Świątki, jak w wigilię świętego Jana.

Noc świętojańska była idealna na kojarzenie małżeństw, dlatego też dziewczęta puszczały na wodę korony, czyli wieniec wyplecione misternie z różnych ziół, takich jak: rosziczka, ruta, szalwia, dziurawiec, łopian czy dziewanna. Na środku wianka niekiedy umieszczano świeczkę. Kawaler starał się wyłowić pływający po wodzie wianek tej dziewczyny, która mu się podobała. Zdobycie odpowiedniego wianka oznaczało odwzajemnienie uczucia i przepowiadało na rzeczeństwo, a nawet rychłe małżeństwo. Ze sposobu pływnięcia wianka również starano się wywróżyć przyszłość. Jeśli korona płynęła do brzegu spokojnie i lekko – świadczyło to o pomyślności lub prędkim związku małżeńskim dziewczyny, która wianek wypłota. Gdy



Ołtarz, z którego wierni po procesji zerwali zielone gałązki, Sosnowiec-Zagórze, 2009. Fot. B. Gawlik

jednak puszczonej na wodę wianek się oddalał, przewrócił się albo zatonał – prognozowano pannie niestałość w uczuciach bądź długie staropanieństwo.

Dawniej wiercono, iż Jan święci wodę – przestawała być ona groźna dla człowieka, można było więc rozpocząć letnie kąpiele. Do dnia dzisiejszego wielu mieszkańców Zagłębia Dąbrowskiego uważa, iż od 24 czerwca w jeziorach i rzekach jest na tyle ciepła, że można bezpiecznie się kąpać. Starsze pokolenie pamięta także przysłowie, które mówiło, iż po Janie pojawiają się w lasach jagody: Na święty Jan – jagód dżban.

Zarówno tradycja palenia świętojańskich ogni, jak i puszczenia wianków w Zagłębiu zanikła po II wojnie światowej. Natomiast nadal znane jest, podobnie jak w całej Polsce, podanie o zakwitaniu w tę noc kwiatu paproci. Uważano, że znalezienie go w ciemnym, gęstym lesie da niezwykłą moc, miłość, szczęście i bogactwo oraz pomoże w odnajdywaniu zagubionych rzeczy i widzeniu ukrytych skarbów. Na koniec dwa sposoby Michała Federowskiego na znalezienie cudownego kwiatu paproci raz do roku o północy świętojańskiej paproć pokrywa się kwieciami, które natychmiast opadać ma na ziemię. Otóż, jeżeli kto życzy sobie posiąść skarby, należy w tę noc rozłożyć tuż przy paproci obrus z ołtarza, a kwiatek, który nań opadnie, ma mieć tę szczególną własność, że doprowadzi szczęśliwego posiadacza w to miejsce, gdzie w głębiach ziemi owe skarby kryć się mają. Jest i drugi na to sposób, a mianowicie, aby w noc tę położyć się na spoczynek w guszy leśnej, gdzie obficie wyrasta paproć, a wśród snu człowiekowi takiemu przedstawić się ma jak najdokładniej to miejsce, w którym, zakopane przez nieczystą siłę, mieszczą się bajeczne skarby, pełne skrzyń złota, srebra i drogich kamieni. Być może ktoś z Państwa zdecyduje się na poszukiwanie tego niezwykłego kwiatu?

Wierzyć, nie wierzyć, ale poczytać można...

Zagłębiowskie godki

Kontynuujemy prezentację wybranych *Podani i Opowieści z Zagłębia Dąbrowskiego* z publikacji Śląskiego Instytutu Naukowego (1984 rok), zebranych i opracowanych przez Mariannę (†) i Dionizjusza Czubałów – długoletnich pracowników naukowych polonistyki Uniwersytetu Śląskiego.

Jak przestęp wykopać się nie dał

Tutej u nos o jednym to zaś mówili, że mo przestęp. Wszystkie sąsiadki na niego narzekały. Som miał takie krowy, że od każdy wiadra młyka doił. Przez to ziele, ściągał młyko od innych krow. Ludzie mu chcieli wykopać ten przestęp (mówio, że on korzyń to mo dwa metry w ziemi), ale miałcoł. Jak dziecko becoł.

Jak naga czarownica powróż doila

Znowu ciotka łopowiadała, jak nieboszczyk dziadek Baryła poszed w jedno miejsce. „Nie było żodnego w domu, to szukol. Wchodzi do chlywa, a kobita nago doi krowę. U stragarza uwiązany powróż, łuna siedzi i do wiadereczka doi z tego powroza, i mleko ino bębni. Dziadek po cichutku wyszed i ucik. Już wiency tam nie poszed ani do roboty, ani nijak.

O ciotce, która była czarownicą

Kupił ojciec krowę i poszed do ciotki, żeby wydoiła, bo mama była chora. Ona przysła i zaczarowała tą krowę tak, że mleka nie chciała dać. Doiła taką krwią, taką siarą. Ojciec mój był szewcem. Siedział, robił buty dla księdza. Ksiądz przyszedł, siadł i czekał na te buty. Ojciec mówi do księdza:

– Żona czary odczynia.

Mama wzięła od wozu sierzeń (to taki gruby gwóźdź jak ręka), rozpałiła go do czerwoności i przez chruścianą miotłę lała na sierzeń to zepsute mleko. Wierzyło, się, że wtedy ta czarownica przyleci. My patrzymy, a leci ciotka. Wchodzi i chce pożyczyć garnka. A mama tą miotłą – bo to miało pomóc – tą miotłą wyprała przy księdzu tą ciotkę i pomogło. Mleko krowie wróciło.

Jak czarownik krowę zepsutą naprawił

Te czarownice io som małpy takie. Leci tako we Wielki Piątek ze szmatom po obcych granicach, zbiro te rosę i kręci, i kręci z ty-ścirki do dzbanka. Potem daje to wypić swoi krowie. I wszystkie mleko pozbiro i śmietany. I drugie krowy ni majom albo krwiom dojom.

Jo miałam tako dobro krowę, a potem

tak się zrobiło – mleko z krwiom, śmietana tako niemilo. Jak przyszed ten chłop z Myszkowa, co te białom magię miał, to mu powiedziałam.

On wziol świniomom wodę i poloł na blachę, na łogień i cosi łodmowił, ale nie wim co.

I mleko się naprawiło. I dzisio mom dobre mleko z tyj samy krowy. Mnie jedna kobita nauczyła, co robić, żeby czarownica nie popsula krowy. Tak robię i tera mleko mam i śmietanę i wszystko jak się należy. Jak się idzie do święcenia z ziele, to trzeba do tego ziele włożyć przestęp. Później, jak się krowa ocieli, to się to święcone ziele gotuje i daje się pić krowie. I kadzę jeszcze wiankami. Wezmę na łopatkę albo na blaszany talerz trochę ognia, takiego żaru, i ten wianek na to położę. Okadzę tym wymię, pod mordę dam, w koło trzy razy łobejdę i zmówię Zdrowaś Mario. No,

i jeszcze trza posypać progi makiem, żeby ta czarownica nie weszła.

Jak czarownica do krow chodziła

Jeden mi tu opowiadał, że mu krowy ktoś psuł. Mleko miały niedobre, śmietanę niedobrą. Radził się u ludzi, co zrobić na to. Taki starszy człowiek powiedział mu tak:

– Pilnuj, czy ropuchy na wieczór do chlewa chodzą. Pilnuje, pilnuje. Chodzą.

– Która pierwsza przyjdzie, to ją – mówi tamten – złap i przybij gwoździem w chlewie. Niech tam będzie. Zobaczysz, że wtedy ktoś przyjdzie coś pożyczyć. Nie daj nic, tylko lochy weź i po kościach tę osobę, po kościach!

Przybił tę ropuchę, a tu przychodzi ktoś od swatowej coś pożyczyć. No, i jakże, swatom nie pożyczyć. Pożyczył i tą swatową uratowali, bo ona już zaczęła chorować, jak tą ropuchę przybił.

Rys. Ireneusz Bator, ilustracja z książki *Podania i Opowieści z Zagłębia Dąbrowskiego*



WSPOMNIENIA KAZACHSTAŃSKIE

Wiesław Blicharski

Boleść ludzi, z którymi dzieliliśmy wydarzenia wstrząsające, zasługuje na znacznie szerszą i dogłębną analizę – talentu jednak nie stało. Tę małą więc część historii, jaką zdołałem ocalić od zapomnienia, poświęcam moim Bliskim i Przyjaciołom.

Po zakończeniu prac wiosennych związanych z zasiewem zbóż do sianokosów byliśmy prawie bezrobotni, było jedynie plewienie, które zresztą zaczynało się i tak dopiero, jak zasiane zboże nieco odrosło. Nadeszło lato 1941 roku – drugi rok naszego zesłania. Latem łatwiej było zdobywać żywność, a więc łatwiej żyć.

Jednak 22 czerwca wybuchła wojna między Niemcami a Sowietami, co miało bardzo istotny wpływ na warunki naszego bytowania, które uległy znacznemu pogorszeniu pod każdym względem. Zaostrzona została dyscyplina pracy – nie można było bezkarnie odmówić wyjścia do roboty. Zdobycie pożywienia stało się dużo trudniejsze – miejscowej ludności (kolchoźnikom) zostały w znacznym stopniu zmniejszone przydziały zboża (ich trudodzień został okrojony). Cała produkcja żywności oddawana była dla armii. Nie nastąpiło to z dnia na dzień, ale z upływem czasu warunki pogarszały się. Uległy natomiast pewnemu ociepleniu stosunki sowiecko-polskie, co dla nas w pewnym stopniu było odczuwalne. Można było przemieszczać się z miejscowości do miejscowości, można było nawet zamieszkać gdzie indziej, ale w granicach oblasti. Od czasu do czasu przywożono polską gazetę, a co najważniejsze – dary. Nie wiem skąd one nadchodziły, ale kilka razy w roku docierały i były bardzo pomocne.

A oto co Zbyszek pozostawił w swoich zapiskach:

do 10 lutego 1942 roku nic ważnego nie było, ale tej daty którą wyżej napisałem, wieczorem przyjechał ten, kogo nie było przez 2 lata.

Przyjechał ksiądz kapelan wojskowy w randze kapitana. Odprawił 4 msze święte i komunikował dużo ludzi. Uczył ksiądz katechizmu i odjechał dalej głosić słowo boże... Dawali 2 razy zapomogę, którą przysłali z Anglii, na trzeci raz jak dawali zapomogę to było około 14 lutego to było po 30 rubli, 5 deka cukru i 2 deka prawdziwej kawy, oprócz tego były jeszcze kominiarki. Na czwarty raz to było jak raz 1 marca dostały wszystkie rodziny. Dawali pół piżamy, skarpetki i różne inne rzeczy... 13 marca dostaliśmy polską gazetę nr 3 z 28 stycznia, pod tytułem „Polska”.

Ksiądz kapelan, o którym pisze Zbyszek, to ksiądz Tadeusz Fedorowicz, który czas jakiś przebywał w naszym – zesłańców kazachstańskich – otoczeniu. A oto jak on w notatkach z Kazachstanu wspomina pobyt na naszej fermie:

11.02.1942. Do fermy 4-tej sowchozu bukońskiego w Czigileku. Kaplica w dużej izbie gdzie mieszkają 3 rodziny. I tam przechowywałem

Najświętszy Sakrament. Mieszkam u Franciszka Wyspiańskiego. Marysia Żytkiewicz układa piosenki, między innymi:

*Oj Boże, Boże – ciężka niewola.
Którędy spojrzysz pustka dokoła.
Kraj nam zabrali, nas wypędzili.
W stepach syberyjskich nas osiedlili.
Pracować każą, jeść nam nie dają.
Przy pracy z krzykiem nad nami stoją.
Dzieci nam płaczą, chleba nie mają.
Matki nad nimi lzy ocierają.
O Matko Święta
Przeczysła Panno
Wyrwij nas z kajdan
Tego szatana.*

Z Wandą Lang jadę do kolchozu Czigilek na cmentarz pod śliczną górą Talagaj, gdzie leży jej ojciec i babka... Z Kokpektów pojechałem raz do wsi, która nazywała się Mała Bukoń.

Jechełem wieczorem sankami, wiózł mnie p. Wyspiański... Wywieziono go razem z matką, siostrą i p. Lang. Pani Lang miała córkę Wandę. Całe to towarzystwo spało na szerokiej pryczy. Gdy tam przyjechałem mnie też tam położyli. W wiosce były też dzieci do pierwszej komunii świętej. Była tam również Panna Marysia, która układała piosenki i śpiewała je.

W tekstach tych zarówno u Zbyszka, jak i u ks. Fedorowicza, istnieją pewne rozbieżności. Pisane były zapewne w różnym czasie, a pamiętać

jest zawodna, nazewnictwo miejscowości różnie używane – nie podejmuję się tego korygować. Jednak zakładam, że nota ks. Fedorowicza wierniej oddaje rzeczywistość, ponieważ była pisana przez człowieka dojrzałego, i jak wynika z treści książki, notatki te były robione w czasie, kiedy te zdarzenia się działy lub niewiele później. Powołuję się na te teksty, aby potwierdzić to, co zostało w mojej pamięci.

Wróć jeszcze do lata 1941 roku, gdyż w tym czasie przenieśli nas z budynku przedsiębiorcy do lepianki. Lepiankę zamieszkiwali sami Polacy – 4 rodziny. Były tam 3 izby i ambar, który stanowił swoisty przedsionek. Kiedy lepiankę taką zamieszkuje Kazachowie, w przedsionku trzymana jest krowa, kury, i opał. W naszym przypadku zamieszkała tam jedna rodzina. Z dworu wchodziło się do ambaru, na prawo było wejście do izby, którą zamieszkiwali p. Oliwowie – 4 osoby. Na lewo, część ambaru oddzielono do zamieszkania, bo była tam prycza Dobruckich – ojciec i syn. Przed tą pryczą było wejście do izby mniejszej, a z niej do kolejnej izby. W tej mniejszej była nasza prycza – 3 osoby, a w ostatniej mieszkali p. Czerdereccy, też 3 osoby – starsza córka Adela już wtedy nie żyła. W tym składzie mieszkaliśmy do końca pobytu, z tym, że wcześniej odszedł do wojska Tadeusz, czyli pozostała na miejscu trzyosobowa rodzina Oliwów.

CDN

Rodziny Blicharskich, Kupisiewiczów, Osmendów. Fot. arch. aut.



Armia niezliczonych płatków śniegu pod rozkazami wiatru wirowała wokół mnie. Było białe. Widoczność prawie zerowa. Sam już nie wiedziałem, jak szybko jadę. Nie wiedziałem, czy w ogóle jadę. Dopiero obserwacja mojej deski, lekko przesuwającej się po śniegowym puchu wykazała, że jadę, ale powoli. Brak punktu odniesienia zmieniało postrzeganie rzeczywistości. Jesteśmy przekonani, że robimy rzeczy wielkie a tak naprawdę nie robimy nic. Oparłem się bardziej na tylnej nodze. Deska szybciej mijała grudki śniegu. Przyspieszyłem. Przetarłem gogle szybkim ruchem, żeby nie stracić równowagi. „Muszę dojechać do schroniska na granicy lasu”. Teraz pustka wytworzona przez miliardy płatków. Potem będzie łatwiej, pojawiają się drzewa. Oby ich pnie nie okazały się bolesnymi punktami odniesienia. Znowu przetarłem gogle. Coś zaczęło majaczyć, jakiś ciemny kształt. Tym razem jechałem zbyt szybko i niewiele brakowało, a nie wyhamowałbym przed schroniskiem. Szczęśliwiec. Mogło się skończyć gorzej. Postanowiłem wejść do środka i przeczekać śnieżycę. Kamienie stanowiące dwa stopnie i próg całe w śniegu. Widać nikt dłuższy czas nie wchodził. Otrzeptałem się ze śniegu. Wszedłem do środka. W sali zaparowały mi okulary i nic nie widziałem. Na domiar złego panował tu półmrok. Znowu widoczność zerowa. Znałem rozkład pomieszczenia i zaryzykowałem wejście na salę bez okularów. Po prawej stronie trzy stoły, po lewej jeden. I jeszcze bar i malowidło na ścianie. Na malowidle postacie kobiet i mężczyzn w austriackich strojach, a w perspektywie namalowana głowa krowy w oknie. Jakby biesiadowali w komitywie ludzie i zwierzęta. Oczywiście ludzie pili piwo, a krowa chwilowo nic. Pewnie robiła mleko. Pamięć krótkowidza się przydaje, dopóki ktoś czegoś nie przestawi w inne miejsce. Usiadłem przy środkowym stole. Serwetką wysuszyłem szkła. Przy sąsiednim stole siedział znany mi już z poprzednich wizyt szczupły mężczyzna, który tu obsługiwał. Nazwijmy go Kelnerem choć nim nie był. Na 1800 metrów nad poziomem morza nie ma już kelnerów. Tyłem do mnie, a naprzeciwko niego, siedział jeszcze inny mężczyzna, jasny blondyn. Kelner podszedł do mnie, powitał. Zamówiłem kawę. Przez chwilę ekspres posyczał i zaraz kawa ze szklanką wody stanęła przede mną. Kelner usiadł na swoim miejscu naprzeciw nieznajomego blondyna. Nieznajomy nie był ubrany jak narciarz. Wstałem i podszedłem do baru po cukier. I wtedy zauważyłem, że między nieznajomym a Kelnerem leży dyktafon. Nieznajomy coś zapisywał w notesie. Kelner w zamyśleniu pocierał dłonią brodę. Usiadłem i zacząłem pić kawę, jak nigdy z cukrem. Warto było posłodzić, żeby wyjaśnić, co oni robią. Śnieg dalej sypał. Nieznajomy zamknął notes i odłożył go na bok. Wtedy Kelner zaczął mówić, a ja zacząłem się delektować kawą i... nazwijmy rzeczy po imieniu, podsłuchiwać. Początkowo mówił wolno, jakby z trudem dobierał słowa. Oto opowieść Kelnera.

Pracowałem wtedy już dobrych kilka lat w firmie transportowej. Wynająłem się z samochodem. Wozilem różne ubrania do sklepów. Niekiedy nie wracałem do domu przez całe dwa dni. Nie miałem siły wracać z trasy, a mieliśmy takie normy, że tylko tak je mogłem wyrobić. Często spałem w sfoferce, a i tak ciężko było związać koniec z końcem. Na domiar złego, pewnego dnia włamały mi się jakieś szczeniaki do sfoferki. Narobili szkód, a niczego nie ukradli, bo i co tam było – butla gazowa, garnek, konserwy, ubranie na zmianę. Jednak szyba wybita. Trzeba było wprawić nową. Właśnie wtedy pojechałem do sklepu, który likwidowali. Trzeba było zabrać z niego towar. Był to taki sklep w pasażu supermarketu, po prawej ciuchy dla kobiet, a po lewej dla mężczyzn. Likwidowali stronę dla kobiet. Zabrałem ubrania do samochodu. Na wystawie zostały tylko gołe manekiny. Zauważył pan, jakie one teraz grabne? I mają ładne twarze, peruki...

Nieznajomy kiwnął głową. A ja zauważyłem, że za szybko piję kawę i nie wytrzymam do końca opowieści przy tej jednej. Musiałem mieć jakiś pretekst, żeby tu siedzieć. Zwolniłem, ale dalej słuchałem.

Zapytałem, co z tymi manekinami będą robić. Okazało się, że są do wzięcia za drobną opłatą. Pomyślałem, że wezmę taką manekinkę i posadzę ją w sfoferce. Będzie lepiej odstraszać złodziei niż alarm. Musi mieć tylko zginane nogi. Poszedłem do kierownika. Powiedziałem o co mi chodzi. Oczywiście śmiał się i nie wierzył.

– Co, rajcują cię takie klimaty? Za to powiedział, że mogę sobie wybrać, jaką chcę „laleczkę” z wystawy. Powiedział, że my faceci musimy sobie pomagać. Zabrałem blondynkę, która siedziała na krześle. Już naga. Kobiety z obsługi, które pakowały do kartonów ubrania, zaśmiewały się. Proponowały mi ciuchy dla narzeczonej. W głowie mi łupało i chciałem jak najszybciej wyjść. Dopiero w pasażu, gdy ją niosłem w ramionach, ochłonałem. Tu wszyscy byli zajęci oglądaniem wystaw w poszukiwaniu wyprzedzący. Nie była lekka. Postawiłem ją opartą o sfoferkę i otworzyłem drzwi. Posadziłem ją na siedzeniu pasażera. Można się było nabrać, że to prawdziwa i do tego ładna kobieta. Wróciłem do sklepu, zabrałem jeszcze jedno pudło z ciuchami. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Kierownik za coś krzyczał na sprzedawczynię. Nie było mi ich żal. Włożyłem pudło na pakę i wsiaadłem do sfoferki. Dziwnie się czułem. Z trudem uświadamiałem sobie, że to tylko manekin. Kiedy wyjechałem z parkingu zatrzymała mnie policja. Chcieli mi dać mandat za to, że pasażerka nie miała zapiętych pasów. No i, że była naga. Ciekawe, co pierwsze zwróciło ich uwagę? Nagość, czy brak pasów. Może gdyby miała pasy, to już nie byłaby nagość. Gdy się okazało, że się nabrali, złośliwie długo przeglądali moje dokumenty i cały samochód wraz z załadunkiem. Wreszcie, nic nie znajdując, puścili mnie. Patrzyli na mnie jak na zboczeńca. Gdy tylko przejechałem kawalek, zatrzymałem się, założyłem jej mój sweter i zapiałem jej pasy. Byłem już spóźniony. Kątem oka widziałem, że ładnie prezentuje się w moim porożnianym swetrze. Jej biust uwypuklał materię swetra nienawykłą do wypychania w tym miejscu. Mimo że była nieżywa, wprowadziła do sfoferki jakiś inny nastrój. Coś się zmieniło. Może we mnie, a nie w sfoferce? Czułem się jak uczniak. Zakochany wiosną. Tak to mi się przypominało. Może to było nawet podobne. Przecież w wieku kilku, a nawet kilkunastu lat człowiek zwraca uwagę na wygląd, nie zastanawia się nad wnętrzem partnera czy partnerki. Czyli podchodzi trochę tak jak manekin do manekina. Teraz też było mi miło, kiedy na krzyżówkach kierowcy stojący obok zaglądali do mojej sfoferki ciekawie, przyglądając się mojej pasażerce. Tak jak wtedy, kiedy niosłem tornister mojej ładnej koleżanki. Koledzy mi zazdrościli. Muszę przyznać, że jej twarz była idealna, ale nie lalkowata. Miała więcej życia w sobie, niż niejedna miss czegoś tam. Może poza miss mokrego podkoszulka. Peruka, ciemne blond włosy, lekko pofalowane, nie za długie, nadawały jej twarzy subtelności. Nosek miała zadarty. Jak mała kobietka, która się buntuje, że się jej nie traktuje jak dużą kobietę. Pod koniec szkoły średniej, czy na studiach, choć zaliczyłem tylko semestr, człowiek zakochuje się inaczej. Studia. Musiałem je przerwać, spodziewaliśmy się z moją żoną dziecka, potrzebne były pieniądze.

Tego wieczoru zaparkowałem samochód koło domu. W domu nikt nie zauważył, że wróciłem. Zdażyłem się już do tego przyzwyczaić. Nieraz zastanawiałem się, ile czasu mógłbym nie wracać do domu, żeby ktoś to zauważył.

W nocy niepokoiła mnie myśl, że jest jeszcze zimno, a szczególnie w nieogrzewanej sfoferce. Ona została tylko w moim swetrze. Przecież nogi miała gołe. Byłem zaskoczony i trochę rozbawiony tą myślą. Jednak

teraz nie mogłem zapomnieć o jej nogach. To nie w sfoferce się coś zmieniło tylko w mojej głowie. Zmiany następowały szybko i sam byłem tym zaskoczony. Żeby o tym nie myśleć, zakradłem się do szafy i próbowałem skompletować jakieś ubranie dla niej. Przeglądałem rzeczy żony, ale nie było tam nic, co pasowałoby na moją pasażerkę. Nie chodzi tu o rozmiar, ale o styl. Styl ubierania mojej żony nie pasował do manekinki. Dałbym jej jakieś 25 lat. Wybrałem z głębi szafy te najrzadziej używane majtki, rajstopy, teksasy, biustonosz i golf. Po co ja właściwie zabierałem majtki i biustonosz?

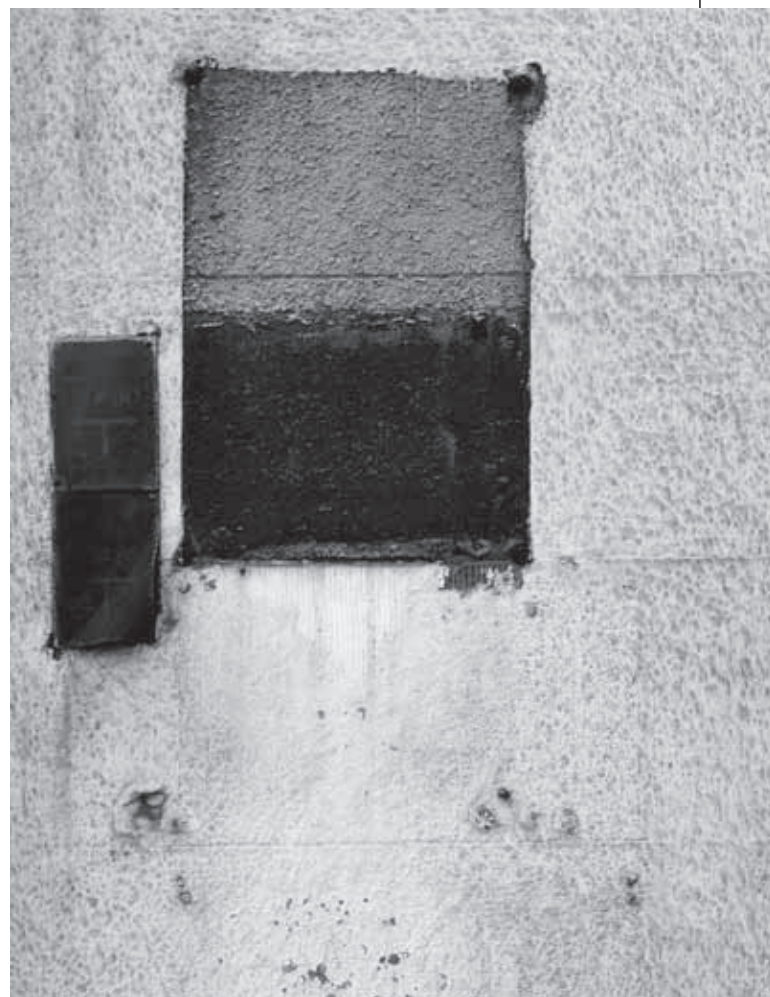
Przecież to manekin. Zachichotałem. Uświadomiłem sobie, że ten chichot był nerwowym. Gdzieś tam głęboko kielkowała myśl, że dałem się wciągnąć w grę i nie ma się co okłamywać, że jest inaczej. Może to nie był przypadek? Może ja kogoś takiego szukałem? Zebrałem wszystko, przygotowałem sobie na rano do wzięcia. Rano szybko zjadłem śniadanie. Zona i córka jeszcze spały. Poszedłem do wozu. Sfoferka miała zaparowane szyby. Poranna rosa. Otworzyłem drzwi od strony pasażera i ona wypadła na mnie. Niezdarnie ją złapałem. Muszę ją zapinać w pasy, na noc też. Facet z psem przyglądał mi się, a właściwie nam, z nieukrywanym zainteresowaniem. Trzymałem ją, jakbym przenosił pannę młodą przez próg. Zauważyłem, że była zimna. Zdziwiło mnie to. To, że coś jest imitacją człowieka tak na nas wpływa, że po jakimś czasie zapominamy o tym naśladownictwie. Ubierałem ją w wykradzione ciuchy. Były trochę za duże, ale wyglądała już normalnie, jak kobieta. Ruszyłem w trasę. W trakcie jazdy zauważyłem, że podświadomie robię ostre zakręty, żeby ona leciała bezwładnie na mnie. Wtedy opierała głowę na moim ramieniu. Trochę się tego bałem, już nie udawałem, że to żart, przynajmniej przed sobą. Dni robiły się cieplejsze. Nie mogła już jeździć w golfie. Poszedłem do sklepu, kupiłem jej dwie bluzki i mini. No i buty. W tym czasie moja żona dowiedziała się od swojej znajomej, że jeździ z jakąś kobietą. Wystawiła mi walizki przed drzwiami. Zażądała rozwodu. Właściwie to mnie nic nie trzymało. W trakcie rozprawy dowiedziałem się, że córka nie jest moim dzieckiem. Nie wiem, co czułem. Przez kilka nocy spałem w sfoferce, a właściwie spaliśmy. Potem znalazłem pokój z kuchnią. Zamieszkałem w nim. Sam nie wiedziałem, czy mam ją zabrać do domu, czy zostawić w samochodzie. Musiałem podjąć decyzję, bo przecież co wieczór i co rano nie mogłem wchodzić i wychodzić z domu z manekinem. Zostawiłem ją w sfoferce.

Pewnego burzowego dnia zrobiło mi się tak źle i samotnie. Czułem się jak ktoś, kto chce pogadać z ukochaną, ale nie chce jej budzić ze snu. Gnałem jak szalony. Miałem nadzieję, że jak przekroczę pewną szybkość, jakąś barierę, to przeniesiemy się do innego bytu i ona ożyje. Może chciałem popełnić samobójstwo. Zaczęło grzmieć, najpierw spadło kilka wielkich kropli, a potem oberwanie chmury. Skręciłem w boczną gruntową drogę w stronę lasu. Plakałem. Ledwo zdążyłem wjechać, tuż przed lasem, na przejazd kolejowy, usłyszałem huk i zobaczyłem błysk. Samochodem zatrzęsło i zakręciło. Chyba straciłem przytomność. Gdy się ocknałem, na twarzy miałem kilka strużek krwi. Jedna zalewała mi lewe oko. Nie mogłem się ruszyć. Prawym okiem zauważyłem, że ona odpina pas bezpieczeństwa. Patrzy na mnie smutno. Dotyka mojego policzka grzbietem dłoni. Dłoń jej była ciepła, żywa. We mnie natomiast było coraz mniej życia. Nie mogłem się ruszać. Ostatnią rzeczą, którą widziałem, to jak zwinnie zsuwa się z sfoferki. Pomyślałem, że nie ma na sobie nic przeciwdeszczowego. Znów straciłem przytomność. Potem, gdy mnie nieśli na noszach oprzytomniałem, bo strugi wody lały mi się na twarz. Nie mogłem ruszyć głową, bo miałem usztywnioną szyję. Słyszałem głos policjanta, który przesłuchiwał świadków z pobliskich zabudowań. Zarzekali się, że tu ostatni pociąg jechał kilkanaście lat temu. Jeden z nich powiedział, że szyny są zardzewiałe. Policjant zapytał „To skąd ta dziura wielkości lokomotywy w burtach samochodu?” Długi pobyt w szpitalu. Właściwie poza powierzchownymi obrażeniami nic mi się nie stało, ale nie miałem siły żyć. Jakby ktoś mi zabrał pół życia. Może jak kobieta rodzi dziecko, to się tak samo czuje? Dziecko zabiera jej też część życia. Moje doznania były zrzucane na

karb urazu psychicznego związanego z wypadkiem. Oczywiście nikt nie widział kobiety. Nikt nie znalazł odcisków palców, poza moimi. Jeżeli były jakieś ślady na drodze, to zniszczyła je ulewa. Pamiętałem, że mnie pogładziła po policzku i tak smutno na mnie spojrzała. Nie to, że nie mieściło mi się to w głowie, było problemem, tylko to, że za nią tęskniłem. Potem włóczyłem się po ulicach. Nie pracowałem. Odpowiedziałem miejsca, gdzie mogłem ją spotkać. Byłem w sklepie, gdzie... spotkaliśmy się po raz pierwszy. W pasażu dużo się zmieniło. Tam, gdzie był sklep z odzieżą damską, zrobiono kawiarnię. Naprzeciw pozostał sklep z odzieżą męską. Ktoś mnie zawołał. Okazało się, że poznała mnie sprzedawczyni ze zlikwidowanego sklepu damskiego. Znalazła pracę w męskim, vis a vis. Pytała, jak moja strażniczka samochodu. Powiedziałem, że miałem wypadek. Teraz trochę choruję. Chciałem zmienić temat, pytając, jak jej się pracuje. Powiedziała, że OK. A wie pan, mieliśmy tu kilka dni temu włamanie. Ktoś wybił szybę wystawową i ukradł tylko manekina. Nic więcej. Jednak był to jakiś zawodowiec, bo nie zostawił śladów. Policja mówiła, że w rękawiczkach pracował. Z kamer nic nie ma, bo akurat strasza burza była i coś nawaliło. Domysliłem się, że ten manekin był przystojnym męskim manekinem. Patrzyli sobie miesiącami w oczy vis a vis siebie. Sam nie wiem, czy ja ich rozdzieliłem, czy połączyłem. A teraz jestem tu, w tych górach. Tu nie spotkam manekinów.

Śnieg przestawał sypać. Mężczyźni wyraźnie się rozstawali. Ja już nie miałem kawy. Słuchający zwił dyktafon. Teraz zobaczyłem jego twarz. Wyglądał na dziennikarza. Też już się zaczynałem zbierać. Trzeba odjeżdżać na desce, póki coś widać. Swoją drogą, ciekawe o czym rozmawiali? Gdybym znał niemiecki, pewnie bym wysłuchał ciekawej opowieści. Musiała być ciekawa, no bo po co im był potrzebny dyktafon? Trzeba się uczyć języków. A tak, musiałem sam naprędce wymyślać sobie jakieś historie, aż przestanie sypać. Mam trochę zaległości z edukacją, ale za to umiem sobie opowiadać różne historie. Jak się miesiącami sterczało na wystawach sklepowych, trzeba było sobie radzić z nudą.

Fot. Tomasz Kowalski



Proste gesty



Z Wojciechem Dzienniakiem rozmawia Maja Barańska

Jest Pan związany z Zagłębiem. Czy jest to przyjazne miejsce dla artysty?

Tak naprawdę związany jestem tylko z domem, który odziedziczyłem po dziadkach. Niestety, nie da się go przenieść. Mój stosunek do miejsca, w którym mieszkam, określiłbym słowem lojalność albo patriotyzm lokalny z wyboru. Skoro już tu jestem, to robię, co mogę, np. prowadzę pracownię dla dzieci. Urodziłem się i wychowałem w Sosnowcu, pochodzi stąd część mojej rodziny. Obecnie mieszkam tu z moją rodziną, ale wiele lat, może dla mnie najważniejszych, spędziłem poza Zagłębiem. Zdecydowanie bliższe są mi Katowice, gdzie zamieszkałem w 1982 roku po czteroletnim pobycie w Algierii, czy też Kraków, gdzie odbyłem część moich studiów, albo Toruń, gdzie studiowała moja żona. Nie jestem związany z żadnym środowiskiem artystycznym, zawsze pracowałem sam, zamknięty w pracowni i w tym sensie każde miejsce jest dla mnie dobre.

Pańska twórczość jest niewątpliwie mimetyczna. Skąd taki sposób przedstawiania świata?

Sposób przedstawiania świata przez artystę to jego język, który przez lata wypracowuje, odkrywa, którego się uczy. Jaki ten mój język jest, zależy od tego, o czym chcę mówić, co jest moim światem. A mój świat to świat relacji, odniesień. Do samego siebie, do innych do Boga. Myślę, że wszystko co dla nas ważne wynika z relacji człowieka do człowieka i człowieka do Boga. Staram się o tym mówić, używając prostych, czytelnych znaków: dło-

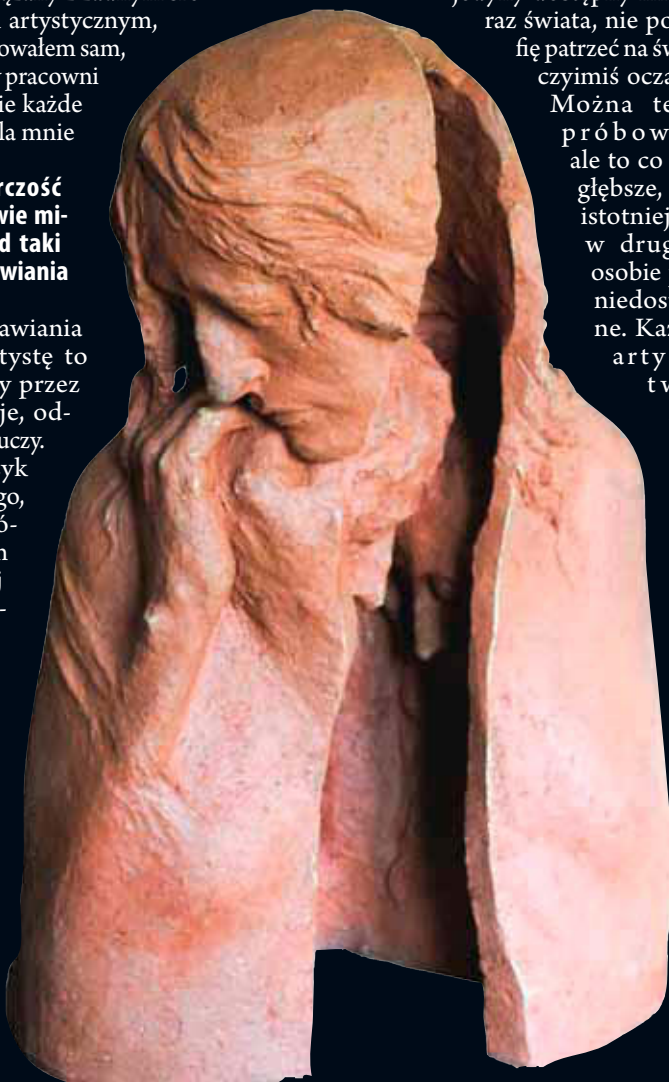
ni, oczu, ust, twarzy, całego ciała czy też jego części. Elementy te mają duży ładunek symboliczny. Proste gesty dużo mówią o tym, jaki jestem, co się ze mną dzieje, co myślę. Na przykład gest pustych rąk: może coś z nich wypadło, a może zawsze były puste, tylko ulegliśmy złudzeniu, że coś mamy. Czy mogę je napelnić? Kto może je napelnić? A może mogą zostać puste?

Wśród Pana prac znajduje się wiele rzeźb o tematyce religijnej. Czym są? Modlitwą, dziękczynieniem, tradycją, a może... medytacją?

Drażąc temat relacji, musi się dotknąć tej najważniejszej: człowiek – Bóg, ja – Jezus. Ja zaczynałem od przyglądania się sobie. Jednak od czasu spotkania z Jezusem chcę o tym mówić. O doświadczeniu Jego czułości, delikatności, opieki, ale również Tajemnicy Eucharystii. Jedną z moich rzeźb przedstawia człowieka trzymającego w rękach Hostię, czyli żywego Boga... Rzeczywiście wiele moich rzeźb bliskich jest medytacji.

Czy formowanie materii jest odzwierciedleniem formowania rzeczywistości? Jak bardzo Pana życie wkracza w obszar sztuki? Często tworzy Pan autoportrety...

Mój odbiór rzeczywistości to jedyny dostępny mi obraz świata, nie potrafię patrzeć na świat czyimiś oczami. Można tego próbować, ale to co najgłębsze, najistotniejsze w drugiej osobie jest niedostępne. Każdy artysta tworzy



sobą, im bardziej siebie odkrywa i rozumie, tym mocniej zaznacza się w jego pracach odrębność i indywidualność. Autoportret jest dla mnie nie tyle celem, co punktem wyjścia. Choć na początku mojej drogi był rodzajem terapii, teraz stał się tworzywem. Staram się odnajdywać w sobie coś ogólnego, jakąś ludzką kondycję, bo przed swoją wyjątkowością i tak nie da się uciec. Odszedłem również od pokazywania w moich pracach wielu elementów mojej powierzchowności, których kiedyś używałem.

Poza ceramiką i rzeźbą zajmuje się Pan rysunkiem...

Rysuję, odkąd pamiętam, czyli „od zawsze”. Na poważnie zacząłem rysować pod koniec nauki w liceum. Potem zafascynował mnie Kulisiewicz, dużo rysowałem piórkiem: pejzaże, ludzie, zwierzęta np. w zoo. Ołówek stał mi się bliski dopiero na studiach. Rysunek, w którym czasem się wypowiadałem, to inny sposób mówienia o tym, o czym mówię w rzeźbie. Na co dzień dużo szkicuję, projektuję rzeźby i naczynia. Nacznia to osobny nurt w mojej twórczości, ich tworzenie sprawia mi przyjemność, jest rodzajem zabawy z formą, czymś niezobowiązującym.

W latach 90. był Pan związany z Teatrem Epty-a i sceną Gugalandera, projektując scenografię...

Rzeczywiście zajmowałem się trochę scenografią, ale nie przerodziło się to w nic poważnego.

Artysta i pedagog – bo prowadzi Pan również zajęcia z dziećmi i młodzieżą. Czy taka praca ma wpływ na rozwój twórczy?

Nie potrafię powiedzieć, w jaki sposób praca z dziećmi wpływa na moją twórczość. Była dla mnie raczej formą twórczości. Wynikała z chęci podzielenia się radością, którą można czerpać z całego procesu twórczego, a w końcu i z samego dzieła. Starłem się również, aby prace dzieci, uczniów były eksponowane w szkole, gdzie mogły być oglądane przez rówieśników i nauczycieli. Dzieci miały możliwość pokazania się od innej strony. Często zaskakiwały otoczenie swoją pracowitością, wyobraźnią i wrażliwością.

Urodził się Pan artystą, czy obrał takie, a nie inne rzemiosło?

Moim zdaniem artystą się jest, można tylko tego nie wiedzieć, albo tego, co się robi nie nazywać sztuką. Myślę, że artystę od rzemieślnika odróżnia wewnętrzny przymus „mówienia”. Artysta musi się wypowiedzieć osobiście, podczas gdy rzemieślnikowi wystarczy powtarzanie, niekiedy genialne. Ja zawsze miałem potrzebę mówienia, opowiadania, nazywania.

Wojciech Dzienniak – urodził się w 1966 roku w Sosnowcu. Studiował na Wydziale Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie oraz na Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie – filia w Katowicach, gdzie w 1994 roku obronił dyplom projektowy w pracowni prof. Tomasza Jury i rzeźbiarski w pracowni prof. Stanisława Hochuła. Był pomysłodawcą i współorganizatorem Przeglądu Twórczości Osób Niepełnosprawnych w latach 1993–1994 w Sosnowcu oraz Konkursowego Przeglądu Prac Plastycznych Uczniów Sosnowieckich Szkół średnich w latach 1994–1997. O artyście nakręcono w 1998 roku reportaż biograficzny *Próba Ognia*, wyprodukowany przez Redakcję Katolicką Programu 2 TVP. Prowadzi pracownię ceramiki w Młodzieżowym Ośrodku Pracy Twórczej. Jest członkiem Archidiecezjalnej Komisji Architektury i Sztuki Sakralnej.



Wielka majówka

Tekst i zdjęcia
Robert Garstka

Niekoniecznie trzeba wyjeżdżać gdzieś daleko, aby odpocząć na łonie natury, zobaczyć coś ciekawego czy też poznać nieznane dotąd historie. Czasem przygoda czeka tuż za progiem naszego domu, a przy odrobinie chęci i wysiłku możemy dowiedzieć się czegoś nowego o swoim mieście i najbliższej okolicy.



Nasze zwiedzanie zaczniemy od najbardziej znanego i najczęściej odwiedzanego zabytku w Zagłębiu – będzińskiego zamku, który wznosi się majestatycznie na Górze Zamkowej.

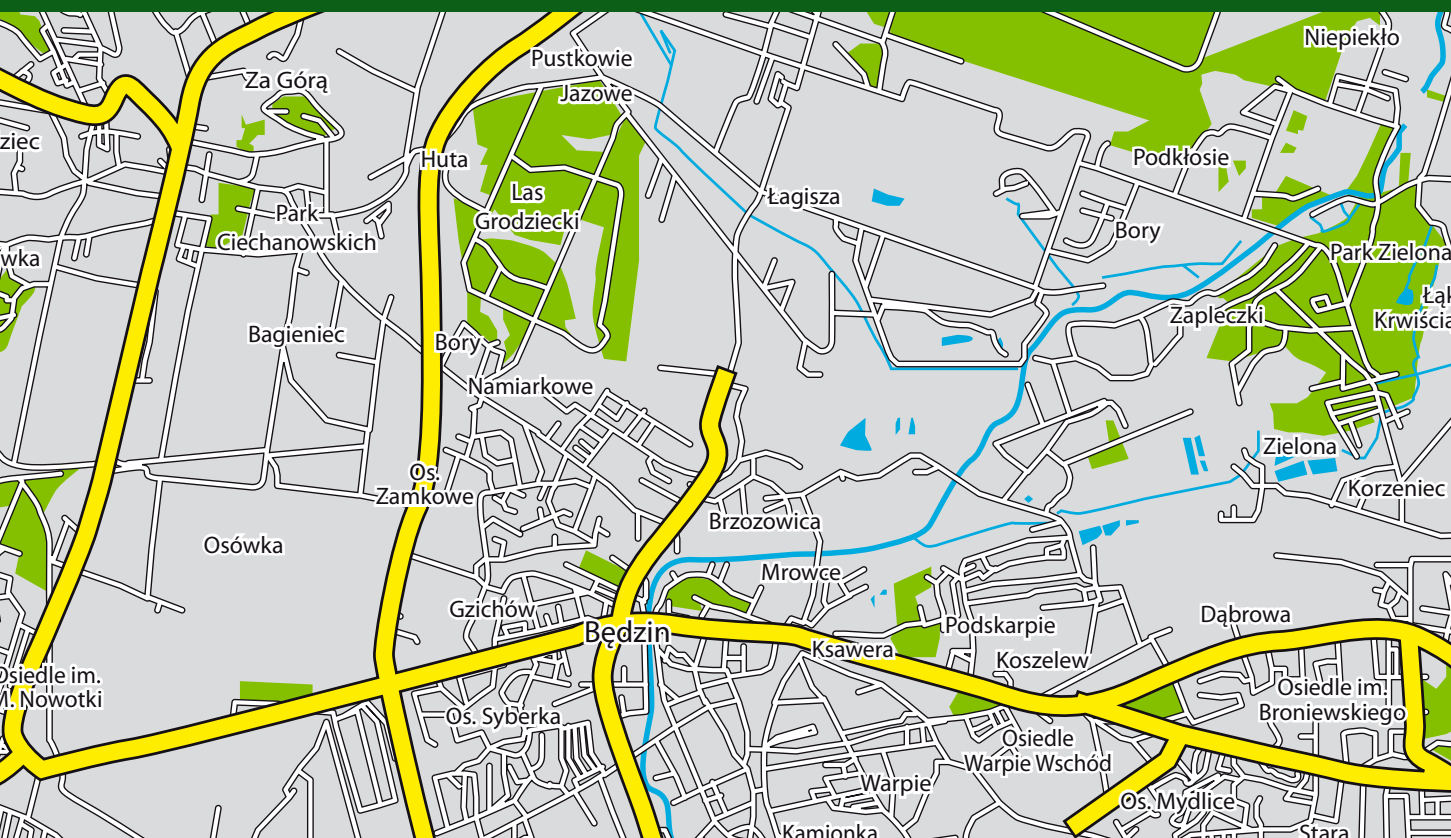
Jego początki sięgają IX wieku, gdyż już wtedy na Górze Zamkowej istniał warowny gród. Pozostałości drewniano-ziemnego wału zachowały się do naszych czasów, a baczny obserwator wypatrzy je pośród parkowych alejek na wschód od zamku.

W połowie XIV w. król Kazimierz Wielki rozkazał rozbudować i umocnić warownię obronną, która strzec miała granicy polsko-śląskiej.

W 1605 roku zamek prawie całkowicie spłonął. Został odbudowany w 1616 roku, a po raz kolejny po najeździe szwedzkim w 1655 roku. Zniszczony po II rozbiórze Polski, stopniowo popadał w ruinę. W latach 1833–1834 został zrekonstruowany przez F.M. Lanciego, który dobudował m.in. ostrołukowe arkady nad fosą. W późniejszym czasie zamek znów popadł w ruinę i dopiero w latach 1952–1956 przebudowano go według projektu Zbigniewa Gawlika, nadając mu dzisiejszy charakter.

W lipcu 1956 roku zamek stał się siedzibą Muzeum Zagłębia i jednocześnie pierwszą placówką muzealną na terenie Zagłębia.

Opuszczamy zamkowe mury, by udać się do pobliskiego parku na Górze Zamkowej, założonego przez Jana Gęborskiego





w 1901 roku. Z jego dawnej świetności do dziś zachowała się jedynie brama wejściowa, znajdująca się w pobliżu Domu Parafialnego. Na jego terenie, oprócz wspomnianych już pozostałości wału wczesnośredniowiecznego, natkniemy się na grube splekane mury i dziwną budowlę z zamurowanymi wejściami. Schodząc w dół parkową alejką do ulicy Podzamcze, zauważymy zakratowane wejście. Tuż za nim ciągnie się sieć podziemnych korytarzy wydrążonych w litej skale pod Górą Zamkową. To tzw. będzińskie lochy,



których historia nie jest jednoznacznie wyjaśniona. Wiadomo jednak, że powstały podczas II wojny światowej, prawdopodobnie jako magazyny broni dla Wehrmachtu lub schrony przeciwlotnicze. Istnieje także hipoteza o tajnej podziemnej fabryce broni.

Zachowane do dziś chodniki mają około 500 metrów długości. Niestety obiekt ten jest mało znany w Zagłębiu, prawie wcale nie promowany i nieczynny dla zwiedzających. Dziwić może taki stan rzeczy, bo przecież ta owiana tajemnicą budowla mogłaby stać się turystyczną atrakcją o krajowym zasięgu.

Podziemne korytarze były budowane w wielkim pośpiechu i tajemnicy z udziałem okolicznych mieszkańców oraz więźniów pobliskiego obozu koncentracyjnego „Haga” (filii obozu oświęcimskiego), który znajdował się na terenach dzisiejszej elektrowni Łagiszy.



Tony ziemi i kamieni z drążonych tuneli trafiły na pobliski cmentarz żydowski, zakrywając i niszcząc sporą część nagrobków. Kirkut powstał w 1831 roku po epidemii



cholery, która wybuchła w Będzinie. Warto zatrzymać się na chwilę w tym miejscu, by podziwiać bogate wzornictwo inskrypcji nagrobkowych i zadumać się nad losem będzińskich Żydów.

Ulicą Podzamcze dochodzimy do Alei Kollątaja i dalej do ulicy Świerczewskiego, przy której znajduje się zespół pałacowo-parkowy. Jego ozdoba



jest pałac Mioszowskich, wybudowany w latach 1702–1718 przez Kazimierza Mioszowskiego, w którym obecnie znajduje się Muzeum Zagłębia.

Zwiedzając pałacowe wnętrza, warto



zwrócić uwagę na ścienne polichromie, uchodzące za najstarsze w Zagłębiu. Dobrze utrzymany park zachęca do dłuższego odpoczynku w cieniu rozłożystych drzew.

Udając się w kierunku Grodzca, warto zatrzymać się w Lesie Grodzieckim, którego powierzchnia wynosi 136 hektarów. Można śmiało powiedzieć, że to zielone płuca Będzina. Liczne ścieżki i leśne alejki zachęcają do aktywnego spędzenia wolnego czasu. Las Grodziecki jest siedliskiem wielu gatunków drzew i roślin oraz ostoją zwierząt, które można dostrzec przy odrobinie szczęścia.

W poznaniu leśnej flory i fauny pomagają tablice dydaktyczne, rozmieszczone wzdłuż leśnych ścieżek.





Idąc wzdłuż szkolki leśnej, dochodzimy do leśniczówki, by następnie wyjść z lasu i skierować się na ulicę Hutniczą. Droga zaprowadzi nas do podnóża Góry św. Doroty. Licząca 382 m n.p.m. Góra św. Doroty, zwana także Zagłębiowskim Olimpem, jest najwyższym wzniesieniem w Zagłębiu.

Na jej szczycie, w 1635 roku, staraniem księdza Wojciecha Lipnickiego z funduszu Doroty Kąckiej, ksieni klasztoru sióstr Norbertanek w Krakowie wybudowano kościół p.w. św. Doroty.

Obecnie w kościele odprawiane są tylko dwa nabożeństwa w roku – podczas uroczystości patronki św. Doroty 6 lutego oraz Przemienienia Pańskiego 6 sierpnia. Obok kościoła znajdują się resztki zabytkowego krzyża zniszczonego przez złodziei złomu w maju 2008 roku, zaś u podnóża wschodniej strony wzgórza warto zobaczyć kapliczkę p.w. Źródlanej Matki Bożej ze źródłem. Według podań woda z tego miejsca cudownie leczy wzrok. Ze szczytu wzniesienia rozpościera się wspaniały widok

na okolicę, a przy dobrej widoczności można dostrzec także Beskidy. Widać stąd również pozostałości Cementowni Grodziec, wybudowanej w 1857 roku przez Jana Ciechanowskiego – jej



założyciela i właściciela. Cementownia była piątym na świecie i pierwszym w Europie obiektem tego typu. W 1989 roku zaprzestano produkcji cementu i od

tego czasu rozpoczęła się systematyczna degradacja obiektu. Wielka szkoda, gdyż cementownia mogłaby znaleźć się na szlaku zabytków techniki wraz ze znajdującą się również w Grodźcu wieżą ciśnieniową, zbudowaną z nitowanych, grubościennych arkuszy stalowych. Oba



zabytki są unikatami w skali kraju, jednak pozostawione bez opieki, niszczą się coraz bardziej z każdym rokiem.



O biednej młodzieży i złych używkach

Nie będę z pewnością oryginalny, gdy powiem, źle się dzieje w księstwie.... nie, nie duńskim, bo tam królowa panuje, więc nie księstwo lecz królestwo. Nawet nie w królestwie polskim, bo orzełek co prawda znów ubrał koronę, politycy przypominają sobie o szlacheckich korzeniach, lecz większość Polaków traktuje herby z mniejszą uwagą niż logo znanej firmy na butach sportowych. A źle się dzieje, bo młodzież coraz gorsza. I znów nie nowego. Toż już Kochanowski narzekał na zepsucie młodzieży, krzycząc: „Jaki to wrzód szkodliwy w Rzeczypospolitej młódź wszeteczna: ci cnocie i wstydowni cenę ustawili; przed tymi trudno człowiekiem być dobrym; ci domy niszczą, ci państwa ubożą, a rzekę, że i gubią”. Trudno być oryginalnym, gdy wszystko już było. I nawet to, co nadchodzi, jest tylko powracającą falą. Hamletyczne rozterki nad kondycją młodzieży są tak stare jak ludzkość, a raczej odkąd pojawili się dorośli na tyle świadomi, żeby zapominając swoje błędy, wytykali je młodszemu od siebie. W przekonaniu, że zjedli wszystkie rozumy i tylko do nich należy roztropność, przewidywanie, mądrość i coś tam jeszcze. W duchu boleją, że na własne szaleństwo nadszedł kres, aczkolwiek ten i ów po cichutku, na boczkach, zaszaleć potrafi, jeśli... może.

Kryzys – wołają i koniec świata, bo młodzież zamiast się uczyć ćpa, nadużywa, pochłania, jednocześnie albo nawet z tego powodu nadmiernie uprawiając seks. A fe! Jak można – szczególnie, jeśli można? Zatem społeczeństwo dorosłych, zrównoważonych i pełnych dobrych chęci postanawia zapobiegać. A jak najłatwiej? Zakazami. Jakby zapomnieli sami, że właśnie zakazy rodzicielskie prowokowały najsukuteczniej do wykroczeń przeciw nakazom.

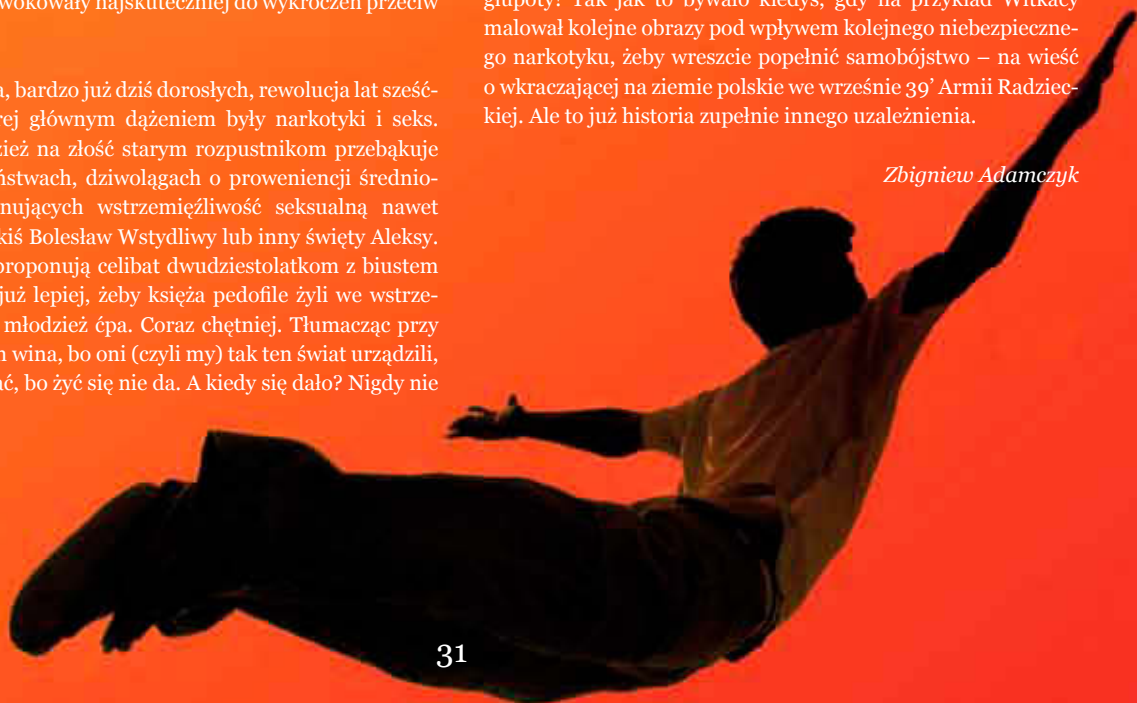
Przecież to nasza, bardzo już dziś dorosłych, rewolucja lat sześćdziesiątych, której głównym dążeniem były narkotyki i seks. Dzisiejsza młodzież na złość starym rozpustnikom przebąkuje o białych małżeństwach, dziwolągach o proveniencji średniowiecznej, proponujących wstrzemięźliwość seksualną nawet po ślubie. Jak jakiś Bolesław Wstydlawy lub inny święty Aleksy. Może jeszcze zaproponują celibat dwudziestolatkom z biustem powyżej C? To już lepiej, żeby księża pedofile żyli we wstrzemięźliwości. Ale młodzież ćpa. Coraz chętniej. Tłumacząc przy tym, że to starych wina, bo oni (czyli my) tak ten świat urządzili, że tylko się zaćpać, bo żyć się nie da. A kiedy się dało? Nigdy nie

było tak, żeby nie mogło być lepiej. I nigdy nie będzie! Zawsze rodzice będą wnerwiać dzieci, a dzieci dawać w dupę rodzicom. Było kiedyś odwrotnie, lecz bicie zostało zakazane ze względów ideologicznych, bo przecież nie praktycznych czy intelektualnych. Więc teraz dzieci piorą starych, aż miło. Też zresztą nie nowego. Oto u starożytnego Arystofanesa przeczytać można: „W dyscyplinie dziecię chować trzeba. A czyż starzec to nie dzieciak duży, co na lanie, gdy zbłądził podwójnie zasłużył? Jak ongiś *Czcijcie ojców* nakazywał starym, wydać prawo *Bijcie ojców* – moim jest zamiarem.”

A może pozwolić młodzieży, aby sama zadbała o siebie? Jest przecież demokracja. Zamiast absurdalnych zakazów, które zabraniają posiadać, ale nie karzą za używanie, lecz za ciężkie pieniądze i pod przymusem, którzy leczyc się nie chcą, a odbierają możliwość korzystania z lekarstw, bo ich na to nie stać, tym, którzy chcieliby przedłużyć żywot o kolejne kilka dni – może pozwolić na samodzielne podejmowanie decyzji. Że głupich, że szkodliwych, że to niehumanitarne? I co z tego? A może właśnie przeciwnie? Podjąć decyzję o unicestwieniu siebie, w swoim własnym imieniu, jest znacznie trudniej niż przeciw komuś. Na złość robi się różne głupoty. Z rozmysłem, rzadziej. W Ameryce najwięcej wypijano w czasach prohibicji. Narkotyki zażywał Witkacy, zażywa Maleńczuk. Obaj nieźle przy tym dawali sobie radę. A publiczność podziwiała z zazdrością.

Jedyny problem to lobby dilerów – ileż oni by stracili, gdyby narkotyki były za dziesięć zł – jak papierosy (też zresztą szkodliwe) czy dwadzieścia zł jak butelka wódki (też uzależniającej)? Ile zarobiłoby państwo na akcyzie? Toż nie tysiąc orlików, lecz ze sto stadionów narodowych można by wybudować, ku chwale ojczyzny i z pożytkiem dla całego społeczeństwa. I ćpałoby znacznie mniej. Na złość, żeby nie płacić podatku od własnej głupoty! Tak jak to bywało kiedyś, gdy na przykład Witkacy malował kolejne obrazy pod wpływem kolejnego niebezpiecznego narkotyku, żeby wreszcie popelnąć samobójstwo – na wieść o wkraczającej na ziemię polskie we wrześniu 39' Armii Radzieckiej. Ale to już historia zupełnie innego uzależnienia.

Zbigniew Adamczyk





historyjka o kudłatym psie. dygresja pierwsza

Jest tylko wycinkiem z niecałości, jak igła jest fragmentem gałązki, która nie jest świerkiem, choć z niego wyrasta. Wyrasta z matki, za malej, bo uwiera słowami co z ciebie wyrośnie, więc stara się. Uśmiech i uładowanie spowiedzią w *resurrectio christus*. W swoim zestawie algorytmów rośnie do środka. W przeciwieństwie do babki, która dbała tylko o ogród, a książki oddawała na makulaturę, zaprzecza skąpstwu. Pozwala osadzać swoje załączki na kolejnych stronach. Kocha się na polowaniu i w czasie łowienia ryb. Kształty okrągłe – wymacerowane – wylizane. Pomnażany w skończoność fraktal o słodzie kajmaku. (Uwaga! Nie mylić z karmelem).

Brak grzebienia bardziej rozgrzebuje smutek. Linieje od tego. Głos brzuchomowcy pozwala jej udawać szczekanie głodnej suki.



historyjka o kudłatym psie. dygresja druga

Bez matek i ojców nie czuje się samotna, tylko naga. Ojcowie ubierali ją w aluminium puszek, w zarost dorosłości i strach chłopaczka, który popchnął na garaż. Wystarczyło, że kiwnęli palcem. Bezpieczeństwo i męski smród. Fajki, genitalia, pachy. Pachy były wszędzie. Pachy to dzieciństwo kolejnych objęć. W koszuli, owłosione, zagadkowe. W ciężko zdobytej *limarze* to pachy matek. Wydepilowana pacha ciotki tchnęła spokojem. Dobrze było oprzeć głowę, obniżyć poziom energii. Kiedy umarła, nikt nie uściśnął jej ręki. Pachy w szkolnej przebiegłości były czymś zupełnie innym. Małe i rzadko osuszone. Paszki.

To dlatego polubiła młodego rolnika o gładkich pachach i słonym mleku. Zagryza je czekoladkami, tak jak zagryza zęby przy analu.



Beata Patrycja Klary – rocznik 76', polonista, bibliotekarz, recenzent, poeta. Książki poetyckie *Witraże*, *Imaginacje* oraz arkusze *Schną koniczyzny* i *Nokturny intymne*. Stypendystka Miasta Gorzowa w dziedzinie literatury. Mama synka Sewerynka.

Truchła, knajpy, sypialnie

Wydany w serii wydawniczej czasopisma *Red* debiutancki tomik katowiczana Dawida Kotei nosi intrygujący tytuł *Trupy, trupy*. Śmierć faktycznie jest motywem przewodnim książki, jednak ten, kto oczekuje odnaleźć w niej wyłącznie nastrój żałobny, srodze się rozczaruje. Autor oscyluje bowiem między tragizmem a komizmem, zmienia często dykcję z lirycznej na slammerską, nieraz sprawnie łącząc obie.

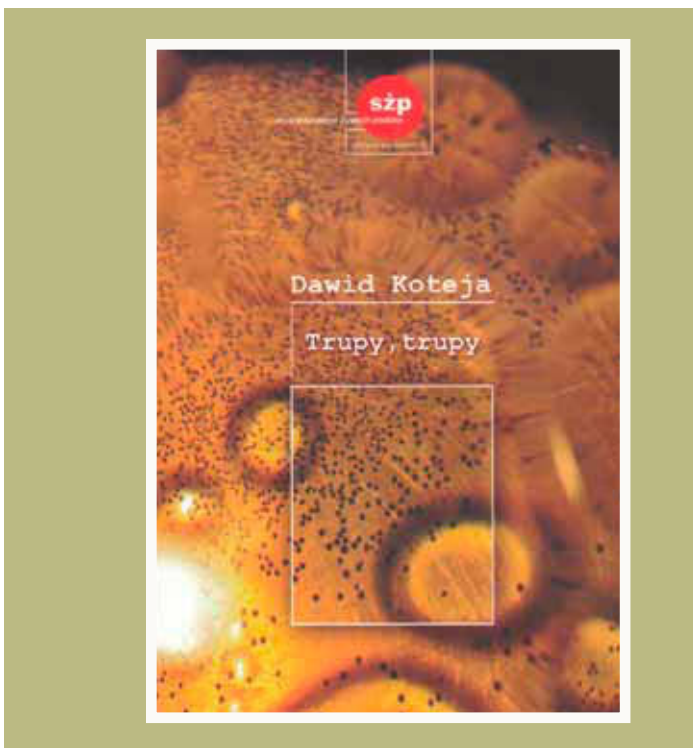
Zginać można na froncie (*i myślę o moim dziadku, o wszystkich wojnach, w których umierał / (...) on zaciskał nerwowo pięści, kiedy pytałem go, / czy zabił człowieka*), w nieszczęśliwym wypadku (*z okien na drugim piętrze wypływał dym*), albo najbanalniej, ze starości. Zginać można ostatecznie, kiedy ustaje praca mózgu i serca, albo częściowo, poprzez amputację jakiejś części swojej osobowości, swojego świata czy – odejście bliskiej osoby (*książki, spotkania, tabletki, raporty – wszystko, co zostawiłaś / (...) kiedy wyszłaś, kiedy stąd wyszłaś*). Umieranie widziane oczyma młodego poety nie często bywa wzniosłe, chociaż próbuje takie być, mimo trywialnych sporów o spadek (*w otoczeniu córek, wnuków i bogów / kłócących się o niedojedzoną porcję rosołu*), czy nieczułych komentarzy żadnych sensacji przypadkowych świadków (*facet, podobno jej konkubent, podobno / kawał gnoja, dobrze, naprawdę dobrze, że się spalił, / miał szczęście, jeśli się zacządził, nic nie czuł*).

Podmiot wierszy Dawida Kotei jawi się jako niesympatyczny samiec, wyuczony agresji poprzez jej doświadczanie (*zaczynam w pięści gazetę jak tasak, [...] Zjęby. Skurwysyny. / Kiedyś was wszystkich wykończę*), konstytuujący się poprzez „męskie” zabawy, jak seks z kobietami okazującymi zawsze modliszkowatą naturę (*Tkanina jest skórą mężczyzny, martwą wodą / którą rozdrapujesz bezsilnie łamiąc paznokcie, [...] jej ręce, gdy malowała nam wszystkim / osobne ścieżki, odległe orbity, [...] kochałaś się z moim / kumplem (...) / ja zaś układałem cienie na smak i podobieństwo twoich nóg*), wódka, przemoc i obrażanie innych (*Bajki Disneya zmieniają porządných chłopaków w cioty*), a jednocześnie jako wrażliwy, współczujący chłopiec, marzący o zbawieniu świata i wiecznej zabawie (*Ktoś przecież musi wreszcie rozpieprzyć system. / Uratować Abchazję. Wyzwolić Czeczenię/ Schlać się na squacie*). Momentami egzaltowany (*złamałem kij żebraczy, wyszedłem*), a momentami prześmiewczy (*Potem spisz nową historię*

Polski, / w której żołnierze AK są talibami i mają doklejo- ne brody), na szczęście czasem potrafi spojrzeć ironicznie na własną autokreację (*złi ludzie zablokowali mi telefon*).

Spora część wierszy autora *Trupów, trupów* jest narracyjna, nieco dygresyjna, sprawnie operująca językiem potocznym, pełna sensualnych, a nieraz wręcz naturalistycznych szczegółów (*z brodą sklejoną wymiocinami*), a także odniesień biograficznych (dedykacje erotyków kobietom sygnowanym imieniem i nazwiskiem). Widać w niej wpływy amerykańskich beatników oraz Marcina Świetlickiego, nie są one jednak na szczęście tak silne, aby indywidualny głos Dawida Kotei nie mógł się przez nie przebić.

Weronika Górka



Dawid Koteja
Trupy, trupy

Seria Poetycka Oficyna SZP

Dwa oblicza Śląska.....

Katarzyna Głowacka

Śląsk kojarzony jest z ciężką pracą, górnikami i kopalniami. Z biednymi ludźmi mieszkającymi w familokach. Dziećmi, które mają brudne twarze i bawią się na podwórkach. Śląsk z większej perspektywy to bieda, ludzkie problemy i huczne barbórki. Dwie najnowsze, bo mające wernisaż 15 maja, wystawy Muzeum Śląskiego w Katowicach przybliżają temat Śląska. Malarstwo **Pawła Wróbla** i fotografie **Ryszarda Czernowa** ukazują go odmiennie, wielopoziomowo.

Paweł Wróbel należy do najbardziej znanych śląskich malarzy nieprofesjonalnych. Urodzony w Katowicach-Szopienicach, swoją małą ojczyznę uczynił obiektem obserwacji i malarskich inspiracji. Zbiór jego obrazów pozwolił na stworzenie *Śląskiego ABC* według Pawła Wróbla, słownika gwary śląskiej wraz z ilustracją. Pod każdym obrazem znajduje się podpis będący śląskim słowem. Na obrazach widać pasącą się *cigę*, przystojnego *absztyfikanta*, spacerujących *karlusa* i *frejkę* czy przyjezdny *rómel*. Jednak to obrazy, swoją oryginalnością i nietypowym ukazaniem tego regionu przyciągają wzrok i każą na dłużej zatrzymać się przy każdym z osobna. Artysta bowiem, tworząc swoje dzieło maczał pędzel we wszystkich kolorach tęczy. Efektem tego są obrazy przedstawiające kolorowe domy i ulice, wielobarwne niebo i kwiaty kwitnące w ogrodach. Obrazy rejestrują ludzi przy pracy: mężczyzn na kopalni i kobiety u magła. Daleko im jednak do smutku i melancholii. Wydźwięk ich jest radosny i optymistyczny. Widać cyrk i wesołe miasteczko, potańcówkę i poruszenie w mieście. Spośród tylu barw i kolorów, zawsze wyłania się komin i fragment kopalni, hałda i część huty, przypominające o tradycjach tego regionu. We wnętrzach domów również odnaleźć można ślady śląskości w postaci obrazu górnika czy galowej czapki. Codzienne życie ludzi, ich praca, małe radości, święta i zabawy, takie ukazanie Śląska przekonywa do jego prostego piękna. Tylko ludzie bez twarzy w scenach zbiorowych każą się zastanowić, pomyśleć.

Wystawa obok poświęcona jest śląskiemu mistrzowi fotografii, a konkretnie zdjęciom **Ryszarda Czernowa** pod wspólną nazwą *Dygresje*. Sfotografowany Śląsk w niczym nie przypomina tego z obrazów Wróbla. Na zdjęciach bowiem, pełno jest smutku, milczenia i pustki. Brak czegoś lub kogoś jest ewidentny, bardzo wyraźny. Puste plaże, rząd krzeseł i droga donikąd, puste pola terenu, labirynt

pustych korytarzy. Fotografie pełne są miejsc, w których nikogo już nie ma, ludzi, którzy odeszli, a jedynym śladem jaki po sobie zostawili są ślady opon na śniegu. Zdjęcia przedstawiają miejsca opuszczone, w których zniszczona lalka informuje o rozgrywających się małych dramatach i pusta kartka symbolizująca nienapisany list. Wielkie osiedla i blokowiska pozbawione są ludzi, a jeżeli widać słońce to tylko zachodzące. Fotografia pociągu symbolizuje uciekanie od świata, a może uciekający świat? Podobnie jak huśtawki i karuzele, które nie służą zabawie, a chęci latania, uwolnienia się od wszechogarniającej szarości i smutku. Zdjęcie Ryśka Riedla w otaczającej go poświacie każe widzieć w nim Chrystusa, który jednak stracił wiarę w ludzi i w świat, nie widzi już sensu pomocy i czynienia dobra. Jest Bogiem, który zapomniał o tym miejscu. Wszędzie tylko węgiel i śnieg, czerń i biel, no i szarość domów, ulic i życia.

Wystawy nie wartościują, nie próbują oceniać Śląska. Kontrastowe ich zestawienie każe raczej spojrzeć na ten region jak na miejsce ciekawe, nietypowe, jedyne w swoim rodzaju. Dwa tak różne spojrzenia na Śląsk są świadectwem smutku i radości, zabawy i samotności, kontrastów, z których składa się życie, których pełno na śląskiej ziemi.

Wystawy potrwać do 4 i 18 lipca. Zainteresowani polskim folklorem powinni odwiedzić wystawę *Ach, co to był za ślub...*, na którą składają się obrzędy i zwyczaje związane ze ślubem miejskim i wiejskim przełomu XIX i XX wieku. Warto pamiętać także o stałej ekspozycji Muzeum Śląskiego, a więc o bogatych zbiorach malarstwa polskiego z lat 1800–1945 i po 1945 roku.





SUPER!JEDNOSTKA

Historia toczy się od ponad dwóch lat i związana jest z dwoma studentkami projektowania graficznego na ASP w Katowicach. Szczęśliwie (jak się później okazało) zrządzenie losu sprawiło, że **Kasia Jendrośka** i **Gosia Orzechowska** zamieszkały razem w Superjednostce.

Z pozoru wielki blok w centrum zaczął odsłaniać kolejne ciekawostki i tajemnice. Atmosfera wewnątrz była jakaś inna. Rozpoczęło się maniakalne liczenie ilości pięter, balkonów, mieszkań. Dociekanie dlaczego ten budynek tak wygląda i jest tak ogromny. Spawdzanie dokąd można dojść a dokąd nie, w labiryncie wewnętrznych korytarzy. Ludzie pytali, czy da się tam dobrze mieszkać i czy to prawda, że kuchnie są ślepe, mieszkania ogrzewane przez ścianę i winda nie na każde piętro da się dojechać. A to tylko niektóre z osobliwości ukrytych w budynku autorstwa architekta Mieczysława Króla.

Ten fakt, nie pozostał bez echa, dziewczyny postanowiły pokazać jak patrzeć na to miejsce – powstała **SUPER!JEDNOSTKA** – dokumentalny projekt emocjonalny. Cykl kolaży fotograficznych przedstawia katowicką Superjednostkę, zmiany w jej wyglądzie pod wpływem pór dnia, roku, codziennej eksploatacji oraz remontów. Katarzyna i Małgorzata zaczęły gromadzić wszystkie możliwe skrawki rzeczywistości wokół budynku – fotografowaniu wschodniej i zachodniej elewacji Superjednostki poświęciły ostatnie półtora roku. Trafiły na szczególnie moment. Elewacja właśnie jest remontowana. Fasady Superjednostki odzyskują swój czysty, jednolity i modułarny wygląd, po wielu latach nadawania poszczególnym balkonom specyficznego charakteru przez ich mieszkańców, którzy malowali swoje balkony na rozmaite kolory, zamieniali je w zielone oazy i zapelniali różnymi przedmiotami. Wszystkie te szczegóły po przyjrzeniu się dokładnie w pracach Jendrośki i Orzechowskiej widać, a kontrast pomiędzy starą a nową Superjednostką na kolażach uderza jeszcze mocniej.

Kolaże zbudowane są z ponad setki uniwersalnych modułów – fotografii 10x15cm – odzwierciedlających strukturę budynku, składanych w jedną całość o wymiarach ok. 230x270 cm. Moduły przedstawiają pojedyncze balkony fotografowane z różnych perspektyw, miejsc i wysokości. A wszystko dlatego, że nie da się uwiecznić całego budynku na jednym zdjęciu, zawsze jakiś fragment jest przysłonięty. A także po to, by zbudować **SUPER!JEDNOSTKĘ** w całej okazałości, jako obiekt uniwersalny a przez to ponadczasowy.

Fotografowaniu balkonów Superjednostki towarzyszyło wiele przegód i emocji. Bo jak wytłumaczyć powód, dla którego dwie kobiety ze wszystkich możliwych stron i miejsc namiętnie podglądają budynek? Na niektórych zdjęciach, jeśli dobrze się przyjrzeć, widać w oknach małe sylwetki mieszkańców budynku. Różnie reagowali, widząc, że są fotografowani: jedni się uśmiechali, wołali z ciekawości, a inni grozili, że zadzwonią na policję. Teraz, kiedy kolaże są już gotowe mieszkańcy będą mieli szansę skonfrontować swoje patrzenie na budynek.

Jendrośka i Orzechowska mają zamiar rozwijać projekt. Chciałyby dalej fotografować przeobrażającą się elewację, a potem zabrać się za wnętrze budynku. To tak jakby dobrze poznać powierzchnię po to, żeby można było przebić się do środka. Do tego zdaniem Kasi i Gosi niezbędne są zaufanie i współpraca mieszkańców.

Niedawno zakończyła się wystawa w katowickim oddziale SARP na ul. Dyrekcyjnej 9, a już niedługo będzie można zobaczyć kolaże w klatkach wejściowych Superjednostki.

mako

Polonica zza Odry. Okiem kamery Bogumiła Godfrejowa

Maciej Dęboróg-Bylczyński

Niemieckie kino nastawione na masowego odbiorcę od kilku lat serwuje nam tematykę pozornego rozrachunku z przeszłością. W nurt ten wpisuje się także nagrodzony w roku 2007 Oscarem obraz młodego filmowca – Florianana Henckel von Donnersmarcka – *Das Leben der Anderen* (polski tytuł: *Życie na podsłuchu*). Mało kto jednak zwrócił chyba uwagę (na fali powszechnej amerykańskiej gorączki jaka zapłonęła wokół tego - nastawionego bądź co bądź na *kommerziel* filmu) na polskie (a właściwie śląskie) korzenie tego urodzonego w Kolonii reżysera. Kino pozornego rozrachunku (do którego zaliczyłbym również głośne produkcje: *Operation Valkyrie* (pol. tyt.: *Zamach w Wilczym Szańcu*, reż. Jo Baier, 2004) i *Der Untergang* (pol. tyt.: *Upadek*, reż. Olivier Hirschbiegel, 2004)) cieszy się w Niemczech zrozumiałym psychologicznym aplauzem. Toteż specjalnie nie dziwi fakt, że *Das Leben der Anderen* zarobił w samym tylko kraju nad Odrą ponad 7 milionów dolarów (i to zanim otrzymał siedem statuetek Loli – niemieckiego Oscara – w roku 2006).

Ale w tym samym (2006) roku krytycy dostrzegli również (i nagrodzili pięcioma Lolami) film diametralnie inny, choć równie mocno nasycony problematyką moralną. Reżyser tego filmu (nominowany do Złotego Niedźwiedzia) – Hans-Christian Schmid wielokrotnie udowadniał już swoją odwagę, nie stroniąc od niejednoznacznych w ocenie moralnej problemów. Urodzony w roku 1965 w Altötting Schmid zadebiutował na dużym ekranie trzydzieści lat później filmem *Nach Fünf im Urwald* (pol. tyt.: *Po piątej w dżungli*). Ów lapidarny obraz składa się na historię nastolatki. To film rozpięty pomiędzy małym miasteczkiem i metropolis München, zaś powodem, dla którego siedemnastoletnia Anna decyduje się wyruszyć do wielkomińskiej *dżungli* są jej adolescentne marzenia o sławie piosenkarki.

Trzy lata później Schmid pokazuje publice *23-go* (*23 – Nichts ist so wie es scheint*) obsadzając w ciekawej roli (Siergieja, agenta KGB) Zbigniewa Zamachowskiego. Jak zauważył Zajdel, Zamachowski świetnie sparabolizował ironiczną wymowę *23-go* łącząc (poprzez fizyczne podobieństwo do Adolfa Hitlera) w postaci Siegieja cechy dwóch totalitaryzmów – ZSRR i III Rzeszy. Odnoszę wrażenie, że ta próba przełamania stereotypów polskich i niemieckich jest wielkim (czy dostatecznie zauważonym?) sukcesem Schmidta (co potwierdzi przecież jeszcze reżyser w *Lichterze*). Jakże trafnie pisał o tym problemie przed laty Jerzy Kijowski: *Niemiec w polskich filmach powojennych jest zawsze pruskim junkrem, kapitalistą, wyzyskiwaczem, najeźdźcą, SS-manem, lub, co najwyżej, zachodnoniemieckim szpiegiem [...]. próbowali tym stereotypom przeciwstawić się Andrzej Munk w *Pasażerze* (1962) i Andrzej Wajda w *Miłości w Niemczech* (1983), ale wysiłki były wątpliwe...* Zdaje się jednak, że kino Schmidta nabiera pełni wyrazu dopiero przy realizacji *Lichtera* (pol. tyt.: *Światła*, 2002). To wówczas w ekipie *Światła* pojawił się polski operator Bogumił Godfrejów, któremu drzwi do niemieckiej kinematografii otworzyła świetna nominacja do Oscara (jak pamiętamy – za krótkometrażowy obraz pt.: *Męska sprawa*).

Tych kilka kroków na krwistoczerwonym, hollywoodzkim dywanie (w wypożyczonym smokingu od Pierre Cardina) stało się wspaniałym pretekstem do pokazania filmowemu światu nakręconej w smutnych, jesiennych barwach krótkometrażówki. *Męska sprawa* Fabickiego i Godfrejowa (montażu podjęła się żona reżysera – późniejsza pisarka literatury nurtu post-portnoy'owskiego) nie była filmem świeżym, raczej jedną z wielu realizacji motywu estetyki kina z gatunku *Cześć, Tereska* R. Glišńskiego z placącym dzieckiem i nieszczerliwym psem w rolach głównych. Niemniej – sugestywny obraz kamery Godfrejowa przekonywał. Operatorowi ponoć gratulowali talentu nawet Steven Spielberg i Janusz Kamiński. Nic dziwnego, przecież film *odbywał zwycięski pochód szlakiem festiwalu filmowych* jak to zgrabnie ujęła Ewa Winnicka. W warstwie zdjęciowej *Męska sprawa* jest może nawet lepsza od późniejszych *Światła*. Chyba się nie pomylił pisać, że zapewne tak jak Godfrejów zrobił *Męską...*, tak chciał widzieć więcej czasu adaptację swoich książek Wojciecha Kuczoka (podobny, o ile nie pełniejszy, efekt wizualny został zresztą osiągnięty w świetnie nakręconych przez Marcina Koszałkę *Pręgach*). Zapewne to moralne uwi-

klanie – psa (w budzie) i dziecka (więzionego w domu przez sadystycznego ojca) zaintrygowało reżysera *23-go*. Zresztą Fabicki i Godfrejów powrócili jeszcze w „roku *Światła*” (2003) w polskiej *Medei teatralnej*. Łucja i jej dzieci (bo o tym spektaklu TV myślę) to, jak pisał Roman Pawłowski – *miniaturowy Oświęcim w polskiej rodzinie*. Sztuka napisana przez Marka Pruchniewskiego na kanwie reportażu dziennikarzy *Gazety* – Lidii Ostalowskiej i Wojciecha Cieśli (pt.: *Worek*), będąca relacją z przebiegu straszliwych zdarzeń wielokrotnego dzieciobójstwa, jakie miało miejsce na Siedlecczyźnie w marcu 2000 roku.

Światła Hansa-Christiana Schmidta wychodzą poza mikrokosmos wsi. Kreślą całą plejadę ludzkich konfliktów, którymi reżyser obdarowuje hojnie młode Polki ze Ślubic, Ukrainka Kolje, Sonię – niemiecką tłumaczkę, młodocianych przemysłników papierosów – Marco i Katharine, taksówkarza Antoniego etc... Co jednak ważne dla nas w tym nadgranicznym obrazie, obrazie graniczności, kresowości ludzkich dylematów... doprowadzonych niemal do... granic właśnie, to to, że *przekładając konflikty graniczne na losy indywidualnych bohaterów starał się [Schmid – dop. M. D-B.] uniknąć jakiegokolwiek dyskryminacji, stereotypizacji w polsko-niemieckich relacjach, których obecność powoduje, że widzowie nie potrafią w filmach obcej kinematografii rozpoznać właściwych motywacji kierujących działaniami postaci filmowych*. Wszak wie Schmid, że poza kadrem *Światła*, w przestrzeni (niby już *nie-filmowej* a jednak nawarstwionej, nadbudowanej semantycznie) dzieją się równie ważne konkretyzacje dzieła filmowego.

Operator *trudnych obrazów* (dziecka w zimnej Odrze, komunijnej sukienki jako symbolu ojcowskiej miłości), ciemnych zakamarków natury ludzkiej (Godfrejów) zdaje się wybornie czuć (współodczuwać?) moralną wieloznaczność w kadrze filmu Schmidta. Czy nie podobnie jest w *Zerwanym* (polskiej realizacji Godfrejowa, o której kiedyś mówił w rozmowie z autorem tego szkicu – „starczyło mi taśmy z Lichtera, to skreśliłmy *Zerwanego*)? Trzecia (po *Łucji...* i *Światłach*) realizacja z roku 2003 (w reż. Jacka Filipiaka) to film zaangażowany, rodzący się nie tylko w technicznych bólach, tak, *żeby wszystkie domy dziecka i zakłady wychowawcze wyleciały w powietrze. Dramat młodości* (jak to ujął Paweł Felis) z pozornym happyendem, bez wyraźnie oddzielonych barw życia na to, co białe lub zawsze czarne (a przecież – ostre i dramatyczne).

Bardzo Schmidowski zdaje się być nagrodzony na festiwalu w Gdyni (Złote Lwy dla Godfrejowa, nominacja dla Fabickiego – w roku 2006) film *Z odzysku*. *Nie ma tu [...] manierowego ostatnio w polskim kinie oskarżenia, że to świat jest zły i tłamsi zdolnych, wrażliwych i niewinnych* pisał o filmie znów Paweł T. Felis. *Śląski film, famillio-kowy* Fabickiego, a przecież nakręcony według scenariusza Bośniaka – Denijala Hasanovicia (tego samego, który napisał Schwidowski wzruszając historię do jego nowego filmu – *Sturm*).

Sturm to film *nieefektowny* jak *Wie licht schmeckt* (duet Godfrejów / Vom Scheidt), który niestety nie trafił do polskiej dystrybucji. Trzydziestokilkuletniego Maurusa vom Scheidta polscy kinomani mieli jednak okazję zobaczyć. Mignął im w kilku scenach *Hi Way'a* (w reż. Jacka Boruskińskiego z r. 2006). Monachijczyk przyjechał bowiem do Krakowa tuż po zdjęciach do *Wie licht schmeckt* i jakoś tak... *załapał się* na plan filmowy komedii kabaretu Mumio. *Sturm* (który niebawem będziemy mieli okazję zobaczyć w Polsce) – to – jakżeby inaczej – film o moralnej dwuznaczności. Jest to kolejna Schmidowska historia, w której nie jest oczywiste, uwielbiani politycy mają przeszłość katów, kanale zdobywają się na ludzkie odruchy, a wojna bałkańska nie zawsze tłumaczy ludzkie wybory.

Natomiast filmem, który dzięki staraniom Vivarto wszedł do dystrybucji w Polsce, jest Schmidowski *Requiem* (2006). W przeciwieństwie do *Światła* jest to film lapidarnie nakręcony, w skupionych, chłodnych barwach. Dzięki tej zimnej, niemal Von Trierowskiej technice kadrowania widać w nim kunszt operatorski Godfrejowa. Sam temat nie jest nowy, przeciwnie – oparty na faktach z życia dwudziestokilkuletniej Niemki – Anneliese Michel (uważanej za opętaną i poddawanej

zamiast leczenia psychiatrycznemu – egzorcyzmom) doczekał się wcześniejszych realizacji – zarówno dokumentalnej (Polaka – Macieja Bodasińskiego pt.: *Egzorcyzmy Anneliese Michel*) jak i fabularnej (*Egzorcyzmy Emily Rose*, 2005). O ile jednak bohaterami tychże realizacji byli księża (u Bodasińskiego – polski duchowny przeprowadzający wywiad z matką zmarłej dziewczyny, u Scotta Derricksona – egzorzysta zasiadający na ławie oskarżonych), to w filmie Schmidta punkt ciężkości umieszczony jest – co wydaje się najciekawsze – na osobie samej opętanej Anneliese. Film Derricksona jest typową amerykańską produkcją. Bliżej mu do *Advokata diabła* Taylora Hackforda (1997), toteż ten film nie stawia pytań, i nie szuka na nie odpowiedzi.

Naczelną zasadą kina Schmidta jest dystans, toteż reżyser także nie udzieli nam jednoznacznej odpowiedzi na pytanie czy musiało dojść do tej tragedii. Film jest właśnie takim cichym, spokojnym *requiem* dla tej osaczonej przez instytucje (Kościół, uczelnia) i najbliższą, zdeciowaną, małomiasteczkową, rodzinę dziewczyny. Jest głosem spokojnym, ale (jak to bywało w najlepszych filmach Dogmy) – budzącym moralny niepokój. Niestety w Polsce promocja *Requiem* była znikoma.

Pozostaje nam czekać na nowe filmy duetu – Schmid / Godfrejów (może również z udziałem polskich aktorów) i wierzyć, że praca za Odrą naszego operatora również zostanie w kraju zauważona, i że nie trzeba będzie przywozić taśmy filmowej z Niemiec, by robić dobre kino w Polsce...

MACIEJ DĘBORÓG-BYLCZYŃSKI - ur. w 1975 r. Interesuje się m. in. krytyką literacką, estetyką kultury literackiej pogranicza, historią teatru w Galicji, estetyką nowych mediów. Autor złożonej do druku książki *Pamięć, nostalgia, tożsamość. Kulturowe aspekty estetyki pogranicza w twórczości Zbigniewa Żakiewicza i powieści Kolej na los* (2009). Mieszka w Sosnowcu.

MIŁOŚĆ (DO) POETY

John Keats, jeden z najwybitniejszych angielskich poetów wszechczasów, zmarł w wieku dwudziestu pięciu lat. Wcześniej jednak dane było mu poznać Fanny Brawne, młodą dziewczynę, którą nie tylko obdarzył uczuciem, ale i wprowadził w świat wielkiej poezji.

Decydując się nakręcić film o miłości tych dwojga (rolę Fanny zagrała Abbie Cornish, w Keatsa wcielił się Ben Whishaw), Jane Campion postawiła przed sobą nie lada wyzwanie. Powracająca do pełnego metrażu autorka słynnego *Fortepianu* podjęła próbę przedstawienia historii uczucia, o którym opowiedzieć niemal nie sposób. Nie była to bowiem miłość „efektowna” – nie była powodem krwawych wojen i szaleńczych aktów zaprzeczania zastanej rzeczywistości. Nie, uczucie, o którym opowiada Campion, niemal zupełnie nie zaznacza się w materii świata, który istnieje obok pary kochanków, daje się odnaleźć tylko w prywatnych listach, wzajemnych spojrzeniach i recytowanej sobie poezji. To historia, o której mówić nadzwyczaj trudno, film zatem kła-

dzie nacisk przede wszystkim na obraz. Wysmakowane, precyzyjnie komponowane kadry funkcjonują nie tylko jako proste przedstawienie celuloidowej rzeczywistości, ale zdają się również eksponować wewnętrzne przeżycia bohaterów.

Jednak *Jaśniejsza od gwiazd* to nie tylko opowieść o intymnym uczuciu, ale również historia tego, jak poezja może zmieniać świadomość – mocno stąpająca po ziemi Fanny za pomocą wierszy odkrywa w sobie nieznane dotychczas pokłady emocji. To także film o relacjach Keatsa z jego przyjacielem Charlesem Brownem, wzajemnym przywiązaniu dwóch mężczyzn i kłęsce, jaką ponosi jeden z nich, gdy przyjdzie mu zawieść swego towarzysza.

W najnowszej produkcji Campion równie ważna co opowiadana historia jest atmosfera, jaka spowija cały film. Obrazy i muzyka starają się pokazać to, co nie daje się przedstawić za pomocą fizycznych działań bohaterów. Miejscami jednak trudno oprzeć się wrażeniu, iż ten zabieg nie przynosi pełnego sukcesu – wielka miłość Fanny i Keatsa jest zjawiskiem zbyt intymnym, by w jego przeżywaniu uczestniczył ktoś spoza pary kochanków. W warstwie fabularnej *Jaśniejsza od gwiazd* jest przede wszystkim prostą historią, jakich kino widziało już setki. To film imponujący precyzją formy, ale faktycznie nużący zbyt dobrze znanymi rozwiązaniami. Oczywiście, podstawy snutej przez Campion opowieści w dużej mierze stworzone zostały przez los, nie przez autorkę filmu. To na niej jednak ciąży odpowiedzialność za to, by tę prywatną historię dwojga kochanków uczynić atrakcyjną również dla osoby trzeciej – widza.

Bolesław Raciński

Jaśniejsza od gwiazd
reż. J. Campion, Best Film 2010



Katie Melua, *The House* Dwa spojrzenia: **fana** i **sceptyka**



Katie Melua powraca po 3 latach z nowym materiałem, na którym postanowiła odświeżyć swoje brzmienie. Bardzo obawiałem się tej płyty. Wcześniej uznawałem ją za kompletnie nijaką wokalistkę nagrywającą ładne piosenki powielające ciągle ten sam patent. Teraz wszystko się zmieniło...

Album niestety bywa czasem nierówny jakościowo. Od milego, obiecującego początku (*The Flood*, *A Happy Place*, *A Moment Madness*), poprzez środkową – kompletnie niepotrzebną część (*Red Balloons*, *Tiny Alien*, *No Fear Of Heights*), aż po rewelacyjną, inspirowaną Kate Bush z lat 80. końcówkę, wynoszącą Katie na swoje wyżyny artystyczne. Klimatyczne i tajemnicze *The One I love Is Gone*. Lekkie, wręcz popowe *Plague Of Love* ze świetnym refrenem. Następnie jeden z najlepszych utworów na płycie: *God On Drums*, *Devil On The Bass* to najbardziej odważny i szalony kawałek, pokazujący całkowicie nowe oblicze i charyzmę wokalistki, mieszając jednocześnie blues, pop i elektronikę. Zamykający wydawnictwo, tytułowy *The House* to podróż w magiczny świat przestrzennych dźwięków. Moim zdaniem najpiękniejsza piosenka w jej dorobku.

Muszę przyznać że nie spodziewałem się takiego progressu. W przeciwieństwie do podobnych sobie artystek, Katie postanowiła rozwinąć swój styl i mam nadzieję, że będzie nadal poszukiwać nowych pomysłów na siebie.

Paweł Lichota

Na nową studyjną płytę Katie Melua trzeba było czekać aż trzy lata. Po niewyróżniającej się *Pictures* artystka zdecydowała się na muzyczny eksperyment, próbę zaskoczenia stałych słuchaczy oryginalnym brzmieniem oraz przekonania do siebie nowych odbiorców. Katie, znana z tworzenia utworów wpisujących się w gatunek określany jako *easy-listening music*, postanowiła szukać inspiracji w – jak sama mówi – muzyce przeszłości. Nawiązała współpracę z Williamem Orbitem, producentem odpowiedzialnym między innymi za sukces albumu *Ray Of Light* Madonny. Każdy, kto miał styczność z wyprodukowanymi przez niego płytami wie, że wyjątkowo chętnie korzysta on na nich z różnorodnych efektów elektronicznych.

Nie inaczej jest także w przypadku nowego albumu. *The House* to płyta mroczniejsza, dojrzalsza od poprzednich dokonań Katie. Znajduje się na niej dwanaście różnorodnych stylistycznie utworów, poczynawszy od charakterystycznych dla artystki ballad (*Red Balloons*) przez burleskowy *A Moment Of Madness*, na przepełnionym elektroniką *God On Drums*, *Devil On The Bass* kończąc. Praktycznie każda z piosenek wzbogacona została o elementy elektroniczne współtworzące specyficzny charakter całości.

The House to także pierwszy album, na którym wszystkie utwory (poza jednym coverem) zostały napisane w całości lub współtworzone przez Katie. Jest to również pierwsze wydawnictwo nagrane z muzykami z jej zespołu, a nie z artystami sesyjnymi. Co więcej, instrumentalisci nie wykonywali swoich partii pojedynczo – siedząc w osobnych boksach i mając ze sobą kontakt wzrokowy, mogli wykonywać kolejne utwory „na żywo”. Katie Melua i William Orbit wspominają, że starali się możliwie jak najwięcej materiału nagrać tradycyjnym sposobem, za pomocą istniejących instrumentów, bez używania efektów komputerowych. Dzięki wspomnianym zabiegom, odbiorowi płyty towarzyszy uczucie słuchania materiału zarejestrowanego *live*. Pełne zaangażowanie Katie w proces tworzenia *The House* zaowocowało także wydawnictwem bardziej osobistym. Moim zdaniem album ten jest najbardziej *prawdziwym* w dyskografii młodej Brytyjki gruzińskiego pochodzenia.

Jak każdy album, tak i ten posiada pewne wady; nie są one jednak szczególnie znaczące. Pod względem stricte muzycznym, uważam go za idealnie dopracowany. Głównym mankamentem okazują się natomiast nierówne jakościowo teksty utworów. Większość z nich, jak *I'd Love To Kill You* czy *The House* intryguje i zaskakuje, zdarzają się jednak także teksty niewyrafinowane (*Plague of Love*, *Tiny Alien*), przypominające niektóre z literackich *dokonań* poprzedniego producenta płyt Katie, Mike'a Batt'a.

Czas odpowiedzieć na pytanie: czy *The House* to najlepsza z dotychczasowych płyt Katie Melua? Moim zdaniem tak, mimo, że nie określiłbym jej mianem muzycznej rewolucji, bowiem bardziej uprawnione jest tutaj słowo *ewolucja*. Bez wątplenia jest to najbardziej zróżnicowana produkcja młodej artystki. Polecam ją wszystkim, a szczególnie tym, którzy uważają Katie za gwiazdę jednego przeboju – *Nine Million Bicycles*. Myślę, że będziecie zaskoczeni.

Adam Andrysek

LEGENDA W SKALI MAKRO



Przygotowując się do kręcenia kolejnej wersji przygód banity z Sherwood, Ridley Scott musiał oczywiście odpowiedzieć sobie na pytanie podstawowe: jak na nowo przedstawić historię, którą literatura i kino opowiadały już wielokrotnie? Rozwiązanie okazało się bardzo proste – angielski reżyser zdecydował się rozwinąć wątek, który dotychczas traktowany był nadzwyczaj marginalnie. Robin Hood Scotta opowiada o tym, co działo się z tytułowym bohaterem, zanim poświęcił się „zabieraniu biednym i dawaniu bogatym”. To rozwiązanie bezpieczne, pozwalające na zabawę z klasycznymi wersjami historii o szlachetnym bandycie na neutralnym, niemal niezagospodarowanym przez tradycję gruncie.

Robin o wyglądzie Russella Crowe jest jednym z łuczników w armii Ryszarda Lwie Serce. Pod jego wodzą wyruszył na trwającą dziesięć lat krucjatę i teraz, wraz z królewskimi wojskami, wraca do Anglii. Po drodze jednak angielska armia nie marnuje okazji, aby złupić kilka francuskich zamków. W ostatnim już oblężeniu Lwie Serce ginie ugodzony strzałą, a Robin, zniechęcony do walki i pozbawiony nadziei na zóld, decyduje się na ucieczkę. Wkrótce trafia do Nottingham, aby tam oddać wręczę Waltera Loxley miecz jego syna, Roberta – najlepszego przyjaciela króla. Tymczasem Jan, nowy władca Anglii, nakłada na swych podwładnych drakońskie podatki, które mogą doprowadzić do wybuchu powstania przeciw monarsze. Państwu zagrażają jednak nie tylko rewolucyjne nastroje, ale i szykujący inwazję francuski król Filip.

Mimo że Ridley Scott umieścił swego bohatera nie w mikrokosmosie Nottingham, a makrokosmosie wielkiej historii, niewiele

zmienił wydźwięk całej opowieści. Tak jak w klasycznej wersji legendy Robin walczy o lepszy byt biednych wieśniaków, tak w filmie angielskiego reżysera staje na czele ruchu żądającego uchwalenia Wielkiej Karty Swobód – aktu, który radykalnie zmniejszy władzę króla nad poddanyymi. Słynny łucznik w końcu oczywiście trafi do Sherwood, zanim jednak stanie się bohaterem tylko i wyłącznie lokalnym, wpisze się w losy całej Anglii (reżyser każe mu nawet wypowiedzieć słynne *my home is my castle*). Ta zresztą wyraźnie potrzebuje bohatera. Scott odchodzi od obecnego w wielu historiach o Robinie naiwnego wyobrażenia, w którym prawe i miłościwe rządy Ryszarda Lwie Serce przeciwstawiano podłościom Jana Bez Ziemi

– u angielskiego reżysera władza absolutna jest niesprawiedliwa z definicji, nieważne, czyją ma twarz. Nakładający nadzwyczajne podatki Jan niewiele różni się od swego poprzednika, którego krucjaty pochłonęły znaczną część państwowego majątku. Robin wie, iż tylko głębokie reformy pozwolą Anglii podnieść się z kolan i odeprzeć najazd Francuzów. Podejmuje tym samym walkę z opresyjnym systemem, przeciwnikiem najtrudniejszym, bo pozbawionym ciała, które można przebić wystrzeloną z łuku strzałą. Bohater zdoła odnieść zwycięstwo (gdy wojska Filipa dobijają do angielskich brzegów, natkną się na niespodziewany opór, francuski król powie, że Anglicy „wcale nie wyglądają na zwaśniony naród”), wiktoria jednak szybko ustąpi miejsca klęsce. Ta narodzi się z osobistej urazy, jaką żywi Jan – absolutna władza pozwala królowi przekuć emocję w obowiązujące prawo. Nie zginie natomiast idea, historia przecież mówi to, czego już nie pokazuje film: Wielka Karta zostanie uchwalona kilkanaście lat później, jeszcze za panowania Jana Bez Ziemi. Jednak nie będzie to już historia Robin Hooda. Ten, wyjęty spod prawa, zaszywa się w Sherwood, aby tam tworzyć funkcjonujące poza oficjalnymi strukturami wymarzone społeczeństwo.

W swoim najnowszym filmie Ridley Scott ponownie holduje pomysłom, które przesądzały o charakterze jego poprzednich widowisk – *Gladiatora* i *Królestwa Niebieskiego*. Jednak pełne patosu sceny i często sprawiające wrażenie naiwnych rozwiązania fabularne nie budzą sprzeciwu – każda opowieść o losach Robin Hooda to przecież legenda, czyli twór nadzwyczaj podatny na wszelkie uproszczenia. Cieszy fakt, że angielski reżyser, świadomy tego, iż rozwija temat w literaturze i filmie podejmowany już



wielokrotnie, często nawiązuje do bogatej tradycji opowieści o dzielnym banicie. W jego najnowszej produkcji nie tylko pojawiają się znane z klasycznych historii o Robin Hoodzie postacie (oczywiście Marion, a także m.in. Szkarłatny Will, Mały John czy braciszek Tuck), ale i niektóre sceny zdają się wprost odwoływać do najpopularniejszych wersji angielskiej legendy. Ci, którzy znają chociażby Wesołe przygody Robin Hooda Howarda Pyle'a, na pewno nieraz uśmiechną się pod nosem.

W filmie Scotta Robin Hood pozostaje Robin Hoodem – szlachetnym i dzielnym wojownikiem, który rzuca wyzwanie wypaczeniom systemu. Reżyser, przedstawiając bohatera jako głównego orędownika Wielkiej Karty Swobód, wpisuje go w jeden ze swych ulubionych tematów. Ponownie opowiada o jednostce, która, niespodziewanie wrzucona w tryby wielkiej historii, zdołała odcisnąć na niej swoje piętno. Słynny banita doskonale radzi sobie nie tylko w Sherwood.

Bolesław Racięski



Festiwal filmowy REGIOFUN – nowe miejsce na mapie kulturalnej miasta i regionu

Jesienią (17–21 listopada) odbędzie się w Katowicach pierwszy międzynarodowy festiwal filmów, które powstały przy wsparciu Regionalnych Funduszy Filmowych. Wizytówką dobrych praktyk Funduszy jest m.in. słynny francuski film „Jeszcze dalej niż Północ” – komedia obyczajowa, w której region Nord Pas de Calais (odpowiednik naszego Śląska) ukazany został z zachwytem dla tego, co lokalne, inne, niepowtarzalne. Takich filmów w Polsce i w Europie powstaje wiele, a to niewątpliwie powinno cieszyć. Festiwal REGIOFUN ma ambicję, aby stać się forum ich prezentacji. Organizator festiwalu – Instytucja Filmowa „Silesia-Film” angażuje się w procedury produkcyjne, dokonujące się na podstawie funduszy regionalnych. Przełomowym rokiem dla regionalizacji produkcji filmowej w Polsce był rok 2008, w którym do życia powołano prowadzony przez Instytucję Filmową „Silesia-Film” Śląski Fundusz Filmowy. Obecnie na terenie kraju działa 9 Regionalnych Funduszy Filmowych, trwają zaawansowane prace nad powołaniem 3 kolejnych. W ramach festiwalu REGIOFUN o nagrody będą się ubiegały filmy fabularne, dokumentalne i animowane wyprodukowane przy wsparciu Regionalnych Funduszy Filmowych lub innych form finansowania filmów

z regionalnych środków publicznych. Filmy konkursowe oceniać będzie międzynarodowe jury. W każdej kategorii wyłonieni zostaną trzej laureaci. Obok projekcji konkursowych w ramach festiwalu odbędzie się retrospektywa twórczości wybitnego polskiego dokumentalisty Andrzeja Fidyka. Retrospektywa ta będzie kontynuacją rozpoczętego w 2006 roku Festiwalu „Celuloid, Człowiek, Cyfra”. Projekcjom filmowym będą towarzyszyły spotkania z twórcami, a także konferencja dla przedstawicieli Regionalnych Funduszy Filmowych. Festiwalowa publiczność będzie

miała okazję uczestniczyć w wydarzeniach towarzyszących koncertach, wystawach fotograficznych. Na zakończenie festiwalu, w niedzielę 21 listopada odbędzie się benefis Andrzeja Fidyka. REGIOFUN ma szansę stać się ważnym dla regionu wydarzeniem kulturalnym, które ugruntuje pozycję województwa śląskiego i jego stolicy - Katowic, w obszarze kultury filmowej w Polsce i w Europie. Miasto, w którym od 30 lat działa jedna z dwóch w Polsce szkół filmowych (Wydział Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego) zasługuje na swój Ważny Festiwal. Szczegółowe informacje dostępne są na stronie: www.silesiafilm.com.pl

Centrum Sztuki Filmowej, Fot. arch. CSF



Węgierska wiosna

Wejście od strony kuchni dodaje odwagi i rozbudza apetyt. Podpatrywanie mistrza przy pracy daje przyjemne, acz złudne poczucie, że coś się jednak wie, nawet jeśli zobaczyło się tylko to, na co przez moment uchylono nam drzwi, i kiedy zaledwie doszedł nas zapach z bulgoczącego na ogniu kociołka. Nieprzypadkowo Bohdan Zadura rozpoczyna posłowie antologii (Od kuchni) od skojarzeń kulinarnych, by czytelnika – stojącego w drzwiach – ośmielić. Zupa rybna (halászlé) – tak, panie Bohdanie! Fasolowa na sposób Jókaiego (bableves Jókai módra), z chęcią, panie Bohdanie, poproszę. Aha, i małą porcyjkę węgierskich kluseczek (galuska), no i może pół lampki tokaju, skoro był pan łaskaw o tym wspomnieć.

Stając w kuchennych drzwiach, mogłem rzucić jedno nazwisko mi znane – Sándor

Sándora Máraię, węgierska poezja ma się dużo gorzej. Gdy usiłuję sobie przypomnieć jakąś książkę żyjącego węgierskiego poety wydaną w ostatnich kilku czy może nawet kilkunastu latach, to nic poza wyborem wierszy Kovácsa „Okruchy przestrzeni” (2003) nie przychodzi mi do głowy. Aby odnotować te incydentalne momenty obecności, warto jeszcze wspomnieć o kilku antologiach, oprócz tego w różnych czasopismach można odnaleźć pojedyncze utwory.

Siłą wydanej przez Biuro antologii jest to, że nie stara się ona niczego nadrobić, bo zarysowanego tu stanu nie da się szybko zmienić. Otrzymujemy zbiór, na który składają się przekłady z trzynastu autorów, skomponowany według zasady „mniej poetów, więcej wierszy”. Książka jest wyborem autorskim, co oznacza, jak podkreśla Zadura, również sentymentalnym. Jest to kryterium doboru już samo w sobie sensowne, oczywiście nie jedyne. Lista obecności obejmuje tylko poetów dwudziestowiecznych – i jest to kryterium kolejne. Co ciekawe, tłumacz wymienia nazwiska kilkudziesięciu (!) autorów, także z czasów dawnych, którzy mogliby się znaleźć w tej publikacji, bo przekłady ich wierszy są już przygotowane. Można zatem zapytać, czy nie warto było stworzyć zupełnie innej książki, rozpocząć inaczej, posiłkując się na przykład wzorem prześwietnej *Antologii poezji francuskiej* Krzysztofa Lisowskiego. Czy nie można było zacząć od „samego początku”, by dochodząc do czasów współczesnych, pokazać szeroką panoramę. Jest „Węgierskie lato”, był Węgierski Październik, a gdzie jest „Węgierska wiosna”? Sam sobie odpowiem. O ile w projekcie Lisowskiego chodziło zarówno o uporządkowanie tego, co już znane, jak i o przyjemność tekstu, o tyle Zadura stawia przede wszystkim właśnie na *Le plaisir du texte* (niestety nie wiem, jak brzmi to po madziarsku). Mówiąc krótko, co nam dała francuska poezja, to my oczywiście wiemy.

No właśnie, co mi dała poezja węgierska? Dała mi trzynastu poetów, których mogę czytać, nie przejmując się znanym tym, kto z kogo wyrósł, po jakich zeglował wodach i jakie prądy go niosły, kto w jakich trudach wybijał się na niepodległość. Wśród tych poetów dała mi Petera Kantora, którego wiersze szczególnie zapadły mi w pamięć. Nie mogąc się powstrzymać, zacytuję mój ulubiony fragmencik: *biorąc na próbę ciemność, jasność, / ażeby obraz z nich zestawić, / z którego wyjdzie, okolicę / za sobą Martwą pozostawi / razem z sarenką i tygrysem.*

Tej książce życzę wielu czytelników, życzę dobrze – życzę jej wiosny.

Paweł Sarna

Sztuka mimikry

W *Mimikrze* dzieje się życie poddane rozedrganiej przeszłości, nieokreślonej pamięci, nieczytelnej naturze i wieloznacznym doznaniom podmiotu lirycznego. Przeszłość, której u Jarosza dużo, być może więcej niż teraźniejszości, objawia się w kilku aspektach: m.in. jako przeszłość, która woła (*Patrzyliście, jak w górze / pryskają spadochrony. Potem / wolno jak fusy opadają w trawę – z wiersza Mimikra*) i przeszłość, którą należy pielęgnować, aby nie wygasła indywidualna lub ogólnoludzka tożsamość (*Uświęć siebie, masz w sobie tyle pamiątek, / o których się tak szybko zapomina – z wiersza Uświęć siebie*). Lecz czas miniony, a ściślej wspomnianie dzieciństwa i poszczególnych wydarzeń nie może odbywać się bezkarnie, gdyż w każdą podróż za siebie wyrusza się z teraźniejszości. Wydaje się, że bohater wierszy

ŁUKASZ JAROSZ
MIMIKRA



niezwykle boleśnie przeżywa różnicę pomiędzy otaczającą go rzeczywistością a zawartością i strukturą wspomnień (*„Kółko placiku z nauką jazdy / kobiety wachają perfumowane strony gazety. / (...) Nie do mnie należy moja przeszłość, miłość i gniew. / W głowie krew, pod paznokciami dużo soli – wiersz Kółko placiku z nauką jazdy*). Ów dysonans rodzi (chwilowe?) poczucie wyobcowania ze swojego dzieciństwa i uczuć, co eskaluje doznanie obcości swojego ciała, a także bólu, na pastwę którego od początku do końca ciało jest wydane. Jednak pojęcie ciała u Jarosza, pomimo wierszy zaświadcających o fizycznym cierpieniu i śmierci, odsyła również do innych, optymistycznych skojarzeń: ciało daje początek nowemu życiu, ciało to jedyna forma obecności w naturze, umożliwiająca patrzenie i myślenie. W *Mimikrze*, tak jak i w poprzednich dwóch tomach poety, ważną rolę odgrywa przyroda. Natura łagodzi wewnętrzne napięcie, tęsknotę, pomaga w pewien sposób zbliżyć się do ukrytego sensu przeżyć. To także przestrzeń, do której nie ma dostępu (*Świat człowieka i świat zwierzęcia / na osobnych biegunach. / Świat człowieka i świat Boga*



Petőfi. Był to oczywiście rzut na taśmę. Niby mogłem jeszcze ratować się wspomnieniem, że o poezji węgierskiej rozmawiałem kiedyś z Feliksem Netzem, ale bez widoków na pełniejsze przypomnienie sobie treści tej rozmowy pozostało mi już tylko przejście na temat uroków gulaszu. Do kuchni jednak, mimo tej ewidentnej i zawstydzającej niewiedzy, wpuszczony zostałem. W tym miejscu wypada porzucić miłe memu sercu skojarzenia kulinarne.

Pięknie mnie, jako czytelnika, broni Bohdan Zadura, uświadamiając mi jednocześnie, że jest to nie tylko mój problem i nie tylko moje zaniechanie, ale jest to nieobecność nieomal pełna, cisza jedynie z rzadka zakłócana: *W przeciwieństwie do węgierskiej prozy, dobrze w Polsce obecnej, w czym niebagatelną rolę odegrała nagroda Nobla dla Imre Kertésza i świetność pisarstwa*

/ na osobnych biegunach – z wiersza *Dwa studia miłości*). Niesprecyzowany obraz trudnego do zdefiniowania świata wymaga postawienia sobie pytań dotyczących siły sprawczej, Boga. Z tym, że nie można mieć pewności, czy autor Somy zmierza w stronę teologicznych spekulacji, czy też przysposabia się do jak najbardziej wiarygodnego oddania przeczucia Stwórcy. Jakkolwiek niepełna jest w tym względzie droga bohatera *Mimikry* uobecnienie Boga skłania podmiot liryczny do szukania odpowiedzi na podstawowe pytania, w tym pytanie: skąd, wobec tego bierze się to, co przeżywam, i kim jestem (kim się stanę?), skąd się wzięłam (na ziemi, w określonym miejscu?). Ujmując tom Łukasza Jarosza całociowo lekтура jego wyciszonych, a przecież bogatych w środki wyrazu wierszy jest cennym doświadczeniem opanowania, pokory i szczyrych pragnień. Najbardziej popularnym znaczeniem słowa „mimikra” jest przystosowanie ochronne. W tym, ale tylko w tym kontekście, tom Łukasza Jarosza jawi się jako sposób na przetrwanie lub lepsze (szczęśliwe?) życie.

Ilona Kula

Łukasz Jarosz, *Mimikra*. Biuro Literackie, Wrocław 2010

„Żadnej presji, żadnego parcia”



Z Łukaszem Jaroszem rozmawia Paweł Sarna

Twoja debiutancka książka cieszyła się sporym rozgłosem, drugi tomik potwierdził wagę debiutu. Czy czujesz presję – ze strony czytelników, wydawcy, własnego ego – aby najnowszy zbiór był wydarzeniem na miarę *Somy*?

Nie czuję na pewno żadnej presji, żadnego parcia – napisałem po prostu tom, bez oglądania się na poprzednie wiersze, na poprzednie „sukcesy”. Mam jednak jednocześnie nadzieję, że mój ostatni tom jest najlepszy, najbardziej dojrzały – co na to powiedzą krytycy i czytelnicy, zobaczymy. W sumie często taka sytuacja powtarza się w muzyce – artyści wypowiadają się, że ich ostatnia płyta jest najlepsza, najciekawsza, a potem to różnie z tym wychodzi. Powiedzmy taki Slayer, czy Metallica – zespoły bardzo popularne, które niestety nie nagrały ostatnio tak dobrych płyt jak np. *South of Heaven*, czy powiedzmy *And Justice for All*.

Lubisz opatrywać swoje tomiki mottami. W najnowszej książce znajdujemy cytat, którego autorem jest Emil Laine. Dlaczego właśnie ten fragment?

To motto wydało mi się bardzo metafizyczne, a chciałbym, żeby również mój tom uciekał w takie rejony, by był bardziej nieokreślony, a co za tym idzie – trudniejszy, ciekawszy w interpretacji. Poza tym warto cytować autorów lepszych od siebie – jest to dopingujące.

„Z pisaniem związane jest natchnienie” – powiedziałeś nie tak dawno podczas rozmowy z Romanem Honetem. Nie obawiasz się używać kategorii tradycyjnych, które nieczęsto pojawiają się we współczesnym dyskursie o literaturze.

Czujesz się tradycyjnistą?

Wierzę, że jest coś takiego jak natchnienie. Co prawda termin ten został przewartościowany już bardzo dawno temu i w sumie można wyjść na głupka używając takich definicji w XXI wieku, ja jednak się ich nie boję, nie wstydzę – to, że termin wyszedł z mody, nie znaczy, że natchnienia nie ma i nagle znikło. Wierzę również w jakąś siłę, która każe pisać; dla jednych to elementy natchnienia, dla innych jakiś mądrze nazwany imperatyw. Tradycjonalistą się jednak nie czuję, czuję natomiast wagę tradycji, i to nie tylko tej literackiej. Również kulturowej, społecznej, czy jakiejś tam innej.

Jesteś wesołym człowiekiem, który pisze smutne wiersze. Mówił Ci to ktoś?

Często to słyszę. Ostatnio wiele razy próbowałem napisać coś wesołego, ale zawsze mi wychodzą z tego jakieś smuty. Próbuję jednak wszystko robić, żeby chociaż na spotkaniach autorskich było wesele.

Poprzednim pytaniem chciałem nawiązać do twoich działań quasi-kabaretowych jeszcze na studiach. Mam nadzieję, że nie obrazisz się za to określenie. Już wtedy pisałeś wiersze, ale lubiłeś też robić skecze, parodie... trudno mi nazwać gatunki. Opowiedz trochę o tamtych czasach. Szczególnie interesuje mnie projekt znany pod nazwą *Mała żwirownia*.

Te wszystkie „wygłupy” były odskocznią od tego drętowego języka nauki, jakim nas dzień w dzień karmiono. Pamiętam, że na zajęciach często prowadzący nie mówili czegoś wprost, tylko ubierali w gruby kożuch pojęć i definicji. Kożuch jednak nam troszkę cuchnął i był wręcz odpychający, nie wiem, może na tym właśnie powinny polegać studia polonistyczne czy

inne, było to jednak dla mnie męczące, wręcz śmieszne. Pamiętam, że jeden doktor nie mówił, że Kochanowski podróżował, tylko że Kochanowski peregrynował. No cóż, peregrynacja strasznie zajmująca rzecz, człowiek nie ma wtedy czasu na podróż.

Mała żwirownia był to zbiór fraszek pisanych z Pawłem Sobierajskim, świetnie się przy tym bawiliśmy – na jednych zajęciach ze starocerkiewno-słowiańskiego Paweł spadł ze śmiechu z krzesła. Kontynuacją tej „antologii” był zbiór *Wróble kontra Luftwaffe*. Stare dobre czasy.

„Czy podzielasz opinię Wojciecha Kuczoka, że przyznać się dziś do bycia poetą to tak, jakby przyznać się, że sypia się w bunkrze na przedmieściach?” – to pytanie pojawiło się w ankiecie Biura Literackiego skierowanej do poetów i krytyków. A zatem – podzielasz?

Nie dzielam, nie wiem, co ten Kuczok wymyślił. Wiele jest w tym powiedzeniu przesady; ja tam się nie wstydzę, że piszę. Jeśli ktoś ma takie problemy z przyznaniem się do tego, co robi i co go pasjonuje, to mu współczuję.

Na koniec pytanie o Twoje najbliższe plany: literackie, muzyczne i te „na życie”.

Literackie: kolejna, czwarta książka (gdzieś połowa wierszy już jest).

Muzyczne: przygotowuję projekt „Mimikra”, który będzie promował najnowszą książkę (trochę elektroniki, trochę instrumentów akustycznych).

„Na życie”: spłodzić syna, postawić dom, wyprawić dzieci na studia, żonę do teściowej, wyłączyć telefon, położyć się i długo spać.

Wśród żywych

Ziemia oddaje ciepło, kobieta wrzuca do wiadra
wypelzle na ścieżkę ślimaki, zmienia wodę kwiatom w kapliczce.
Jej syn naciąga procę kulka rudy znalezioną przy torach.

Kciuk mam przecięty kartką, powoli spisuję
ten krótki świat. Na razie dzieje się to tu,
wśród żywych.

Wiersze miłosne

Dla Marty

Moja żona z turbanem ręcznika na głowie,
stukająca w jajko na miękko: ti, ti, ti.
I pierwsze torturki czynione sobie: prysznic
(pod stopami śliska sosnowa krata), zasilacz
golarki (ciężkie, kwadratowe serce). I znów: torturki
czynione sobie – temu, który nie spocznie.

Który ma nie spocząć.

Wiara Nadzieja Miłość

I
Piliśmy wino nad kanionem. Gdy upał toczył
lepką kulę tłuszczu. Widzisz, suche igły będą ogniem,
powiedziałem, i błyszczały oczy chłopca wpatzonego
w magnetofon. Ja, sługa pieścizny, z bliska widziałem
miejsce, gdzie utkwiło żądło. Głodnieliśmy, rzucaliśmy
kamykami w dół. Twój bóg był gruby jak pień dębu.

II
Dzień Dziecka. Nasz dumny, rozśpiewany korowód
mija rynek, wygrzewających się na tarasie zakładu
starców. Kobieta na wózku wymachuje szczapą ręki.
O, jak błyszcza jej oczy, gdy pozdrawia młodość.
Światło jest w chmurach, w strumieniu
woda potyka się o kamienie.

III
Chcę być złoty. Jak nagrany cukier na parapecie.
Tak, w tej pozycji naprawdę jestem lepki, gęsty,
jakbym biegł przez las, a pieścizna wysiłku ścierała mięsień.
Chcę być złoty. Zwisającą, leniwą lianą. Poruszonym drzewem
podczas suchej burzy, która wybija każdy ruch.
Mądry ssak ukrył się w ciepłym mule.
Głód jest najważniejszy.

Saturnalia

Kochalibyśmy się bardziej,
gdybyśmy mieszkali dalej od siebie. Mizerykordia,
ostra rohatyna tną płóciennie szmaty.
Wieczorami cicho zgrzytają odporne
ziarna w mózdzierzu.

Kochalibyśmy się bardziej, gdybyśmy
byli dalej od siebie. Nasze oczy,
zołądki male jak porzeczką.
Ule ociekające od pszczoł, głowy
złożone na gęsim puchu.

Świat nas popycha. Odjeżdżają miasta.
Gówniarze chichoczą nad
atlasem anatomicznym. Świat nas pcha.
Sens jest ukryty. List jest pisany.



Dziennik rozbitka

Boisko. Wkopane w ziemię opony.
I miejsce, gdzie codziennie mijam
tych samych twardych mężczyzn. Czekaających,
posłusznym. Wrony tłuką dziobami o beton
i w tym jest ból.

Znajdź siebie. Gdy zło się rozrzedza.
Gdy leniwie otwierają się paszcze krokodyli.
Byłem tu. Nie wiedziałem, że tak szybko zostanę sam.
Śniło mi się, że znalazłem lampę i plan piwnic.
Byłem jednym z tych, którzy musieli patrzeć.

Wróżka

Małgorzata Matera

Typowe osiedle z wielkiej płyty. Niewielkie, bo i samo miasto raczej średnie. Mijani ludzie wyglądają na zmęczonych i zagonionych. Zbliżam się do właściwego bloku. Drzwi do klatki otwarte, nie ma domofonu. Wchodzę na trzecie piętro. Od razu zauważam pomalowane na niebiesko drzwi, a na nich ponaklejane złote literki tworzące napis „Wróżka”. Nie mam wątpliwości – trafiłam.

Naciskam dzwonek. Słyszę coś, co przypomina najbardziej znany fragment *Eine kleine Nachtmusik*. Mimowolnie zaciskam powieki. Po chwili drzwi uchylają się. Widzę okrągłą twarz i burzę czarnych włosów.

– Słucham? – pyta Wróżka.

– Byłyśmy umówione – przypominam – w sprawie reportażu.

– A! – uśmiecha się promiennie – proszę wchodzić.

Od razu zauważam efekty niedawnego remontu. Równiutkie ściany pomalowane we wszystkie kolory tęczy, kasetony z lampkami w różnych kształtach, ciężkie zasłony. Połowę przedpokoju zajmuje duża, oklejona lustrami szafa.

– Zapłaciłam za nią całe dwanaście tysięcy – mówi z dumą wróżka Wanda – gdyby nie kryzys – nigdy bym jej nie kupiła.

Wchodzimy do pokoju. Staję oniemiała: w rogu sztuczny kominek, na nowiutkiej meblościance dziesiątki drobniagów i wielka lampa udająca akwarium. Pewnie całe M3 pęka takim pstrokatym przepychem...

– Ładne, prawda? – pyta Wanda.

Przytakuję w milczeniu. W pokoju nie ma dwóch rzeczy, które pasowałyby do siebie. Na ścianie wisi wielki, płaski telewizor.

– Plazmowy – słyszę. Na półkach porozstawiane głośniki. Dostrzegam też odtwarzacz DVD i dobry, markowy sprzęt grający. Wszystkie wielkie, drogie i efektowne. Im więcej światełek, kolorowych wyświetlaczy, migających lampek, tym lepiej. Na środku duży, okrągły stół. Ze szklanym blatem. Na nim kryształowa kula i kilka talii kart.

– Wróży pani z kuli? – pytam.

– Nie, z kart – odpowiada Wróżka – A to – wskazuje na kulę – tylko rekwizyt. Wie pani, dla nastroju.

Wanda naszykowała herbatę i ciasto. Siadamy przy stole. Widzę, że Wróżka cieszy się z mojej wizyty. O tym, że lubi o sobie opowiadać dowiedziałam się już podczas naszej pierwszej rozmowy telefonicznej.

Rozlewam herbatę do filiżanek. Wanda poprawia talerzyki. Upewnia się jeszcze, czy na pewno zmienia w tekście jej imię i nazwę

miasta. Mogłaby stracić klientów. Zaufali jej, oczekują dyskrecji. Uspokajam ją – to oczywiste. Włączam dyktafon. Zaczynamy.

Zaczęło się od rzeźnika

– Pierwszy był rzeźnik – mówi Wanda.

– Otwieram oczy ze zdumienia. Brzmi groźnie.

– Przyszedł pewnego wieczoru – wspomina wyraźnie zadowolona.

Rzeźnik, czyli właściciel niewielkiej ubojni, pojawił się z dużą reklamówką pełną schabu, świeżego podgardla i żeberka. Nie miał pieniędzy, a pilnie potrzebował rady.

– Byłam zdziwiona – opowiada Wanda – bo do tej pory moimi klientkami były tylko kobiety. Przyszły zaskoczone świeże narzeczone niepewne wyboru męża. Albo przyszłe teściowe przekonane, że wybranka syna czyha tylko na majątek i dobre życie. Nie miały dowodów, więc potrzebowały potwierdzenia w kartach.

Rzeźnik miał podejrzenia innej natury. Czuł, że konkurencja zza płotu organizuje mu naloty inspektorów weterynaryjnych. Ponieważ kryzys okrutnie odchudził portfel, nie był pewien, czy wręczenie grubej koperty weterynarzowi rozwiąże sprawę.

– Skąd o pani wiedział? – wtrącam.

– Od żony – uśmiecha się.

No bo – tłumaczy dalej, już poważnie – jeśli inspekcje byłyby normalne, to nic by nie stracił. Rzeźnia działała zgodnie z przepisami. Ale jeżeli wizytator szukałby z innych pobudek, to w końcu by znalazł. Wówczas trzeba przeliczyć konkurencję.

– I co powiedziały karty? – pytam.

– Musiał dać.

– Koperta rozwiązała sprawę?

– Pewnie. Karty nie kłamią.

Rzeźnik wrócił po tygodniu. Tym razem z gotówką.

– Znowu chciał o coś zapytać?

– Tak. Musiał kogoś zwolnić. Ginęły pieniądze z kasy. Któraś z kobiet kradła. Nie wiedział która.

– Karty wiedziały?

– Oczywiście.

– Zwolnił?

– Tak.

– I co, przestały ginać? – pytam, nie kryjąc zdumienia.

– A jak miały nie przestać? – Wanda rzuca obrażonym tonem – naturalnie, że przestały.

– A może – wtrącam nieśmiało – winowajczyni przestraszyła się zwolnienia koleżanki i przestała podbierać szefowi pieniądze? Są teraz ciężkie czasy, czasem lepiej mieć mniej, ale pewnie i regularnie.

Milknę. Wróżka obdarza mnie takim spojrzeniem, jakbym nagle zaczęła twierdzić, że ziemia jest płaska. Wzdycha głośno i wstaje. Zapomniała podać cukier. Wanda wychodzi z pokoju. Idąc poprawia sweter, mam wrażenie, że sprawdza, czy wszystkie guziki są na swoim miejscu. Mijając drzwi, czule dotyka ozdoby klamki. Jestem przekonana, że każdy przedmiot w mieszkaniu obdarzyła szczerą miłością.

Każda z tych przedziwnych rzeczy definiuje świat Wandy i wyznacza jej miejsce na Ziemi.

Wróżby i prawa rynku

Rzeźnik miał kuzyna, 28-latkę, który szefował w niewielkiej agencji reklamowej. Agencja, choć nie duża, obsługiwała całkiem poważnych klientów. I dzięki temu, w ciągu ostatnich 4 lat kuzyn zgromadził całkiem spory majątek. Był właścicielem nie tylko rodzinnej willi w uroczej dzielnicy, ale także kilku innych nieruchomości, które wynajmował różnym firmom, a także osobom prywatnym. Jednak kryzys bezwzględnie obcinał listę stałych klientów i intrygujących przedsięwzięć. Wachlarz możliwości rynkowych okrutnie się kurczył. Kuzyn musiał sprzedać którąś z nieruchomości. Tylko którą i komu? Jak to zrobić, aby nie podkopać swojej decyzji? A ze sprzedaży zyskać tyle, aby pomóc agencji przetrwać najgorszy okres kryzysu.

Za namową rzeźnika kuzyn przyszedł do wróżki.

– Bardzo się wstydził – śmieje się Wanda – zwierzył mi się, że nic nikomu nie powiedział. Jego żona, przyjaciele i współpracownicy nie mają pojęcia, że mu pomagam. Nie powiedział nawet psychoterapeucie – dodaje znacząco.

– I co, pomogła mu pani?

– Tak.

– Zna się pani na sprzedaży nieruchomości i zasadach funkcjonowania agencji reklamowych?

– Nie. Skąd mam się znać? To karty miały pomóc, nie rozumiem tego pani? – pyta lekko rozczarowana.

– Odczytała pani z kart, które mieszkanie ma sprzedać ten człowiek?

– Odczytałam – mówi z dumą.

– Sprzedał?

– Pewnie, że sprzedał – uśmiecha się Wanda – i jaki był zadowolony! Potem wrócił i mi zapłacił. Mogłam kupić telewizor. To była pierwsza naprawdę duża forsa, którą zarobiłam.

Po poznanu kuzyna Wanda zrozumiała, że kryzys to jej wielka szansa. Narzeczone i niedoszłe teściowe zostawiały 10, czasem 20 złotych. Mamy zarobek dla dobrej wróżki. Klienci kryzysowi – jak nazywa ich Wanda – zostawiają po kilkaset złotych. A byli i tacy, co z wdzięczności kładli na szklanym blacie kilka tysięcy!

Zaufać kartom

W każdym razie, dzień po wizycie kuzyna, Wanda postanowiła dać ogłoszenie w gazecie. Nie pamięta, co dokładnie napisała. Chyba, że z nią nie trzeba bać się kryzysu i że kiedy nie ma żadnej pewności, trzeba zaufać znakom i pomóc przeznaczeniu.

Pierwsi klienci odezwali się w dniu, w którym opublikowano ogłoszenie.

– Co to za ludzie – pytam?

– Różni – odpowiada – tacy, co grają na giełdzie, w zakładach bukmacherskich, inwestorzy, młodzi biznesmeni, którzy potracili na

funduszach inwestycyjnych.

– Ale jak karty mogą pomóc w inwestycjach albo decyzjach jakie akcje sprzedać? Przecież to bardzo trudne – pytam, nie kryjąc zdziwienia.

– Wie pani, ja się na tym nie znam. No bo jak? Ale umawiamy się na cyfry. Mówię: te akcje będą jedynką, te dwójką i tak dalej. Klient pamięta, jak się umówiliśmy. A z cyframi to już łatwo. Karty wskazują no i klient wie. Trzeba tylko uwierzyć.

– I co, udaje się tym ludziom? Dobrze sprzedają, inwestują?

– Karty nie kłamią – powtarza wróżka – skoro do mnie wracają, znaczy, że im się udaje.

Wanda, zanim została wróżką była kucharką w małej szkole podstawowej. Przez wiele lat. Potem szkołę zlikwidowano. Przez jakiś czas dorabiała sobie na weselach, komuniach i innych uroczystościach. I tak – od imprezy do imprezy – dojrzała do zasilku przedemerytalnego.

– To marne grosze – mówi ze smutkiem – nie da się żyć.

Wtedy Wanda przypomniała sobie matkę, która zawsze wierzyła kartom. Podobno nigdy jej nie zawiodły. Postanowiła także im zaufać. Najpierw wróżyła koleżankom, sąsiadkom, potem znajomym sąsiadek. Stała się popularna na osiedlu.

– Zarejestrowała pani działalność gospodarczą? – pytam, jak się za moment okaże, bardzo naiwnie.

– No wie pani! – oburza się Wanda – to nie biznes, to siła nadnaturalna! Nawet nie mam cennika. Każdy daje co łaska.

Rozmowę przerywa nam bolesna wersja serenady, którą już dzisiaj słyszałam. Wanda zrywa się i biegnie otworzyć drzwi. Widzę, że dwóch pracowników sklepu AGD wnosi ogromną lodówkę. Jest naprawdę wielka. Widziałam kilka takich w restauracjach. Wróżka jest zachwycona, panowie w firmowych uniformach mniej. Okazuje się, że nie uda się wnieść lodówki do kuchni – jest stanowczo za szeroka. Wanda macha ręką i podpisuje jakieś papiery. Panowie wychodzą, a lodówka zostaje w przedpokoju. Wróżka wraca do mnie.

– To nic – mówi – zawsze o takiej marzyłam. Coś wymyśle.

Wanda mieszka sama. Miała kiedyś męża. Rozstali się dwa lata po ślubie. Na ścianie do dzisiaj wisi wielka ślubna fotografia. Dwoje młodych ludzi: delikatny blondyn i piękna, kruczowłosa dziewczyna. Patrzą w innych kierunkach. Nie mogę oderwać wzroku od Wandy ze zdjęcia. Ma jakąś niezwykłą dzikość w oczach, zapal i ogromną ciekawość życia.

– Wydaje mi się, że nigdy go nie kochałam. Wyszedł za niego, bo w tamtych czasach wypadało mieć męża, a wszystkie moje koleżanki już miały. Już dwa tygodnie po ślubie doszłam do wniosku, że to był błąd. Wie pani – uśmiewa się – że nigdy z nim nie spałam?

– Nie wierzę – odpowiadam.

– Naprawdę. I nigdy mnie o to nie poprosił.

Wstydził się – chichocze Wanda.

– Nigdy nie myślała pani o dzieciach? – pytam.

– To chyba nie dla mnie – zamyśla się wróżka – nie wiem, czy umiałabym się nimi zająć. Raczej nie – dodaje bez przekonania.

– Może trzeba było zapytać kart? – próbuje nadać pytaniu żartobliwy ton, ale Wanda wyraźnie unika mojego wzroku.

– Nie ma co patrzeć tak daleko za siebie. Teraz mam ważniejsze sprawy na głowie – dodaje szybko.

– Jakie?

– Planuję zmienić mieszkanie na większe – rzuca z uśmiechem i patrzy wymownie na lodówkę, która utknęła w przedpokoju.

– Stać mnie na to – podkreśla z dumą.

– A co będzie, jak kryzys się skończy i klienci zaczną sami pręźnie nakręcać swoje biznesy?

Wanda ma plan. Wykupiła już swój numer, jedno z magicznych 0–700... W przyszłym miesiącu zacznie działać. Będzie wróżyć przez telefon. Jeszcze dokładnie nie wie, jak to działa, ale na pewno da radę. Chce też wróżyć przez

sms, ale na razie nie wie, jak to załatwić.

– No i internet – dorzuca z uśmiechem.

– Potrafi pani obsługiwać komputer?

– No nie bardzo. Ale będę miała korepetycje. Syn sąsiadki mnie przygotowuje. Potem zapłacę mu za fajną stronę.

Wanda wierzy, że kto ma stronę, ten ma już wszystko. Pytam, jak będzie nazywał się jej internetowy salon wróżb.

– Może po prostu: Wróżka, ale nie jestem pewna – odpowiada – mam za to motto – dodaje.

– Jakie?

– Zaufaj kartom przed i po kryzysie – teatralnie recytuje wróżka – zawsze podejmiesz dobrą decyzję.

Znowu słyszę krzyk mordowanej serenady. Wanda zrywa się na równe nogi.

– Rany! Zapomniałam o dyrektorze. Byłam umówiona na piątą. Muszę panią przeprosić. Niech pani wróci jutro. Opowiem więcej i po-wrózę. Za darmo.

Imię bohaterki, na jej wyraźne życzenie, zostało zmienione.



W pierwszym tegorocznym numerze „Nowego Zagłębia” ukazał się artykuł Bolesława Ciepieli Stanisław Skarbiński – budowniczy i pierwszy dyrektor kopalni „Grodziec”. Autor nakreślił sylwetkę zawodową Stanisława Mariana Skarbińskiego seniora oraz przywołał jego zasługi dla rozwoju grodzieckiego i zagłębiowskiego przemysłu. Z Grodźcem związanych było trzech przedstawicieli rodziny Skarbińskich; wszyscy oni pełnili funkcję dyrektora cementowni Grodziec (wspomniany wcześniej Stanisław Marian senior – w latach 1880–1899, jego brat Jakub Marian – w latach 1899–1909 i Stanisław Marian junior od 1912 roku do 1917 roku). Redakcja dotarła do Pani dr inż. Doroty Starościak, prawnuczki Stanisława Skarbińskiego seniora, piszącej historię rodziny Skarbińskich, spokrewnionej lub spowinowaczonej z innymi zasłużonymi zagłębiowskimi rodami. Poniższy tekst opowiada o rodzinie Skarbińskich i Stypułkowskich. W kolejnych poznamy losy Pogorzelskich, Karszów, Schönów i Zarębskich.

Skarbińscy i Stypułkowscy

Dorota Starościak

Pośród szóstki rodzeństwa Skarbińskich jedynie bracia Stanisław Marian i Jakub Marian wykazywali uzdolnienia do przedmiotów ścisłych. Obaj ukończyli I Cesarsko-Królewską Wyższą Szkołę Realną w Krakowie, która powstała na mocy rozporządzenia cesarza Austrii Franciszka Józefa I jako szkoła o profilu politechnicznym, z polskim językiem wykładowym. W roku 1874 Stanisław zdał egzamin dojrzałości. Zdecydował się na studia inżynierskie na kierunku maszynowym (Maschinenbauschule) w K.K. Technische Hochschule w Wiedniu, która w tym czasie cieszyła się bardzo dobrą opinią. Siedem lat później ten sam kierunek i uczelnię wybrał jego młodszy brat Jakub Marian. Bracia byli równie zdolni, co pilni; obydwaj ukończyli studia z bardzo dobrym wynikiem.

Po ukończeniu studiów w roku 1878 Stanisław powrócił do Krakowa i rozpoczął praktykę w zdobytych zawodzie. Podjął pracę jako inżynier konstruktor w biurze technicznym L. Zieleniewskiego

w Krakowie, a następnie w Fabryce Maszyn Parowych i Odlewni Orthwein, Markowski i Karasiński w Warszawie. W roku 1880 przeniósł się do Grodźca w Zagłębiu Dąbrowskim, gdzie został dyrektorem naczelnym pierwszej w Polsce, a piątej w świecie cementowni, będącej wówczas własnością Stanisława Ciechanowskiego. Fabrykę Portland Cementu w Grodźcu uruchomił w roku 1857 ojciec Stanisława Ciechanowskiego, Rzeczywisty Radca Stanu Jan Ciechanowski, człowiek wielce zasłużony dla rozwoju cementownictwa na ziemiach polskich. Ówczesny tygodnik ilustrowany „Kłosy” tak pisał o działalności grodzieckiej cementowni (pisownia oryginalna):

Tu produkuje się cement sztuczny, zwany Portland – Cement z materiałów miejscowych. Chemiczna analiza tego cementu, wykonana w Państwowej École des ponts et chaussées, a przedstawiona p. Grill, b. inżynierowi Głównego Towarzystwa dróg żelaznych Rosyi, przedstawia skład następujący: krzemionki – 23,60, glinu – 6,82, niedokwasu żelaza – 5,53, wapna – 57,25, magnezjum – 3,45, wody, itp. – 3,35. Nadmienić jeszcze musimy, że p. Ciechanowski pierwemu jeszcze jak w Grodźcu, bo w roku 1853, pod Sławkowem założył fabrykę cementu, znanego pod nazwą Roman – Cement, używanego do robót wodnych, a więcej do murów i tynków zwyczajnych. W obu tych zakładach pracuje do 300 robotników dziennie (Fabryka cementu w Grodźcu, „Kłosy”, nr 241 – tom X, 10.02.1870, s. 86–87).

Ciekawostką jest, że po raz pierwszy owego cementu romańskiego użyto do zapraw przy wznoszeniu budynku Ziemskiego Towarzystwa Kredytowego w Warszawie (H. Szelaż, A. Garbacik, P. Pichniarczyk, T. Baran: *Cement romański i jego właściwości*, „Cement, Wapno, Gips”, nr 1/2008, s. 75).

Interesujące były warunki finansowe posady dyrektorskiej. Pensja wynosiła 1500 rubli rocznie, po roku dodatkowo zaczęto wypłacać tantiemy wynoszące początkowo 2,5 kopiejki od każdej sprzedanej beczki cementu, a później 5 kopiejek od beczki.

W przypadku delegacji służbowych krajowych, a także bliskich podróży zagranicznych, przyznany ryczałt wynosił 3 ruble za każdy dzień, przy podróżach zagranicznych bardziej odległych 5 rubli; zwracano także koszty „drogi żelaznej klasy 2ej” (dokument odręczny określający warunki placowe, podpisany przez S. Skarbińskiego – seniora, a sygnowany przez właściciela cementowni S. Ciechanowskiego; w posiadaniu autorki). Dyrektorowi przysługiwało ponadto bezpłatne mieszkanie (z opalem) wraz z przynależnym ogrodem. Dziełem życia pradziadka, z którego bardzo dumny był także jego syn – Stanisław Marian Skarbiński junior, czyli wuj Stasieczek (bo tak się o nim w rodzinie mówiło), była nowoczesna kopalnia węgla kamiennego „Grodziec II”, eksploatująca głębsze złoża węglowe w okolicy Grodźca. Kopalnia „Grodziec II” stała się od początku wzorcową w całym górnictwie węglowym w Zagłębiu Dąbrowskim. Najwyraźniej Stanisława Skarbińskiego cechowały „nieprzeciętne zdolności organizacyjne i handlowo-finansowe” (*Polski słownik biograficzny*, tom XXXVIII/1, zeszyt 156, Warszawa – Kraków 1997, s. 32), skoro udało mu się przekonać akcjonariuszy do rezygnacji z części zysków na rzecz inwestowania w wyposażenie i rozwój kopalni. W związku z tym kopalnia „Grodziec II” wyposażona była w najnowocześniejsze importowane urządzenia szybów, chodników, ścian i przodków, posiadała zelektryfikowany transport dołowy, mechaniczną płuczkę i sortownię węgla. Można więc stwierdzić, że nie ustępowała ona najlepszym kopalniom węgla kamiennego Górnego Śląska i Zagłębia Ruhry.

Z zaskoczeniem odkryłam w *Polskim słowniku biograficznym* nieznaną mi dotąd aktywność pradziadka Stanisława. Otóż w latach 1903–1906, niezależnie od obowiązków i zadań pełnionych w Grodźcu, we wsi Wolica w Kieleckiem, posiadał i prowadził tartak oraz fabrykę beczek, w której zatrudniał około 60 robotników.

Stanisław Skarbiński zmarł w Grodźcu 2 maja 1925 roku. Uroczystości pogrzebowe odbyły się w Grodźcu oraz w Warszawie, z udziałem przedstawicieli świata nauki oraz przemysłu węglowego; ciało zostało złożone w grobowcu rodzinnym na Cmentarzu Powązkowskim. W inskrypcji, umieszczonej na pomniku czytamy: *Stanisław Skarbiński [...] żyje wśród nas w sercach naszych, w dziełach swoich i we wdzięczności potomnych*.

Nic dodać, nic ująć. Ktoś, kto tak ciekawie i z pożytkiem dla innych przeżył swoje życie, zasługuje w pełni na taką ocenę. Jednak Stanisław Skarbiński senior nie był jedynie inżynierem, przemysłowcem, działaczem społecznym i filantropem, był człowiekiem z krwi i kości, miał wspaniałą żonę, dwoje udanych dzieci oraz ukochaną wnuczkę Izę, moją mamę. Ożenił się w dwa lata po objęciu funkcji dyrektora naczelnego fabryki „Portland Cementu”. Jego wybranką była Izabella Jadwiga Aleksandra, córka Natalii

Stanisław Skarbiński junior. Fot. arch. autorki



Zofii Izabelli (zwanej w rodzinie Jadwigą) z Kropiwnickich i Ludwika Żychlińskiego, urodzona w roku 1859 w Warszawie. Ich dom tętnił życiem, szczególnie od czasu, gdy pojawiły się w nim dzieci. W roku 1883 urodziła się Jadwiga Róża Stanisława Skarbińska, moja babcia, a trzy lata później Stanisław Marian Skarbiński junior, wspomniany wcześniej wuj Stasieczek.

Niestety nie wiem, gdzie młodzi Skarbińscy pobierali nauki; można domyślać się, że – zgodnie z ówczesnymi zwyczajami - Jadwiga odebrała wykształcenie domowe, choć nie można też wykluczyć, że została wysłana na pensję. Brat Jadwigi – Stanisław, który we wszystkim pragnął naśladować ojca i marzyła mu się kariera inżynierska, z pewnością uczęszczał do szkoły średniej. Czyżby w Będzinie? Po zdaniu matury podjął studia na politechnice w Karlsruhe; ukończył je w roku 1905.

W tym samym roku przyszła na świat Izabella Maria, córka jego starszej siostry Jadwigi, zamężnej za inż. Edwardem Zygmuntom Rola-Stypulkowskim, czyli moja mama. Rodzicami Edwarda byli Alfons Rola-Stypulkowski, weteran powstania styczniowego, malarz pejzażysta, oraz Maria z Plucińskich.

Mój dziadek Edward Stypulkowski (1880–1941) urodził się w Warszawie, tu ukończył Warszawską Szkołę Realną, a następnie wydział mechaniczny Politechniki Warszawskiej, uzyskał dyplom inżyniera-technologa, odbył stosowne

praktyki zawodowe, a następnie wyruszył do Zagłębia Dąbrowskiego.

W czerwcu 1904 roku objął swoją pierwszą posadę w fabryce W. Fitzner – K. Gampner Spółka Akcyjna, zwanej w skrócie Fitzgamp, mieszczącej się w Dąbrowie Górniczej, a powstałej w roku 1881. W roku 1911 został kierownikiem wydziału inwestycyjnego tejże fabryki, w roku 1914 – głównym kierownikiem warsztatów, w roku 1915 powierzono mu kierowanie Fabryką Dąbrowską, a po roku został mianowany jej dyrektorem (kopia życiorysu zawodowego Edwarda Stypulkowskiego, w posiadaniu wnuczki Anny Senatorskiej). W późniejszym okresie kierował przedsiębiorstwem Zieleniewski i Fitzner – Gampner SA – Zjednoczone Fabryki Maszyn, Kotłów i Wagonów, powstałym w roku 1928 po fuzji Polskich Fabryk Maszyn i Wagonów Zieleniewski w Krakowie, Lwowie i Sanoku z Towarzystwem Akcyjnym Zakładów Kotlarskich i Mechanicznych Fitzner – Gampner w Sosnowcu, Siemianowicach i Dąbrowie Górniczej.

Pracował tu prawie 28 lat, dokładnie do czerwca 1932 roku, większość czasu jako dyrektor generalny. W roku 1931 został rzeczoznawcą zaprzysiężonym Izby Przemysłowo-Handlowej w Sosnowcu z działu przemysłu odlewniczego (dyplom z 29.10.1931 w posiadaniu wnuczki Edwarda Stypulkowskiego Anny Senatorskiej). Następnie został dyrektorem generalnym Zakładów Ceramicznych „Stella” SA z siedzibą w Chrzanowie; produkowała ona okładziny ceramiczne do pieców martenowskich. Na tym stanowisku pozostawał do 1940 roku, kiedy fabrykę przejęła niemiecka firma Didierwerke, a Edwarda usunięto ze stanowiska dyrektora. Po wojnie „Stella” została znacjonalizowana.

Nie można wykluczyć, że to sprawy zawodowe doprowadziły go do kontaktu z rodziną Skarbińskich i w ten oto sposób Edward poznał moją babcię Jadwigę. Ich małżeństwo nie trwało i po jego unieważnieniu każde z małżonków zawarło nowy związek.

Stanisław Skarbiński junior od wczesnych lat dziecięcych darzył ojca podziwem i wielkim szacunkiem. To jego drogą zawodową chciał podążać. Po ukończeniu studiów pracował w Grodźcu; najpierw w cementowni, a od 1916 roku w dyrekcji Towarzystwa Grodzieckiego, którego kierownictwo



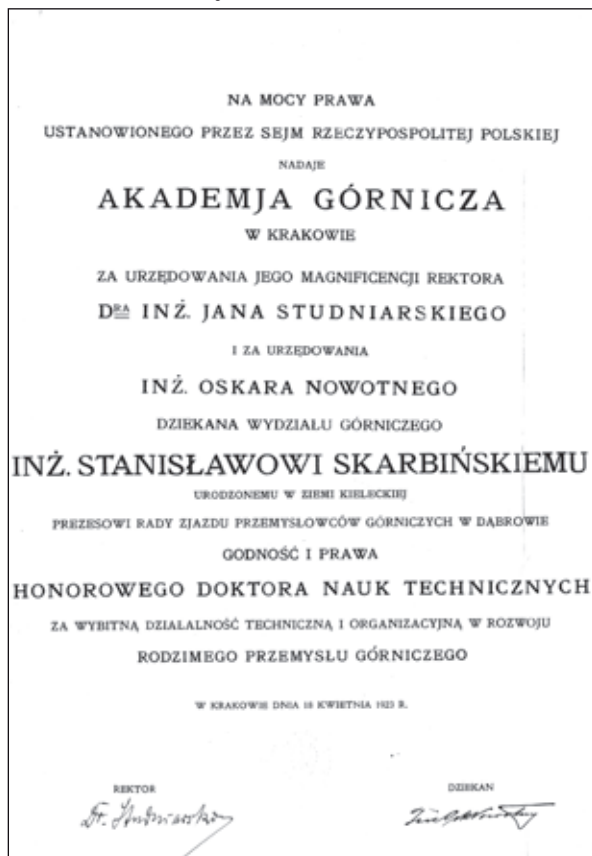
Edward Stypulkowski na Politechnice Warszawskiej. Fot. arch. autorki

objął po śmierci ojca w 1925 roku. Stanisław Skarbiński junior żonaty był ze Stefanią z domu Pogorzelską, primo voto Cichowską. Córka Stefani Skarbińskiej z pierwszego małżeństwa – Elżbieta Cichowska, zwana w rodzinie Dzięcią, była zamężna za Szurą (Aleksandrem) Schönem, przedstawicielem słynnej rodziny sosnowieckich włókienników. Bezpośrednio po II wojnie światowej Stanisław Skarbiński junior pracował na stanowisku dyrektora kopalni Grodziec; po 15 miesiącach został z niej zwolniony. Później, aż do emerytury, pracował na stanowisku dyrektora ds. inwestycji w kopalni węgla kamiennego „Wojkowice”.

Moje wspomnienia związane z rodziną wujostwa Skarbińskich sięgają drugiej połowy lat 50., gdy rokrocznie wraz z rodzicami jeździliśmy do Grodźca na Wielkanoc. Do dziś pamiętam ich mieszkanie na pierwszym piętrze przy Konopnickiej 19. Zajmowało całą kondygnację i małemu dziecku wydawało się przegromne. Wujostwo dzielili je z ciocią Zosią, siostrą Stefą Skarbińską, wdową po doktorze Stanisławie Karszu, lekarzu grodzieckiego ambulatorium i szpitala.

Wspomniane święta w Grodźcu to wydarzenie, na które czekałam cały rok. Do stołu zasiadało kilkanaście osób: wujostwo Stefania i Stanisław Skarbińscy, córka Stefani – Elżbieta i Aleksander Schönowie z córką Zuzią, ciocia Zofia Karszowa, jej córka Elżbieta Sokołowska z mężem Aleksandrem i synem Wackiem, syn cioci Elżuni z pierwszego małżeństwa Staś Łańcucki, ciocia Stanisława Pogorzelska – wdowa po Janie Pogorzelskim (szwagierka Stefą Skarbińską i Zofią Karszową) wraz z siostrą Janiną Zarębską, wdową po zmarłym w roku 1946 Mieczysławie Zarębskim,

Doktorat h.c. Stanisława Skarbińskiego seniora. Fot. arch. autorki



dyrektorze cementowni „Grodziec” w latach 30. oraz kopalni „Maria” w latach 1927–1936, Włodzimierz Kwapiszewski, dyrektor cementowni „Grodziec” w latach 1921–1929, następnie budowniczy i pierwszy dyrektor cementowni „Saturn” z małżonką Ritą, moi rodzice i ja, czasami profesor AGH Jerzy Kolbe i jeszcze kilka osób, których nazwisk niestety nie pamiętam. Jerzy Kolbe (1906–1977) był synem Bronisława (1876–1941), który ukończył studia górnicze w Karlsruhe dwa lata wcześniej niż Stanisław Skarbiński junior, czyli w roku 1903. Panowie poznali się na uczelni, a później współpracowali zawodowo, jako że Bronisław od roku 1907 do 1911 pracował w KWK „Maria” (Grodziec I), a następnie objął stanowisko naczelnego inżyniera, później zaś dyrektora ds. technicznych w kopalni „Grodziec II”.

Nazwisko Skarbiński nie zachowało się niestety w linii pochodzącej od pradziadka Stanisława; jego córka Jadwiga zmieniła nazwisko w związku z zamążpójściem, a syn Stanisław junior zmarł bezpotomnie. Zachowało się ono jedynie w linii wywodzącej się od Jakuba Mariana Skarbińskiego, urodzonego w 1863 roku, który w latach 1899–1909 był dyrektorem fabryki „Portland Cementu” w Grodźcu. Trafił on do Grodźca w ślad za starszym bratem Stanisławem, który od 4 lat mieszkał tu i pracował. Marian ożenił się z Marią Krajewską - siostrą szefa działu handlowego cementowni Mieczysława Krajewskiego.

Marian i Maria Skarbińscy mieli troje dzieci: Jana, Barbarę i Michała, które urodziły się w Grodźcu. Mieszkali w pięknym domu z ogrodem, w odległości około 3 km od domu dyrektora kopalni. Obydwie rodziny utrzymywały bliskie i serdeczne kontakty. Marian bardzo dużo pracował. Pomimo że podobnie jak starszy brat Stanisław był inżynierem mechanikiem, jego autentyczną pasją była chemia. Często wieczory spędzał w laboratorium, robiąc rozmaite eksperymenty. Większość dotyczyła kierowanej przezeń cementowni, ale prowadził też badania własne w dziedzinach, które go interesowały. Gdy zmarł przedwcześnie w dniu Barbórki 1909 roku, wdowa z dziećmi przeniosła się do Warszawy, bo miała tam bliską rodzinę, a ponadto był tam znacznie większy wybór szkół dla dorastających dzieci. Starszy syn Janek podjął naukę w szkole im. Stanisława Staszica założonej przez Stowarzyszenie Techników Polskich, w roku 1912 zdał maturę i podjął studia na Politechnice w Brnie, bowiem ówczesna uczelnia warszawska miała wykładowy język rosyjski i niezbyt wysoki poziom nauczania. Podczas studiów poważnie zapadł na płuca. Kolega przewiózł ciężko chorego do Krakowa, a następnie Zakopanego. Tu zaopiekowała się nim troskliwie siostra stryjeczna Jadzia, czyli moja babcia. Podjął pracę w zakopiańskim gimnazjum

jako nauczyciel matematyki i fizyki, ożenił się z koleżanką ze szkoły. Niestety choroba gwałtownie powróciła i Jan zmarł w kwietniu 1920 roku w wieku 25 lat. Pochowany jest na nowym cmentarzu w Zakopanem.

Córka Barbara opiekowała się matką i nigdy nie założyła rodziny. Natomiast młodszy syn Michał Adam Skarbiński urodzony w Grodźcu w 1903 roku, kontynuował rodzinną tradycję studiów mechanicznych; był absolwentem Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej. Pierwszą pracę podjął w fabryce Lilpopa w Warszawie, potem pracował w Mielcu jako dyrektor techniczny w fabryce produkującej samoloty. Po wojnie



Stanisław Skarbiński junior. Fot. arch. autorki

poświęcił się pracy naukowej. Był profesorem zwyczajnym Politechniki Łódzkiej, następnie – Politechniki Warszawskiej. Michał Skarbiński jest doktorem honoris causa Politechniki Łódzkiej. To już drugi doktorat honorowy w rodzinie Skarbińskich! Wuj Michał zapisał piękną kartę dobrego Polaka i gorącego patrioty; uczestniczył w wojnie z bolszewikami w roku 1920, był żołnierzem Armii Krajowej podczas drugiej wojny światowej. Zmarł w roku 1997, spoczął w grobowcu rodzinnym na Powązkach, obok swego ojca Jakuba Mariana i stryja – Stanisława Mariana, którego wybitne zasługi dla Górnego Śląska i Akademii Górniczej miasto Kraków upamiętniło nazywając jego imieniem jedną z ulic w dzielnicy Krowodrza.

Z ogromną radością przyjąłam do wiadomości fakt, że w roku 2009 Towarzystwo Przyjaciół Grodźca wystąpiło do władz Będzina z wnioskiem o nadanie jednej z grodzieckich ulic nazwy Skarbińskich. Warto bowiem zachować dla kolejnych pokoleń pamięć o tych, którzy swe najlepsze lata, zdobytą wiedzę, umiejętności i zapal ofiarowali ziemi zagłębiowskiej.

Włodzimierz Mazur

Ostatni, co tak w piłkę grał...

I znów nie udało się piłkarzom Zagłębia Sosnowiec wywalczyć awansu do I ligi, choć było tak blisko. Niestety, końcówka rundy wiosennej w wykonaniu naszej drużyny była fatalna. Na dodatek ostatnie mecze rozgrywała przy pustych trybunach, gdyż wojewoda zamknął Stadion Ludowy. Czy następny sezon będzie lepszy? Oby, bo kibice mają dość wspominania dawnych, świetnych lat. W niepamięć coraz bardziej odchodzą zdobywane trofea i wspaniali piłkarze.

Pod koniec lutego w hali przy Żeromskiego odbył się XV Memoriał Włodzimierza Mazura, piłkarza, który zrobił prawdziwą karierę (przez wielu uważany jest za rodowitego sosnowiczana, ale urodził się w Opatowie). Owszem, byli potem wspaniali Jan Urban czy Ryszard Czerwiec, ale po pierwsze, obaj pochodzili z Jaworzna, po drugie lata świetności mieli w innych klubach. A Mazur od początku do końca był wierny Zagłębiu i dlatego został legendą. Może też dlatego, że przedwcześnie zmarł.

Włodzimierz Mazur urodził się 18 kwietnia 1954 roku w Opatowie, ale jako dziecko trafił do Sosnowca. Piłkarskie treningi rozpoczął w Górniku Kazimierz, z którego trafił do Zagłębia. Z Jerzym Dworczykiem stworzył skuteczny atak. W ekstraklasie zagrał w barwach Zagłębia 282 spotkania, strzelił w nich 79 goli. Dwukrotnie sięgał po Puchar Polski (1977 i 1978), w 1977 roku został królem strzelców ekstraklasy. Mazur grał również w reprezentacji Polski, dla której zdobył 3 bramki. Karierę musiał skończyć, bo zaczęło szwankować zdrowie.

Żył krótko, zmarł w Sosnowcu w 1988 roku, mając zaledwie 34 lata... Dla wielu jego fanów i przyjaciół to był szok. I pozostały po nim tylko wspomnienia, które co roku od 15 lat odżywają przy okazji piłkarskiego turnieju nazwanego jego imieniem. – *Pierwszy Memoriał odbył się na Stadionie Ludowym, pamiętam ten dzień bardzo dobrze, gdyż zmarł mi wtedy ojciec. Byłem załamany, jednak koledzy przypomnieli mi, jak tata lubił Włodka i powiedzieli, że na pewno ojciec chciałby, bym zagrał – wspomina Jerzy Lula, obecny dyrektor Zagłębia. – Dopiero później zmagania przeniesiono na halę. Inspiracją była choroba pani Ani, żony Włodka, która zachorowała. Wraz ze znajomymi chcieli*

śmy jej pomóc i stąd pomysł tego memoriału, z którego dochód przeznaczany jest rodzinie Włodka. Głównymi inicjatorami tego turnieju byli Krzysztof Tochel i bracia Maciej i Włodzimierz Moliszewscy. – Ja z bratem nigdy nie grałem w Zagłębiu, ale świetnie znaliśmy się z Włodkiem spoza boiska. Był to wspaniały człowiek i piłkarz, nigdy nie odmawiał pomocy, dlatego my też chcieliśmy w jakiś sposób pomóc jego rodzinie. Gdy już powstała idea, to człowiek po człowieku, cegielka po cegielce, zbudowaliśmy tę imprezę – wyjaśnia Maciej Moliszewski.

Ostatni memoriał wygrał niespodziewanie MCKS Czeladź, pokonując w finale rzutami karnymi Zagłębie Sosnowiec, które grało jednak w juniorskim składzie.

I jak co roku znów była okazja do wspomnień o Włodzimierz Mazurze. Warto kilka z nich przytoczyć.

Marek Jędras 6 maja 1978 roku razem z Włodzimierzem Mazurem sięgnął po Puchar Polski. Zagłębie pokonało wówczas Piast Gliwice 2:0, pierwszą bramkę w 27. minucie zdobył Mazur, drugą w 60. Jędras. – Co tu dużo mówić, to był supergość! – opowiada Marek Jędras. – Przez długi czas, zanim Włodek nie wybudował domu, mieszkaliśmy w jednej klatce, ja na 2., on na 10. piętrze. Oj było dużo pikantnych historii, ale ich nie będę zdradzał, to był wspaniały przyjaciel. Jak to mawiają, do tańca i różańca. Włodek nie potrafił nikomu odmówić, on już taki był, ktoś go o coś prosił, to stawał na głowie, by pomóc. Dla niego nie było rzeczy niemożliwych, były tylko trudne do wykonania. Przyciągał kibiców na stadion, gdyż był dobrym piłkarzem, ale jednocześnie czasem zbyt kombinował. Pamiętam, kiedy w Pucharze Polski chciał podobnie jak Antonin Panenka pokonać z rzutu karnego bramkarza Widzewa. Niestety, Stanisław Burzyński nie ruszył się i pewnie złapał strzał Włodka. Wtedy się przeliczył, jednak w reprezentacji w meczu z Holandią taką bramkę zdobył, ale ile on w swojej karierze strzelił wspaniałych bramek... – Chyba nie ma osoby, która powiedziałaby o nim inaczej niż dobrze – dodaje Władysław Szaryński. – Gdy przechodziłem do Zagłębia jako doświadczony zawodnik, to Włodek dopiero wchodził w drużynę, między nami była spora różnica wieku. Młody piłkarz pokazał na treningach, iż ma duże predyspozycje. Wszyscy mówili, że będzie dobrym zawodnikiem i sprawdziło się. Grał w reprezentacji, został królem strzelców pierwszej ligi. Bardzo dobrze współpracowało się z nim na boisku i poza nim. Najbardziej utkwiał mi w pamięci ligowy mecz z Widzewem. Włodzimierz Smolarek i spółka byli pewni zwycięstwa, ale my zagraliśmy chyba najlepszy nasz mecz i wygraliśmy 5-2, to były dobre czasy.

– Włodek w Zagłębiu był gwiazdą, grał w nim od 17. roku życia, zresztą wtedy była taka ekipa, że można było nawet walczyć o mistrzostwo – snuje inne wspomnienia Wojciech Sączek, który szkoli obecnie młodzież w Zagłębiu. – O umiejętnościach tego zawodnika świadczy fakt, iż pojechał na mistrzostwa świata, gdy w składzie byli wielcy piłkarze jak Deyna, Szarmach, Lato. To była silna drużyna i żeby załapać się do niej, to trzeba było dobrze grać w piłkę. W Zagłębiu atak tworzyli Mazur, Dworczyk, jak ja wchodziłem na boisko, to raczej byłem tym od czarnej roboty.

– Według mnie Włodek był jednym z najlepszych środkowych napastników w Polsce – twierdzi Janusz Koterwa, były stoper Zagłębia. – Na zajęciach taktycznych trener Gałeczka często mnie ustawiał przeciwko Włodkowi. Był to piłkarz, który świetnie się zastawiał ciałem, bardzo ciężko mu było zabrać piłkę, to był wybitny napastnik. – Pamiętam takie humorystyczne trochę zdarzenie – włącza się do wspominek Lula. – Biegaliśmy na terenach przy stadionie, na moście stała grupka fanów, która pod naszym adresem kierowała różne uwagi. Włodek podbiegł do jednego z nich, coś tam powiedział i... później kibice po prostu grzecznie stali i się przyglądali. Wtedy piłkarze, a w szczególności Włodek, mieli inny autorytet. To był człowiek, który wśród kibiców zawsze miał szacunek. I jeszcze jedno związane z nim wspomnienie. Po meczu z Holandią, w którym strzelił pamiętnego karnego w stylu Panenki, miał do odbioru (na talon – dop. A.W.) samochód, był to polonez, więc pojechaliśmy do Polmozbytu. Na placu stało mnóstwo samochodów. W samym środku stał polonez w kolorze groszkowym, jak Włodek go zobaczył, to

powiedział: „biorę ten”. Jego nazwisko zadziałało, wyjechali wszystkimi samochodami, by dostać się do wybranego samochodu i przekazali go zawodnikowi: „Panie Włodku dla pana wszystko”.

Włodek Mazura bardzo ciepło wspomina inny legendarny piłkarz Zagłębia, Józef Gałeczka, który go trenował. – Dla mnie był jednym z najwybitniejszych piłkarzy naszego klubu. Serce mi się kraje, gdy tylko pomyślę, w jak młodym wieku zmarł. Na zajęciach nigdy nie miałem problemów z Włodkiem, ale wiadomo, jak to zawodnik, czasem się przykładał bardziej, a czasem mniej do pracy. W pamięci mam zacięty półfinałowy mecz Pucharu Polski. Graliśmy w Warszawie z Legią, prowadziliśmy 1:0, dochodziła 90 minuta, więc krzyknąłem do piłkarzy, by już nie atakowali, by pograli piłką i skoncentrowali się na utrzymaniu korzystnego wyniku. Nic z tego. Dworczyk próbował szarpnąć na skrzydle, straciliśmy piłkę i po chwili bramkę. W dogrywce nie udało się nic strzelić. O wyniku zadecydowały karne, oczywiście miałem swoich stałych egzekutorów, wśród nich był Włodek. Jak zwykle chciał strzelić na dwa tempa, bramkarza położył, ale ten jakimś cudem jeszcze złapał piłkę, na szczęście 5 cm za linią. Oj były wtedy nerwy, jednak wygraliśmy w karnych 5:3, a w finale rozprawiliśmy się z Piastem, sięgając po puchar.

Dla wielu Włodzimierz Mazur to ostatni piłkarz Zagłębia, który tak grał w piłkę. I ciągle czekamy na jego następców, którzy poprowadzą sosnowiecki klub do ekstraklasy. Może doczekamy się ich już w kolejnym sezonie?

Andrzej Wasik



Czy będziemy drugą Grecją?

Na kraje Unii Europejskiej, szczególnie mniej rozwinięte gospodarczo, padł „błady strach”, że mogą podzielić los Grecji. Poważne problemy gospodarcze mają Hiszpania, Portugalia, Irlandia. Niektórzy boją się o Polskę, która obok innych podobieństw do wymienionych krajów dodatkowo nie ma wspólnego pieniądza, czyli euro.

Przyjęcie Grecji do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej w 1981 roku wywołane było m.in. chęcią stabilizacji narażonego na ciągłe kryzysy kraju. Na zarzut premiera Andreasa Papandreu, iż traktat akcesyjny nie odpowiada interesom Grecji, bowiem nie uwzględnia różnic między jego krajem a pozostałymi krajami członkowskimi, Komisja Europejska przyznała pomoc 3 mld dolarów. Ten szantaż i wymuszanie pieniędzy Grecy stosowali jeszcze kilka razy. Pieniądże, które przychodzą łatwo – łatwo „przejeść”, co Grecy opanowali do perfekcji.

Dług publiczny tego kraju w 1981 roku wynosił – 30 proc. PKB, a w 2010 roku – 115 proc. PKB.

W celu uratowania Grecji przed bankructwem, a sfery euro przed poważnymi problemami Unia Europejska i Międzynarodowy Fundusz Walutowy postanowiły zasiłkować ten kraj kwotą 110 mld euro. Jednak Unia nie przekazuje pieniędzy bezwarunkowo. Grecja musi ograniczyć wydatki budżetowe, zredukować deficyt i podjąć działania oszczędnościowe w całej strefie budżetowej. Na to nie zgadzają się związkowcy. Dwie największe centrale związkowe sprzeciwiają się programowi oszczędnościowemu, organizując strajki i protesty na ulicach. Największy sprzeciw budzi projekt zreformowania greckiego systemu emerytalnego, który według ocen OECD jest najbardziej hojny w Europie. Grecki rząd jest naprawdę w trudnej sytuacji, bowiem w zamian za trzyletnią linię kredytową w wysokości 110 mld euro zobowiązał się, że do 2014 roku obniży deficyt budżetowy do 3 proc. (kryterium z Maastricht) z 13,6 proc. w 2009 roku. Wymaga to m.in. zamrożenia plac w sektorze publicznym, podwyżki podatku VAT i akcyzy, na co nie ma przyzwolenia społecznego. Sytuacja jest tym bardziej skomplikowana, iż Grecja jest jedną z najbardziej przeregulowanych i zbiurokratyzowanych gospodarek, a teraz cała Unia będzie jej „patrzył na ręce”. Szczególnie Niemcy, które uważają, iż strefa euro nie jest unią transferów. Niemiecki minister spraw wewnętrznych – Thomas de Maiziere – podkreśla, iż każdy kraj musi brać odpowiedzialność za swoje zobowiązania. Te kraje, które nie zreformują finansów publicznych, więcej pieniędzy nie dostaną. Niemcy żądają zacieśnienia reguł fiskalnych w UE i sankcji dla tych krajów, które przekraczają limity budżetowe. Patrząc z punktu widzenia całej Unii i kraju, który najwięcej

wpłaca do wspólnego budżetu, pewnie mają rację. Ale co mają powiedzieć takie kraje jak Polska. Bezpośrednio nie odczuwamy skutków udzielenia pomocy Grecji i innym zagrożonym krajom. Unia Europejska, kraje euro oraz MFV są gotowe wyłożyć 720 mld euro na ratowanie wspólnej waluty. Zagrożeniem dla Polski będą potencjalnie mniejsze fundusze w nowym budżecie unijnym 2014–2020. Ucząc się na błędach innych, już dzisiaj powinniśmy racjonalizować finanse publiczne. Zdaniem MFV i Komisji Europejskiej kraj nasz nie spełnia kryteriów do przyjęcia euro. Polski dług publiczny na koniec 2010 roku ma wynieść 806 mld złotych, a w 2011 roku 931 mld złotych, czyli 61,5 proc. PKB. Przekroczy, więc dopuszczalny próg 60 proc. PKB. Tylko wzrost PKB w tempie powyżej 4,5 proc. mógłby zatrzymać tę niekorzystną tendencję.

Wprawdzie Polska przesunęła się o 12 miejsc w górę z 44 na 32 w rankingu najbardziej konkurencyjnych krajów na świecie (World Competitiveness Yearbook), ale nie wpływa to bezpośrednio na sytuację zadłużenia Skarbu Państwa. Na pytanie „Czy Polskę może dotknąć załamanie podobne do greckiego” Janusz Lewandowski – Komisarz Unii do spraw budżetu, odpowiada trochę wymijająco. Uważa, iż nie ma teraz w Europie krajów perfekcyjnych finansowo. Są tylko chore i mniej lub bardziej zagrożone. Na tym tle Polska wygląda nieźle. Musi jednak zmierzać do ograniczenia deficytu budżetowego do 3 proc. PKB w 2012 roku (dzisiaj prawie 7 proc.).

Z natury jestem optymistką, wierzę ekspertom, komisarzom i ekonomistom, ale Grecy też wierzyli... Biorąc pod uwagę, że przysłowia są mądrością narodu przychodzi mi na myśl ludowe porzekadło: „biednemu i wiatr w oczy”. Powódź i nieszczęścia z nią związane zwiększą wydatki z budżetu państwa oraz mogą wpłynąć na zmniejszenie przychodów. Oczywiście, że możemy liczyć na pomoc z budżetu unijnego, lecz na te pieniądze trzeba czekać, a one potrzebne są już dzisiaj.

Jadwiga Gierczycka



Młotkiem w łeb



Po powodzi

Częścią dramatu Jerzego Szaniawskiego *Dwa teatry* z 1946 roku jest jednoaktówka pt. *Powódź*, której realia pisarz zaczerpnął z wielkiej powodzi 1934 roku oraz nieustannych powodzi lokalnych na Podkarpaciu. Bezwzględny żywił posłuszny Szaniawskiemu do konfrontacji postaw moralnych i wskazania, że miarą naszego człowieczeństwa jest sprostanie odpowiedzialności za drugiego człowieka. Już gdy „przerabiałem” tę lekturę w mych licealnych czasach, zjawisko powodzi nie było dla mnie czymś egzotycznym. Niewiele lat wcześniej mogłem skutki jednej z największych powodzi obserwować „na żywo” w Węgierskiej Górze, gdzie tzw. wielka woda zniosła mosty i zabrała przybrzeżne pola. Na przełomie lat 50. i 60. owa wielka woda pojawiała się co dwa lata – w 1958, 1960 i 1962 – i nie były to powodzie lokalne. Rzeki występowały z brzegów w całym kraju. Media wówczas pomniejszały skalę zjawiska, bo przecież – pomimo względów ideologicznych i cenzuralnych – ówczesna władza chyba miała jeszcze jakieś poczucie wstydu. Wnoszę to z tego, że na przykład po wspomnianych powodziach w wielu miejscach poszerzono koryto Soły, wzmocniono brzegi, a w 1967 roku oddano do użytku zbiornik retencyjny o nazwie Jezioro Żywieckie, aby opóźnić spływ wody do górnej Wisły. W innych miejscach Polski też zrealizowano różne przedsięwzięcia – mniejsze i większe – hydrotechniczne. Jednak dopiero po dwóch wielkich wezbraniach w 1970 roku – pierwszym roztopowym, drugim opadowym, świętojańskim, dopuszczono w prasie tygodniowej krytykę zniszczenia malej (prywatnej) retencji w latach 50., która – jeśli nawet nie zabezpieczała przed wielkimi powodziami, to zmniejszała ich skutki. Jak wówczas oceniono, nieprzemyślana regulacja rzek i osuszanie bagien, powodujące przyspieszenie spływu wody, również przyczyniły się do wzrostu zagrożenia powodziami.

Będąc dalekim od jakiegokolwiek szukania pozytywów w reżymie narzuconym Polsce po 1945 roku, mam jednak wrażenie, że choć był

przyczyną wielkiego zła, to jednak – na swój nieudolny sposób – cokolwiek w zakresie ochrony przeciwpowodziowej zrobił. Po 1989 roku, a szczególnie po „powodzi stulecia” w 1997 roku demokratycznie wybrane rządy i samorządy nie uczyniły nic w tym zakresie i to tam, gdzie należało zrobić wiele, lub bardzo wiele... No, powiedzmy, że prawie nic. Bo jakieś doraźne łataniny wałów czy zainstalowanie radarów meteorologicznych (które i tak musiałyby być zainstalowane ze względu na wymogi natowskie, a nie hydrologiczne) to właśnie takie więcej niż zero. Skoro na przykład, na terenie wrocławskiego osiedla Kozanów, które pobudowano „za komuny” na terenie przeznaczonym przez dawnych niemieckich gospodarzy na polder zalewowy, postawiono po powodzi stulecia nowe bloki i domki jednorodzinne, ignorując zupełnie konieczność ogrodzenia osiedla wałem przeciwpowodziowym... Nierozgarnięci i nieodpowiedzialni politycy oraz urzędnicy uznali najwidoczniej, że powódź stulecia zdarza się raz na sto lat, skoro tak została nazwana... A przecież, co ostatnio, nieco poniewczasie, zalecały w innych kwestiach – jak to się kiedyś mówiło – najwyższe czynniki... wystarczyło

zerknąć do Wikipedii pod hasło „powodzie w Polsce”. Pierwszą odnotowaną w Polsce powodzią były „liczne i długotrwałe wylewy” w 988 roku, które odnotował Jan Długosz. Można być przy tym pewnym, że od tego czasu na ziemiach polskich było powodzi więcej niż tych 30 (z czego 15 od początku XX wieku), które podaje Wikipedia. Nigdy więc powodzie w Polsce nie były czymś niezwykłym i na pewno nie wynikały ze zmian klimatycznych.

Po powodziach przełomu lat 50. i 60., w 1965 roku ukazała się książka R. Girgusa i W. Strupczewskiego *Wyjątki ze źródeł historycznych o nadzwyczajnych zjawiskach hydrologiczno-meteorologicznych na ziemiach polskich w wiekach od X do XVI w.* Rzecz dzisiaj nie tylko warta wznowienia, i to z uzupełnieniem o kolejne stulecia, ale i zalecenia do bibliotek: od szkolnych po sejmową. Jeszcze lepiej, gdyby w postaci e-booka została opublikowana w Internecie – do pobrania ze stron najbardziej popularnych portali. Lecz który wydawca ośmielił się być „niepoprawny politycznie”, narazić na szwank interesy tych wszystkich, którzy za głoszenie tego, co nie tylko ja nazywam „klamstwem klimatycznym”,

czerpiać obficie z niejednej państwowej kasy, a więc z kieszeni podatników?

Naszą bezradność choćby wobec największej „wielkiej wody” możemy minimalizować – nawet na wyjście cało z biblijnego potopu był sposób. Cóż, budowanie i remontowanie wałów oraz urządzeń przeciwpowodziowych nie jest tak spektakularne jak budowa stadionów. Cwani i bezwzględni pijarowcy szybko wykazują politykom, że przecież kibiców jest więcej niż powodzian... Także u nas, w Zagłębiu... Poza tym... Terminy kolejnych powodzi są nieprzewidywalne, terminy meczów piłkarskich – jak najbardziej... Ale tak jak po przegranym meczu rozsądny trener zmienia ustawienie zawodników na boisku, „łata” dziurawą obronę, żeby zmniejszyć ryzyko kolejnej przegranej, tak po powodzi należałoby uczynić wszystko, co możliwe, aby oddalić zagrożenie i ograniczyć skutki, gdy znowu Wisła, Odra, czy Czarna Przemsza, Brynica, Potok Żeliszawski lub inny niebezpiecznie wzburzą. A że nie wiadomo kiedy wzburzą, podpowiadam, że może to być wtedy, gdy powodzian będzie jednak więcej niż kibiców.

Jerzy Suchanek

Dragon i ja

Jest w moim życiu od niemalże 14 lat. Mężczyzna, z którym wytrzymałam i który wytrzymał ze mną. Był świadkiem wszystkich ważnych wydarzeń – kiedy przygotowywałam się do matury i egzaminów na studia, kiedy broniłam magisterki i otwierałam przewód doktorski. Przeżył kilku facetów, kilka rozstań i zawodów miłosnych. Towarzyszył mi na randkach z przyszłym mężem i czekał na mnie, gdy wróciłam do domu w środku nocy – zaręczona, szczęśliwa i pijana. Męża nie zaakceptował – ale nie wymagamy za wiele, w końcu musiał mu ustąpić w moim łóżku. Ustąpił. Zawsze mogłam na niego liczyć. Na mężczyznę, który nigdy mnie nie zawiódł. Na Dragona.

Dragon jest foksterierem szorstkowłosym, typowym przedstawicielem rasy. Wygląda jak kreskówka, jest bardziej podobny do Reksia niż do jakiegokolwiek realnego psa. W domu pojawił się przypadkiem, nikt się go nie spodziewał. Któregoś dnia rodzice się o coś porządnie pokłócili i Dragon był prezentem od ojca dla matki. Dziwne, bo ojciec raczej nie przyznawał się do błędów. Wnioskuje więc, że awantura musiała być przednia – nie podzielię się krwistymi szczegółami bo albo ich nie pamiętam, albo nigdy nie znałam. Raczej to drugie. Klócenie się „przy dzieciach” w moim domu było passe. W każdym razie bardzo dobrze, że się pokłócili, bo zaowocowało to przyniesieniem

do domu białej kuleczki, która mieściła się w dłoniach, lizała człowieka malutkim językiem, merdała ogonkiem i szła za każdym, kto ją pogłaskał. I w zasadzie na tym kończyło się bycie miłym pieskiem w jego wykonaniu. Gradację ważności ustalił bardzo szybko – uznawał wyższość matki, siebie uważa za jej namiestnika. Mną rządzi, co mnie niezmiennie i niezmiennie rozśmiesza. Być może specjaliści od zachowań psów nie byłiby zachwyceni moją postawą, ale niewiele mnie to obchodzi. 10 kilogramów psa może mną pomiatać do woli, nie mam nic przeciwko. Tym bardziej że w sytuacjach zagrożenia zawsze mnie bronił. Rzucił się na napastnika i bezlitośnie wymierzał zębami sprawiedliwość. Niestety, zanim nauczył się ich używać w rozsądny sposób, gryzł wszystko, co się rusza – inne psy, ludzi, rowery. Kilka razy zdarzyło się odkupywać jakieś spodnie i biegać do sąsiadów z potwierdzeniem ważności szczepień. Trzeba jednak przyznać, że nie gryzł bezinteresownie, zawsze miał powód – zazwyczaj ktoś go zaczepiał albo na niego wpadał.

Oszczędził dzieci, suki, kury i jeże. Z nimi chciał się bawić (z jeżami szło mu najgorzej, zwijały się w kulkę i nie chciały biegać).

Jego stosunek do dzieci zadziwia – mogą go ciągnąć za uszy, ogon, wypychać mu paluchy do oczu i uszu a on nie reaguje chociaż dorosłemu odgryzłby rękę...

Jako szczenię nie potrafił zrozumieć, do czego służy miska – przynosił jedzenie do salonu i kładł je na stole. Skoro wszyscy ludzie tak jedli, chciał i on. Zawsze byłam ciekawa, czy Dragon uważa się za człowieka,

czy nas za psy. Ciągłe nie potrafię rozwiązać tej zagadki. Skłaniam się ku drugiemu rozwiązaniu.

Dragon nie słyszy, nie widzi, stracił węch. Ale nie stracił ducha. Nadal zdarzają się dni, w których jest sobą – postrachem osiedla. I nie szkodzi, że już nie radzi sobie z wskoczeniem do łóżka. Pomoc przyjmuje niechętnie, warczy jakby chciał zakomunikować, że jednak da radę.

Ma 14 lat, od dwóch lat żyje na kredyt (średnia życia foksteriera wynosi 12 lat). Wczoraj znowu zemdleł. Boję się.

Aleksandra Sarna



Droga Królewska w Zagłębiu Dąbrowskim

Region nazywany dzisiaj Zagłębiem Dąbrowskim od najdawniejszych czasów wchodził w skład Ziemi Krakowskiej. Było tak od zarania państwowości polskiej, a nawet wcześniej, kiedy tereny te należały do obszarów plemiennych Wiślan, czego dowodem materialnym jest Grodzisko na górze Zamkowej w Będzinie.

Związki tych ziem z Małopolską były bardzo trwałe i tylko pewien ich fragment na okres przejściowy znalazł się we władaniu książąt śląskich, wracając jednak po pewnym czasie pod wpływem krakowskie w postaci częściowo niezależnego księstwa w czasach napoleońskich, będącego swoistym prekursorem późniejszego regionu nazwanego w drugiej połowie XIX wieku Zagłębiem Dąbrowskim.

Istniejąca na rzekach Brynicy i Przemszy granica przez wieki była najbardziej stabilną granicą w historii państwa polskiego. Funkcjonowała do końca I Rzeczypospolitej i szybko została przywrócona w czasach napoleońskich jako granica Księstwa Warszawskiego. Po klęsce Napoleona została także utrzymana i potwierdzona na Kongresie Wiedeńskim.

Będąc przez wieki granicą państwową, stanowiła jednocześnie historyczną granicę pomiędzy Małopolską a Śląskiem, zmieniającą przez wieki swoją przynależność państwową i tworzącą swoją własną, odrębną kulturę. Dzisiaj również rzeki te stanowią granicę kulturową i etnograficzną pomiędzy dużymi regionami Polski, Śląskiem i Małopolską, której zachodnią częścią jest Zagłębie Dąbrowskie.

Elementem łączącym poszczególne regiony i kraje były od zarania dziejów szlaki handlowe, wykorzystywane także bardzo często jako drogi pątnicze. Jednym z najważniejszych i najstarszych była VIA REGIA, zwana także Drogą Królewską, która łączyła wschód z zachodem Europy, Małopolskę ze Śląskiem, Kraków z Wrocławiem. Przy tym trakcie powstawały i rozwijały się najstarsze miasta naszego regionu: Olkusz, Sławków, Będzin i Czeladź oraz wiele innych mniejszych osad.

Śladem tego historycznego traktu, podobnie jak to było przed wiekami, przebiega dzisiaj jeden z odcinków europejskiego szlaku pątniczego Droga



św. Jakuba, który prowadzi do hiszpańskiego sanktuarium w Santiago de Compostela. Prowadzący przez Zagłębie Dąbrowskie odcinek tego szlaku ma jednocześnie pełnić funkcję lokalnej trasy turystycznej i kulturowej prezentującej i promującej zabytki i historię tego regionu.

Zagłębiowski odcinek VIA REGIA został opracowany i wytyczony przez stowarzyszenie regionalne Forum dla Zagłębia Dąbrowskiego, a prace nad tym projektem trwały ok. 2 lat – poczynając od kwerendy po źródłach historycznych, poprzez badania terenowe, a kończąc na uzyskaniu wszelkich pozwoleń na znakowanie i innych dokumentów. Patronaty honorowe nad tym projektem przyjęli marszałkowie województwa małopolskiego i śląskiego oraz biskup diecezji sosnowieckiej. Do wykonania pozostał ostatni etap, czyli znakowanie trasy, które już wkrótce rozpocznie się dzięki wsparciu finansowemu starostwa będzińskiego oraz gmin leżących wzdłuż tego szlaku.

Warto wspomnieć, że zagłębiowskim odcinkiem Drogi św. Jakuba już teraz wędrują i pątnicy i turyści zarówno z Polski, jak i z zagranicy, którzy od FdZD otrzymują dokładne mapy z zaznaczoną przyszłą trasą. Wszystkich zainteresowanych zapraszamy na stronę internetową (www.viaregia.zaglebiedabrowskie.org), która będzie sukcesywnie rozbudowywana, tak aby służyć pomocą przyszłym wędrowcom, ale także i promocji Zagłębia Dąbrowskiego.

Dobrej Drogi! Buen Camino!

Oprac. Dariusz Jurek

Dni Czeladzi

1–3 maja Czeladź obchodziła coroczne święto – Dni Czeladzi.

Podczas trzydniowego cyklu imprez nie zabrakło licznych atrakcji zarówno dla starszych, jak i najmłodszych mieszkańców, którzy pomimo niesprzyjającej pogody, tłumnie uczestniczyli w święcie swojego miasta.

Gwiazdą pierwszego dnia był zespół Czerwone Gitary, który na czeladzkim



rynku zaprezentował swoje najbardziej znane i lubiane przeboje: *Powiedz stary, gdzieś ty był*, *Matura*, *Nikt na świecie nie wie*, *Nie zadzieraj nosa*, *Kwiaty we włosach*. Czerwone Gitary kojarzone są najczęściej z ich długoletnim liderem Sewerynem Krajewskim, jednak nie



wszyscy wiedzą, że muzyk odszedł z zespołu w 1997 roku, a grupa gra w zmienionym i nieco odmłodzonym składzie.

W niedzielę na scenie w parku Prochownia wystąpiła Sasha Strunin, artystka młodego pokolenia specjalizująca się w muzyce z pogranicza popu i r&b. 3 maja w parku Grabek jeden z najlepszych zespołów rockowych w Polsce – grupa Hey wraz ze swą charyzmatyczną liderką Katarzyną Nosowską.

Tekst i fot. Robert Garstka



Beltane – święto ognia

30 kwietnia w Ośrodku Kultury w Będzinie po raz pierwszy zorganizowano obchody celtyckiego święta Beltane.

Inicjatorami pomysłu, który spotkał się z bardzo dobrym odbiorem głównie młodych mieszkańców Będzina, byli: będziński zespół Tańca Irlandzkiego Galway oraz Ośrodek Kultury.

Organizatorzy zadbali o to aby wieczór wypełniony był licznymi atrakcjami, a każdy znalazł coś dla siebie.

Impreza rozpoczęła się od przyjemnego akcentu – rozdania nagród w konkursie plastyczno-fotograficznym. Skoczne, ogniste melodie rodem z Zielonej Wypsy brzmiały



tego wieczoru jeszcze wiele razy zachęcając wszystkich do wspólnej zabawy.

Grupa rekonstrukcji historycznych Ydalir Laget przedstawiła scenki z życia Wikinów oraz sprawność we władaniu różnego rodzaju bronią.

Ciekawa i interesująca inscenizacja obchodów święta Beltane przygotowana przez



zespół Galway pozwoliła przenieść się w nieznany i tajemniczy świat celtyckich wierzeń. Beltane jest jednym z najważniejszych i najstarszych celtyckich świąt. Odmierza ono połowę roku i początek lata. Obchody Beltane w tradycji celtyckiej rozpoczynały się w nocy z 30 kwietnia na 1 maja. Dla Celtów doba trwała od zachodu do zachodu Słońca. Celtycki rok dzielił się tylko na dwie części: jasną i ciemną (albo ciepłą i zimną) — przez pierwsze pół roku rozpoczętego w czasie Samhain dominuje księżyc i jego zimny blask; podczas drugiej połowy króluje słońce i jego ciepłe promie-

KATALOG PRASY LOKALNEJ

Echo Żarnowca

GAZETA SAMORZĄDOWA STYCZEŃ-MARZEC 2010 NR 133



Gazeta powstała z inicjatywy wójta gminy Eugeniusza Kapuśniaka. Pierwszy numer ukazał się w grudniu 1992 roku.

Nakład od pierwszego numeru wynosił 100 egzemplarzy, od 20. numeru 200, a od 32. już 400. Redakcja od początku mieści się w Gminnej Bibliotece Publicznej w Żarnowcu. Stałe kolumny to: sprawy samorządowe, z życia szkół; z czasem doszły też nowe: zagadki, przysłowia, aktualności rolnicze. W sierpniu 1997 roku ukazał się 50. numer „Echa”. Od 54. numeru (luty 1998 roku) zamieszczane są artykuły dotyczące historii gminy w związku z 900-leciem Żarnowca.

„Echo Żarnowca”

Wydawca: Rada Gminy

Redakcja: Helena Nowak, Renata

Koźlicka, Michał Kasperczyk

Stali współpracownicy: Iwona Karoń, Jacek Orczyk.

Adres: Gminna Biblioteka Publiczna

42-439 Żarnowiec, Rynek 11,

tel. (032) 6449040. nakład 500 egz.

Skład komputerowy i druk: Gminna

Biblioteka Publiczna w Żarnowcu.

II Festyn Rodzinny

15 maja na terenie Szkoły Podstawowej nr 35 w Sosnowcu-Porąbce odbył się II Festyn Rodzinny. Podczas imprezy plenerowej uczniowie poszczególnych klas zaprezentowali się w licznych występach artystycznych i inscenizacjach. Obok części artystycznej festynowi towarzyszyły kiermasze. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży zostaną przeznaczone na zasilenie szkolnego konta, a te z kolei pozwolą na zakup sprzętu szkolnego, dofinansowanie wycieczek, a także na wydanie monografii szkoły Początki szkolnictwa w dzielnicy Sosnowca – Porąbce.

W trakcie festynu odbyły się pokazy jednostki ratunkowo-gaśniczej sosnowieckiej Straży Pożarnej oraz pokazy walk rycerskich. Na miejscu można było także zjeść kielbasę z grilla.

Na festynie razem z uczniami oraz mieszkańcami Porąbki bawili się także m.in.: wiceprezydent Sosnowca, Zbigniew Jaskiernia, przewodniczący Komisji Kultury, Sportu i Rekreacji Rady Miejskiej, Jan Bosak, prezes Stowarzyszenia Związku Zagłębiowskiego, redaktor naczelny „Nowego Zagłębia” prof. Marek Barański.

Patronat medialny nad festynem objęły redakcje: „Kuriera Miejskiego”, „Nowego Zagłębia”, „Życia Sosnowca” oraz Wydawnictwo Regiony.

(Koc)

nie. Tak jak podczas świąt Samhain, tak i w czasie Beltane, granicę pomiędzy światem widzialnym i tajemniczymi zaświatami bez większych problemów można przekroczyć. Noc ta była czasem miłości, płodności, kiedy ucztowano, tańczono, „zawieszano” prawa małżeńskie. Odbywały się też wtedy symboliczne zaślubiny władcy z ziemią – tłumaczy Iwona Polak koordynator projektu Beltane – święto ognia. Warto wspomnieć, że dawni Słowianie obchodzili tzw. Noc Kupały, święto związane z letnim przesileniem Słońca, obchodzone w najkrótszą noc w roku, czyli najczęściej (nie uwzględniając roku przestępnego) z 21 na 22 czerwca. Było to święto ognia, wody, słońca i księżyca, urodzaju, płodności, radości i miłości.

Po zapadnięciu zmierzchu, na dziedzińcu zaprezentowali się tancerze ognia „Donkey in Flames” oraz bębniarze djembe i dundun z będzińskiego Ośrodka Kultury.

Tekst i fot. Robert Garstka



Goście z Ukrainy

16 maja z wizytą partnerską przybyła do Sosnowca delegacja obwodu Charkowskiego oraz powiatu Dergacze. W składzie delegacji znaleźli się przedstawiciele organów samorządowych służb medycznych i socjalnych oraz – na specjalne zaproszenie – przedstawiciele Uniwersytetu Kijowskiego z Instytutu w Charkowie. Pobyt zainicjowały dwie współpracujące ze sobą od 5 lat organizacje pozarządowe (Vivat Socrat Charków oraz Związek Zagłębiowski Sosnowiec) i dotyczył przygotowań do realizacji projektu „Rozwój Praktyk



reform europejskich w dziedzinie ochrony zdrowia matki i dziecka w zakładach opieki zdrowotnej miasta Charków i obwodu”. W trakcie pobytu, trwającego do 19 maja, zaproszeni goście spotkali się z prezydentem Sosnowca oraz radnymi, uczestniczyli w wizytach studyjnych w instytucjach ochrony zdrowia oraz opieki społecznej miasta (m.in. w Centrum Pediatrii i Miejskim Ośrodku Wspomagania Rodziny), a także wzięli udział w konferencji zorganizowanej przez Wyższą Szkołę Humanitas w Sosnowcu.

Wizyta jest kontynuacją pięcioletniej współpracy pomiędzy Vivat Socrat – Związek Zagłębiowski, w trakcie której przedstawiciele miasta i Związku Zagłębiowskiego oraz Wyższej Szkoły Humanitas wielokrotnie uczestniczyli w konferencjach i innych projektach realizowanych na terenie obwodu Charkowskiego, dzieląc się doświadczeniami z zakresu modernizacji systemu politycznego, społecznego i gospodarczego w naszym kraju, zmian po wejściu do Unii Europejskiej, celem ukazania form, metod i zasad tworzenia społeczeństwa obywatelskiego. Wzajemne wizyty przybliżały działania na rzecz podpisania umowy o miastach partnerskich między powiatem Dergacze a miastem Sosnowiec. Majowa wizyta zaowocowała podpisaniem współpracy między reprezentowanymi ośrodkami akademickimi, jak również w zakresie partnerstwa w realizacji projektu.

red.

NASZ PATRONAT

„Nie święci garnki lepią”,
czyli Jarmark Rzemiosła
i Rękodzieła w Będzinie

Po ubiegłorocznym sukcesie zorganizowanego przez Muzeum Zagłębia w Będzinie „Jarmarku Rzemiosła i Rękodzieła”, również w tym roku mamy zaszczyt zaprosić wszystkich chętnych do ponownego odwiedzenia parku na Gzichowie.

„Jarmark Rzemiosła i Rękodzieła”, nad którym patronat honorowy objęli Prezydent Miasta Będzina Radosław Baran oraz Starosta Powiatu Będzińskiego Adam Lazar odbędzie się w parku przy Pałacu Mieroszewskich w Będzinie – siedzibie Muzeum Zagłębia w niedzielę 27 czerwca w godzinach od 11 do 20. W pięknym plenerze parkowym ponownie pojawią się stragany z kunsztownymi wyrobami rękodzielniczymi, przedmiotami rzemiosła artystycznego i tradycyjnymi przysmakami dla młodszych i starszych. Swoją udział zapowiedziało już wielu ubiegłorocznych wystawców oraz kilkunastu nowych – będzie więc ceramika dekoracyjna, garncarstwo, wyroby z drewna, wikliny, słomy, tkanin i skóry, biżuteria artystyczna, metaloplastyka, malarstwo, rysunek, fotografia, grafika oraz witraż, a także zabawki ludowe, ozdoby z papieru, ręcznie malowane szkło i porcelana, tradycyjne, choć nieco egzotyczne instrumenty muzyczne. Na „Jarmarku Rzemiosła i Rękodzieła” prezentować i sprzedawać będą swe wyroby producenci wędlin, pieczywa, wyrobów cukierniczych i pszczelarskich, tradycyjnych napojów oraz artykułów roślinnych. Podniebienia zwiedzających laskotać będą zagłębiowskie potrawy przygotowane przez restaurację „Austeria” ze Sławkowa – góralskie



placki z blachy, oscypki i różnego rodzaju napitki. Imprezie towarzyszyć będą występy zespołów folklorystycznych, kapel ludowych oraz zespołu folkowego. Ponadto, wszyscy chętni będą mogli zwiedzić prezentowane w pałacowych wnętrzach wystawy, zapoznać się z wystawą plenerową, podpatrzeć, jak można ozdobić jajko czy zrobić szydełkowe „cacuszko”.

Jak podkreślają organizatorzy, „Jarmark Rzemiosła i Rękodzieła” ma być imprezą łączącą pokolenia, przeszłość z przyszłością, tradycję z nowoczesnością, ma zachęcać do rodzinnego uczestnictwa w kulturze, wspólnego spędzenia czasu oraz wspierania i upowszechniania rodzinnej sztuki ludowej, rzemiosła artystycznego oraz produktów regionalnych.

Patronat medialny nad tegorocznym „Jarmarkiem Rzemiosła i Rękodzieła” objęli: Telewizja Polska Katowice, Radio eM, „Wiadomości Zagłębia”, „Echo Miasta”, serwisy internetowe NaszeMiasto.pl oraz sosnowiec.info.pl a także czasopismo społeczno-kulturalne „Nowe Zagłębie”. Imprezie towarzyszyć będą występy zespołów folklorystycznych, kapel ludowych oraz zespołu folkowego „Turnioki”.

red.



TEATR ZAGŁĘBIA

1897

w Sosnowcu

Dyrektor Naczelny i Artystyczny Adam Kopciuszewski

REPERTUAR CZERWIEC 2010

1	wtorek	godz. 10.00	Bracia Grimm <i>Królowna Śnieżka</i>
2	środa	godz. 10.00	Bracia Grimm <i>Królowna Śnieżka</i>
4	piątek	godz. 19.00	Edward Taylor <i>Stosunki na szczycie</i>
5	sobota	godz. 18.00	Piosenki Agnieszki Osieckiej <i>Niech żyje bal*</i>
6	niedziela	godz. 18.00	Piosenki Agnieszki Osieckiej <i>Niech żyje bal*</i>
8	wtorek	godz. 10.00	Lucy Maud Montgomery <i>Ania z Zielonego Wzgórza</i>
9	środa	godz. 10.00	Lucy Maud Montgomery <i>Ania z Zielonego Wzgórza</i>
10	czwartek	godz. 10.00	Bracia Grimm <i>Królowna Śnieżka</i>
11	piątek	godz. 19.00	Edward Taylor <i>Stosunki na szczycie</i>
13	niedziela	godz. 18.00	<i>Cymes! Cymes!</i> Jan Szurmiej*
19	sobota	godz. 18.00	Zbigniew Książek <i>Sztuka kochania czyli Sceny dla dorosłych*</i>
20	sobota	godz. 18.00	Zbigniew Książek <i>Sztuka kochania czyli Sceny dla dorosłych*</i>

* abonamenty ważne

Sprzedaż biletów w kasie Teatru Zagłębia
we wtorki, środy i czwartki - w godz. 12.00 - 17.00;
piątki, soboty i niedziele - 16.00 - 18.00

Zamówienia na bilety zbiorowe przyjmuje

Biuro Obsługi Widzów

tel. 266 11 27, 793 03 83, tel. kom. 602 470 644

Kasa biletowa tel. 266 87 66

www.teatrzaglebia.pl e-mail: bow@teatrzaglebia.pl

Dyrekcja Teatru zastrzega sobie prawo zmian repertuarowych



P A Ł A C K U L T U R Y Z A G Ł Ę B I A

w Dąbrowie Górniczej

CZERWIEC 2010

1 czerwiec, 10:00, Spektakl KRÓL BUL z okazji DNIA DZIECKA, Sala Teatralna

8 czerwiec, 18:00, ZAKOŃCZENIE ROKU AKADEMICKIEGO UTW, Sala Teatralna

9 czerwiec, 17:00, ZAPRASZAMY NA POPIS ARTYSTYCZNY DZIECI I MŁODZIEŻY uczestniczących w zajęciach AMATORSKIEGO RUCHU ARTYSTYCZNEGO w Pałacu Kultury Zagłębia i w placówkach PKZ., Sala Teatralna

10 czerwiec, 13:00-17:00, Konkurs Recytatorski, Sala Agora

18 czerwiec, „Dzień Diabetyka, Sala Teatralna

20 czerwiec, 12:00, Festiwal Orkiestr Dętych, przed PKZ

23 czerwiec, 18:00, 4 GITARY 4 EPOKI – koncert muzyki klasycznej, Sala Kameralna

25 czerwiec, 18:00, KABARETOWE PARTY Młode kabarety oraz kabaret DNO zapraszają wszystkich gorąco na „Kabaretowe Party”, czyli skapani w rytmie przebojów list muzycznych pokażą nowe (lepsze?) aranżacje i wykonanie., Piwnica Teatralna

28-9 lipca, 16:00,

Lato z filmem:

28.06. Planeta 51 (90')

29.06. Hannah Montana (102')

30.06. Księżniczka i żaba (97')

01.07. Artur i zemsta Maltazara (93')

02.07. Mikołajek (90')

05.07. Astro Boy (94')

06.07. Odłot (96')

07.07. Disco robaczki (78')

08.07. Góra Czarownic (98')

09.07. Załoga G. (90')

Sala Teatralna

Pałac Kultury Zagłębia zastrzega sobie prawo do zmian repertuaru (lub jego elementów dot. Np. Godziny lub dnia realizacji) wynikających z przyczyn niezależnych od organizatorów.

Miejska Biblioteka Publiczna w Dąbrowie Górnictwej – tradycja i nowoczesność

zarezerwować, prolongować. Można będzie sprawnie poruszać się wśród ponad pół miliona (!) zbiorów zgromadzonych w 18 bibliotecznych placówkach, zgodnie z zainteresowaniem czytelników, z pełną wiedzą o tym, co jest lub będzie dostępne i w jakim terminie.

Współczesna biblioteka publiczna to już



Pomimo ponad stu lat istnienia Miejska Biblioteka Publiczna w Dąbrowie Górniczej zdaje się przeżywać drugą młodość. Choć sędziwej staruszcze nie sprzyjają czasy tak wielkiego przyspieszenia w rozwoju technologii komputerowych, zmieniających się radykalnie społecznych zainteresowań i kulturowych oczekiwań, to jednak instytucja stara się odnaleźć własne miejsce w kulturalnej przestrzeni miasta i regionu.

W 2009 roku biblioteka podjęła się zadania wdrożenia w całej sieci swoich placówek nowoczesnego bibliotecznego systemu komputerowego. Pozwoli on użytkownikom na



kontakt z biblioteką i zarządzanie własnym kontem czytelniczym z dowolnego miejsca dysponującego łączem internetowym. Z domu, pracy, a nawet odległego miejsca będzie można wkrótce sprawdzić czy interesująca nas pozycja zbiorów jest dostępna, można będzie ją

nie tylko wypożyczać książki. Staramy się zaproponować użytkownikom zróżnicowane zasoby, mamy atrakcyjną ofertę prasy, sukcesywnie powiększamy zasoby multimedialne i audiowizualne, pozyskujemy partnerów i tworzymy warunki do profesjonalnego zapewnienia naszym klientom informacji, która staje się coraz ważniejszą w paście naszych usług. Powołaliśmy do życia Centrum Informacji Europejskiej, Centrum Edukacji Regionalnej



czy Centrum Informacji Biznesowej i Technicznej – wyspecjalizowane agendy budujące zasoby i doświadczenia właśnie pod kątem dziedzinowej informacji oczekiwanej przez użytkownika.

Biblioteka w Dąbrowie Górniczej jest animatorem przedsięwzięć kulturalnych i edukacyjnych. Dla wszystkich grup wiekowych i zróżnicowanych środowisk staramy się przygotowywać bogatą ofertę warsztatów, spotkań z ciekawymi ludźmi, klubów dyskusyjnych,



Senior na Topie, Akademia Filozoficzna, II Ogólnopolski Turniej Czytania na Wysokim Szczepku, Świąteczny Pasztet Leszka Mazana, Warsztaty Technik Pamięciowych, Warsztaty Kaligrafii Japońskiej, Festiwal Używanej Książki, Tydzień Bibliotek, Dyskusyjny Klub Książki, Światowy Tydzień Przedsiębiorczości w Bibliotece, spotkania z Marią Czubaszek, Arturem Andruszem, Witoldem Pyrkoszem, Rafałem Bryndalem, Jackiem Fedorowiczem – to zaledwie drobna część z około 1600 (!) różnego rodzaju przedsięwzięć kulturalnych, edukacyjnych i promocyjnych, jakie rocznie przygotowuje dąbrowska biblioteka dla łącznie ponad 20 tys. uczestników. Wiele uwagi poświęcamy dzieciom i młodzieży, i to dla naszych najmłodszych przygotowujemy takie projekty,



jak Akademia Sukcesu, Noc z Andersenem, Festiwal Moli Książkowych, Cała Polska Czyta Dzieciom, Wiejskie Lato, Akcja Zima, Festiwal Piosenki Anglojęzycznej, Przegląd Teatrzyków Obcojęzycznych, Zabawy w Bajecznej Polanie, Klub Wróbelka Elemelka, Klub Pchły Szachrajki.

Biblioteka organizuje wiele konferencji, wystaw, prowadzi lekcje biblioteczne, współpracuje z dziesiątkami partnerów, prowadzi także własną działalność wydawniczą (kwartalnik „Raptularz Kulturalny” oraz miesięcznik „Przegląd Dąbrowski”).

Dbałość o wizerunek, estetykę lokali bibliotecznych, stałe podnoszenie standardu obsługi użytkowników, poszukiwanie i wdrażanie oczekiwanych rozwiązań użytkowych, wreszcie doskonalenie form i narzędzi komunikacji z otoczeniem – to wszystko charakteryzuje i wyróżnia bibliotekę w Dąbrowie Górniczej. Jest to instytucja nowoczesna, dynamiczna, na miarę XXI wieku.

Paweł Duraj



Biblioteki przyszłości

Czy w czasach tak radykalnych i dynamicznych zmian cywilizacyjnych, społecznych, kulturowych publiczna biblioteka obroni się jako instytucja kultury – a jeśli tak, to jaki winna przyjąć kształt i charakter, aby efektywnie uzasadniła potrzebę własnego istnienia?

Czy wobec malejącego zainteresowania najbardziej tradycyjną formą kontaktu z biblioteką – kontaktem czytelniczym – istnieje uzasadnienie dla kontynuowania bibliotecznego misji?

Próbując odpowiedzieć na te pytania, zwróćmy uwagę na zupełnie podstawowy, a niekwestionowany w zasadzie fakt, że to właśnie biblioteki publiczne spośród wszystkich instytucji kultury (domy kultury, muzea) uczyniły najwięcej i zrobiły największy krok w przekształcaniu własnej formuły na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat. Dyrektorzy bibliotek publicznych, często intuicyjnie, choć w coraz większym stopniu bardzo świadomie, planowo i strategicznie podejmują wysiłek przekształcenia wypożyczalni książek w centra informacyjne, edukacyjne, kulturotwórcze, nakładając na siebie nowe obowiązki i zadania.

Stereotyp smutnego, szarego, nudnego miejsca, pełnego przerażających rzędów regałów z książkami – bardziej strzeżonych niż udostępnianych przez groźnie wyglądającą bibliotekarkę – zaczyna powoli odchodzić do lamusa. Na naszych oczach powstaje nowa formuła publicznej biblioteki, miejsca przyjaznego, proponującego szeroką ofertę własnej aktywności, otwartego na zmieniające się okoliczności i oczekiwania, dbającego o własny wizerunek.

Ludzie

Wszystko zaczyna się od ludzi. Biblioteka to przede wszystkim ludzie. Jeszcze lepiej niż kiedyś wykształceni, wyspecjalizowani w swoich dziedzinach, nowocześnie myślący, dbający o własny wizerunek. Ci od pierwszego kontaktu z użytkownikiem – bardziej przyjaźnie i przychylnie nastawieni, uśmiechnięci, coraz częściej specjaliści od informacji ogólnej i dziedzinowej, a nie stereotypowi bibliotekarze. Ci organizujący funkcjonowanie biblioteki – otwarci na nowe wyzwania i aktywnie poszukujący nowych form pracy dla swoich instytucji, otwarci na współpracę, rozumiejący rynkowe, klienckie uwarunkowania, w jakich przychodzi pełnić biblioteczną misję.

Zasoby

W dobie łatwej dostępności i powszechności informacji biblioteki publiczne tracą

pierwzoplanową rolę elitarnego, a zarazem dostępnego dla wszystkich magazynu książek. Popularna, bo samowystarczalna niegdyś, księżnica musi (!) otworzyć się na zasób informacyjny. Trudno dziś wyobrazić sobie bibliotekę publiczną niepozyskującą zasobów cyfrowych, pozbawioną form multimedialnych czy audiowizualnych. Biblioteki, jak się wydaje, właściwie zrozumiały swoją misję. Czy w ramach rywalizacji tradycyjne książki skazane są ostatecznie na odroczone w czasie, acz nieuchronną porażkę? Pytanie to wymaga osobnego omówienia. Na razie zwróćmy uwagę na znakomitą ofertę rynku wydawniczego, który kusząc czytelników bogatym „menu” książkowym, daje bibliotekom atut bycia depozytariuszami wszelkich wspaniałości owego menu. Oczywiście pozostaje „drobny szczegół” finansowych możliwości bibliotek. Poza sporem pozostaje fakt, że te, którym udaje się aktualizować swój zasób książkowy w stopniu satysfakcjonującym czytelników, również i w tym tradycyjnym kontakcie czytelniczym, skutecznie bronią swojej pozycji. Warto pamiętać, że statutowo i ideowo biblioteka pełni jeszcze jedną rolę pomijaną i niedostrzeganą w pogoni za użytkownikiem – rolę skarbnicy zasobów. Funkcja gromadzenia zbiorów nakłada na biblioteki obowiązek pozyskiwania zbiorów we wszelkich dostępnych postaciach fizycznych – od tradycyjnych, papierowych książek i czasopism poczynając, poprzez mikroformy, kartografię, płyty, kasety, po audiobooki, multimedia, zbiory audiowizualne, cyfrowe zasoby informacyjne.

Nowe formy aktywności

To, co w największym stopniu zadecydowało o zmianie formuły biblioteki publicznej, to poszerzenie formuły wypożyczalni książek. Biblioteki publiczne przekształcają się na naszych oczach w „przedsiębiorstwa” produkujące wiele dóbr dzięki posiadanym zasobom. Promocja czytelnictwa i bibliotek jako takich, działalność wydawnicza i wystawiennicza, przemysłowe propozycje dla rozmaitych grup i środowisk, poczynając od dzieci, a kończąc na seniorach, warsztaty, akademie, festiwale, spotkania autorskie, kluby dyskusyjne i czytelnicze, rozliczne propozycje edukacyjne i informacyjne – to zaledwie zarys oferty, która nadała nowy sens i tchnęła życie w obumierające nieprzychylnym stereotypem bibliotekarstwo publiczne. Nie ma już innej drogi jak właśnie ta, obfitująca w często zaskakujące owoce przychylności społecznej, zainteresowania się biblioteką pod kątem indywidualnych potrzeb czytelników.

Wizerunek

Warunki, w jakich przychodzi użytkownikom obiektów bibliotecznych z nich korzystać, estetyka funkcjonalno-użytkowa, nie są bez

znaczenia w zabiegach o pozyskanie czy utrzymanie bibliotecznego klienta. W tym kontekście czasy odisnęły swój ślad, wymuszając dbałość o wszystko, co buduje wizerunek instytucji publicznej. Do niedawna skromny zasób wyposażenia bibliotek (składający się z bibliotecznego ławy, regałów ustawionych rzędami, stolików i najczęściej niewygodnych krzesełek) wzbogaca się o poszukiwania wciąż nowych rozwiązań, aby tylko użytkownikom było wygodnie, by czuli się dobrze, by chciało im się pozostawać, wracać i polecać innym bibliotekę z jej kolorami, kwiatami, wygodnymi fotelikami, pufami dla dzieci, niestandardowymi regałami czy zmiękczającymi optykę pomieszczeń wykładzinami.

Marketing

Pojęcie dotychczas „nie-biblioteczne” zadomowiło się na dobre w publicznym bibliotekarstwie. Trudno dziś wyobrazić sobie bibliotekę lekceważącą plan marketingowy w swoim funkcjonowaniu. A to rozległy i wielowątkowy plan obejmujący (w dużym uproszczeniu) reklamę, promocję, komunikację, badanie rynku, analizę otoczenia, kształtowanie wizerunku biblioteki, czy wreszcie podejmowanie przedsięwzięć przesuujących bibliotekę bliżej publiczności. Coraz więcej bibliotek powołuje w swoich strukturach organizacyjnych dział odpowiedzialny za świadome kształtowanie i realizowanie w polityce bibliotecznego zadań marketingowych. Te pozostałe też radzą sobie coraz śmielej w realiach własnych możliwości i warunków. Wszystkie, aspirując do rangi nowoczesnej biblioteki publicznej, zdobywają doświadczenia na drodze przekształcania swoich relacji z czytelnikami w bardziej wymagające relacje z użytkownikami, a te zamieniając stopniowo w relacje proklienckie. W coraz mniejszym stopniu czytelnik, a w coraz większym klient biblioteki decyduje o jej sposobie funkcjonowania, determinuje kierunki i tempo rozwoju.

Sytuacja, kiedy to bibliotekę można było zaprojektować i zorganizować na wiele lat, jest już nie do powtórzenia. Dziś Homero-wa drzemka natychmiast skutkować będzie jeszcze większą izolacją instytucji, w już i tak kapryśnej i wymagającej rzeczywistości. Dynamiczne zasoby, bieżący kontakt z rynkiem wydawniczym, nadążanie za technologizacją czasoprzestrzeni, tworzenie szerokiej palety własnych produktów (usług, form aktywności), rozwój osobowy i świadome używanie narzędzi marketingowych – to konieczności, bez których współczesna biblioteka publiczna nie będzie w stanie nawiązać efektywnego kontaktu z otoczeniem i jego oczekiwaniami. Pozostaje nadzieja, że spośród niedostatków środków, a czasami i sił, bibliotekom starczy determinacji i konsekwencji.

Paweł Duraj



Zagłębiowska komunikacja ma się dobrze

Z Markiem Pikulą, prezesem zarządu Przedsiębiorstwa Komunikacji Miejskiej Spółka z o.o., rozmawia Henryk Kocot

Co było głównym wyróżnikiem przyznania przez Kapitułę konkursu tytułu „Menadżera Zagłębia 2009” w kategorii „Przedsiębiorstwa duże”?

Nagroda jest sukcesem wszystkich pracowników PKM. Na to wyróżnienie pracowaliśmy

Panie Prezesie, nie mówi Pan o sobie...

Powiem więc w telegraficznym skrócie. W dzisiejszym PKM pracuję już od 1984 roku. Do 1986 roku pracowałem na stanowisku specjalisty ds. gospodarki magazynowo-materiałowej. W 1986 roku rozpocząłem naukę na wydziale

Może bliżej przyjrzymy się temu zagadnieniu.

Początki działalności przedsiębiorstwa jako samodzielnego podmiotu nie należały do łatwych. PKM dysponowało przestarzałym i wyeksploatowanym taborom, zużytą infrastrukturą techniczną. Brakowało też zabezpieczenia finansowego na jego odbudowę. Od szeregu lat firma nie ustaje w wysiłkach pozyskiwania środków na sfinansowanie przedsięwzięć inwestycyjnych niezbędnych do zapewnienia prowadzenia bieżącej działalności i warunkujących poprawę jakości usług. Już w 2004 roku sosnowiecki PKM przystąpił do realizacji przedsięwzięć inwestycyjnych o charakterze proekologicznym – m.in. modernizacji gospodarki cieplnej czy termomodernizacji obiektów. W 2005 roku przystąpiono do realizacji wielkiego programu odbudowy taboru autobusowego. Program ten trwa. Pozyskaliśmy środki z UE, dzięki czemu weszły do eksploatacji autobusy najnowszej generacji, wyposażone w przyjazne środowisku naturalnemu silniki, spełniające wymagane normy emisji spalin. Nowoczesne autobusy wyposażone są także m.in. w elektroniczne systemy informacji pasażerskiej, sterowania pracą drzwi, wysokowydajny system ogrzewania i wentylacji oraz przyjazną podróżnym przestrzeń pasażerską, podnoszącą komfort podróżowania. W ramach tego programu pozyskaliśmy ponad 24 mln zł na zakup 72 niskopodłogowych autobusów nowej generacji, które są przyjazne pasażerom, zwłaszcza niepełnosprawnym. Całkowity koszt inwestycji sięgał 70 mln zł.

Z tym programem wiąże się historia autobusu Solaria Turbino 18 Hybrid.

Owszem. Kupiliśmy go w ubiegłym roku. To pojazd, który dzięki innowacyjnej technologii hybrydowej (połączenie napędu spalinowego z elektrycznym) zużywa znacznie mniej paliwa niż klasyczny autobus z silnikiem spalinowym.



Jelcz 043. Fot. arch. PKM

długo. Ja tylko koordynowałem pracę. Od kilku lat stawiamy na inwestycje w jakość. Gwoli przypomnienia powiem, iż sosnowiecki PKM realizuje autobusowe zadania przewożowe na terenie 17 gmin województwa śląskiego. Administruje dwoma oddziałami eksploatacyjnymi w Sosnowcu i Dąbrowie Górniczej oraz oddziałem remontowym w Będzinie. Dziennie na trasy aglomeracji wyjeżdża ok. 200 autobusów, z czego połowa to autobusy nowej generacji, w tym jeden z dwóch w Polsce z napędem hybrydowym, wykonujący blisko 18 mln km rocznie.

Przedsiębiorstwo Komunikacji Miejskiej Sp. z o.o. w Sosnowcu jest przykładem firmy modelowo przeprowadzającej procesy przekształceń w efektywne przedsiębiorstwo transportu miejskiego. Utworzone w 1991 roku na bazie ówczesnego WPK w Katowicach stanowi dziś filar Komunikacyjnego Związku Komunalnego aglomeracji katowickiej (KZK GOP), będąc samodzielną spółką, której udziałowcami są gminy: Sosnowiec, Dąbrowa Górnicza, Będzin oraz Czeladź. W ciągu kilku ostatnich lat firma sukcesywnie wymienia tabor autobusowy i funkcjonuje w zgodzie z wdrożonym Zintegrowanym Systemem Zarządzania Jakością, Środowiskiem i BHP, w tym bezpieczeństwem przeciwpożarowym.

prawa Uniwersytetu Śląskiego. Pracę magisterską obroniłem w 1991 roku. Trzy lata później, czyli od 1994 roku do przeobrażenia Zakładu w Spółkę pełniłem funkcję dyrektora ds. ekonomicznych, a zarazem głównego księgowego. Na stanowisku prezesa zarządu Spółki pracuję od 2003 roku do chwili obecnej.

Wspomniał Pan o inwestycjach w jakość.

Autobus Solaria Turbino 18 Hybrid. Fot. arch. PKM





Urbino w tej wersji emituje mniej zanieczyszczeń, co stawia go w rzędzie najbardziej ekologicznych pojazdów autobusowych na rynku. Przypomnę tylko, że w Europie jest ich jedynie kilkanaście. Jeżdżą w czterech krajach: Francji, Szwajcarii, Niemczech i w Polsce. Poza Sosnowcem jeszcze w Poznaniu.

Spółka posiada jeszcze tabor zabytkowy w postaci Jelcza 043. Jak on się ma do Solaria Turbino 18 Hybrid?

Jak komputer do liczydła.

Ostatnio w Centrum Targowo-Wystawienniczym EXPO SILESIA (20-21 maja) odbyły się Międzynarodowe Targi Transportu Publicznego. W jaki sposób sosnowiecki PKM zaznaczył swoją obecność?

Zaprezentowaliśmy naszego Urbino 18 Hybrid. Podczas targów odbyła się także konferencja, na której przedstawiono zalety tego autobusu, a omówił je dyrektor ds. technicznych Piotr Drabek. Naszym kolegom z branży zarówno

z kraju, jak i zagranicą przybliżyliśmy historię PKM oraz perspektywę rozwoju na najbliższe lata oraz klucz do sukcesu Spółki.

Spotkało się to z dużym zainteresowaniem? Tak, odwiedziło nas około 90 osób, w tym goście z zagranicy.

Jakie są więc czynniki sprawcze sukcesu firmy w sytuacji dynamicznego rozwoju transportu indywidualnego?

W przeciągu kilkunastu lat istnienia PKM w Sosnowcu nieprzerwanie umacnia swoją pozycję niezawodnego przewoźnika oraz lidera usług w regionie. Dzisiejszy współczynnik przewozowy wynosi aż 99,96 proc. zamówionych zadań i jest najwyższym w historii Spółki i jednym z najwyższych w kraju. Sosnowiecki PKM jest przygotowany do podejmowania dziś i w przyszłości kolejnych wyzwań, w tym m.in. dalszego, bezwzględnie podnoszenia jakości świadczenia usług, wprowadzania do eksploatacji autobusów najnowszej generacji,

w tym kolejnych autobusów o napędzie hybrydowym, a także podnoszenia kultury obsługi pasażerów. Jako Spółka użyteczności publicznej dowodzi, że pełniąc ważną misję społeczną, w sposób racjonalny i skuteczny zarządza powierzonym przez samorząd terytorialny mieniem, pozyskując środki pozwalające na kolejne inwestycje, stanowiące podstawowe kryterium oceny efektywności działalności. Te czynniki sprawiają, iż transport indywidualny nie jest dla nas konkurentem. Stanowi tylko uzupełnienie transportu publicznego.

Jaką pozycję zajmuje sosnowiecki PKM w KZK GOP?

Wiodącą. Jesteśmy największym usługodawcą w dziedzinie transportu publicznego (autobusowego) w śląsko-zagłębiowskiej aglomeracji. Kończąc naszą rozmowę chciałbym życzyć Panu prezesowi utrzymania prestiżowej, pierwszej pozycji na rynku oraz dalszych sukcesów w kierowaniu Spółką.

Kobiety kobietom

Stowarzyszenie Aktywne Kobiety z Sosnowca realizuje projekt „Chcę, mogę, potrafię – wsparcie działalności społecznej w gminie Irządze”, w ramach którego liderki wiejskie z dwóch nowych Stowarzyszeń kobiecych w gminie Irządze zdobywają praktyczne umiejętności niezbędne w pracy pozarządowej oraz wiedzę z zakresu skutecznego działania. Około roku temu, dzięki wsparciu władz powiatu zawierciańskiego i władz gminy Koła Gospodyń Wiejskich w Irządach, przekształciły się w stowarzyszenia i uzyskały osobowość prawną. Teraz funkcjonują jako Stowarzyszenie Kobiet Aktywnych „W kobietach siła” oraz Stowarzyszenie Koło Gospodyń Wiejskich. Do tej pory zajmowały się tradycyjną działalnością wiejską, organizując dożynki, zabawy ludowe. Teraz, by działać skutecznie w ramach organizacji pozarządowej, muszą nauczyć się pozyskiwania funduszy, zarządzania i rozliczania projektów społecznych, skutecznego kierowania stowarzyszeniem i zespołem ludzi. Stowarzyszenie Aktywne Kobiety z Sosnowca, organizacja pozarządowa działająca na rzecz kobiet już od 8 lat podczas warsztatów i konsultacji dzieli się z liderkami wiejskimi swoim bogatym doświadczeniem. Same kiedyś zaczynałyśmy od zera, było bardzo trudno, bo nikt nie dzielił się z nami swoją wiedzą. Wiemy, że bez wsparcia merytorycznego rozwinięcie działalności organizacji jest prawie niemożliwe, zwłaszcza na terenach wiejskich, gdzie mieszkańcy mają ograniczony dostęp do informacji – mówi koordynatorka projektu, Monika Sobańska. Spotkania w ramach projektu „Chcę, mogę, potrafię – wsparcie działalności społecznej

w gminie Irządze” odbywają się od marca do czerwca 2010 roku i obejmują następujące tematy: planowanie projektów społecznych, aktywizacja mieszkańców do działania, ramy prawno-księgowe działalności społecznej, promocja organizacji i współpraca z mediami. Po warsztatach rozpoczną się konsultacje, podczas których będzie można zasięgnąć fachowej porady ekspertek pozarządowych w wybranych zagadnieniach.

Udział w zajęciach jest bezpłatny, gdyż przedsięwzięcie współfinansowane jest z Europejskiego Funduszu Społecznego w ramach Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki.

Współpraca ze społecznością lokalną to wyzwanie. W środowisku wiejskim tkwi ogromny potencjał i pomimo że nietatwo go wydobyć, warto podejmować się takich przedsięwzięć. Mieszkańcy „małych ojczyzn” chętnie angażują się w warsztaty i projekty, dzięki którym mogą zmienić na lepsze swoją okolicę. Nie przemawia przez nich wielkomiejska pewność siebie, tylko prawdziwe zainteresowanie miejscem zamieszkania i wspólnym dobrem. Podnoszenie świadomości społecznej kobiet ze środowiska wiejskiego jest niesamowicie ważne – mówi Monika Sobańska, koordynatorka projektu. Liderki wiejskie z Irząd chcą rozwiązywać lokalne problemy, które są uciążliwe dla wszystkich mieszkańców gminy. Na moich warsztatach powstają projekty społeczne, które dotyczą nielegalnego wyrzucania śmieci przez mieszkańców okolicznych miast, zagrożenia alkoholizmem w gminie, czy małej integracji mieszkańców i dialogu międzypokoleniowego między seniorami a młodzieżą – dodaje. Razem postaramy się pozyskać fundusze na ich realizację.

Monika Sobańska, Anna Tkocz

Projekt współfinansowany jest ze środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego

KAPITAŁ LUDZKI
Europejski Fundusz Społeczny

Stowarzyszenie Aktywne Kobiety z Sosnowca

Człowiek – najlepsza inwestycja



CHCĘ! MOGĘ! POTRAFIĘ!

wsparcie działalności społecznej w gminie Irządze

STOWARZYSZENIE AKTYWNE KOBIETY

STOWARZYSZENIE AKTYWNE KOBIETY
Stowarzyszenie Aktywne Kobiety
ul. 3 Maja 11, 41-200 Sosnowiec
e-mail: stowarzyszenie@aktywne-kobiety.org.pl
tel. 0-52 266 18 25
fax 0-52 266 18 72
www.aktywnekobiety.org.pl





Siewierz bije własne dukaty

Z inicjatywy Burmistrza Miasta i Gminy Siewierz Zdzisława Banasia wybito 20 000 sztuk dukatów lokalnych. „4 Dukaty Siewierskie” z mosiądzu o średnicy 27 mm, wykonane zostały w Mennicy Polskiej S.A. w Warszawie dla upamiętnienia 220 rocznicy przyłączenia Księstwa Siewierskiego do Rzeczypospolitej Polskiej. Wybite dukaty nawiązują do tradycji bicia Czerwonych złotych (dukatów) za czasów panowania książąt siewierskich.

Akcja promocyjna dukatów siewierskich rozpoczęła się 1 maja na Zamku Siewierskim i trwać będzie do 31 sierpnia tego roku. W tym czasie dukaty będzie można nabyć w cenie odpowiadającej ich nominalowi, czyli 4 zł. Po tym okresie jego cena zostanie uwolniona, a

wartość rynkowa niewątpliwie wzrośnie. Dla tego taką niecodzienną pamiątkę zachęcamy nabyć w okresie promocyjnym. Szczegółowe zasady sprzedaży, obrotu i wymiany dukatów siewierskich określa Regulamin Akcji Promocyjnej dostępny na stronach internetowych www.dukatlokalny.pl, www.kultura-siewierz.com i www.siewierz.pl. Dla „wytrawnych koneserów numizmatyki i kolekcjonerstwa” dodatkowo zostały wydane okolicznościowe blistry z załączonym dukatem „4 Dukaty Siewierskie” w cenie 20 zł.

Dukat Siewierski oraz blistry opracowane zostały przez zespół w składzie Henryk Wysocki – dyrektor Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury w Siewierzu, Artur Rok – historyk, kustosz Izby Tradycji i Kultury Dawnej w Siewierzu, Edward Sołtysik – publicysta, badacz dziejów Ziemi Siewierskiej. Wykonanie projektu dukata lokalnego powierzono Sławomirowi Micek.

Patronat nad akcją promocyjną sprawuje Burmistrz Miasta i Gminy Siewierz Zdzisław Banaś. Dukaty można nabyć w Izbie Tradycji i Kultury Dawnej w Siewierzu oraz Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury. Ponadto dukaty są sprzedawane, wymieniane lub wydawane jako „reszta” na życzenie klienta w punktach

handlowych i gastronomicznych oznakowanych napisem i wizerunkiem dukata siewierskiego, który jest chroniony prawem i posługiwanie się nim wymaga zgody emitenta.

Dla „wytrawnych koneserów kolekcjonerstwa” dodatkowo zostały wydane okolicznościowe blistry z załączonym dukatem „4 Dukaty Siewierskie” w cenie 20 zł. Zapytania o okolicznościowe blistry trafiają nie tylko od mieszkańców ziemi siewierskiej, ale i od gości z ościennych miast i gmin. Warty odnotowania jest również fakt, że cieszą się one dużą popularnością także wśród numizmatyków. Można je nabyć w Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury oraz w wytypowanych punktach Promotorów Dukata Siewierskiego, którymi są: Piekarnia D.J.K. Bujny Rynek 6, Restauracja „Jędrusiowa Izba” Joanna Cygan Rynek 18, Hotel-Restauracja „Prestige” A. Opach ul. 11 Listopada, Lodziarnia Bożena Cholewa Rynek 27, Lodziarnia Jerzy Duda Rynek 15 oraz Oberża Złota Gęś – Marek Kubik ul. Bytomska 59 i ul. Warszawska 46.

„4 Dukaty Siewierskie” na forach internetowych otrzymują pochlebne opinie numizmatyków i kolekcjonerów z całej Polski.

Trzeci sektor



Stowarzyszenie RAZEM NA RZECZ GMINY PSARY

Stowarzyszenie „RAZEM” NA RZECZ GMINY PSARY zostało powołane 8 listopada 2006 roku przez grupę osób działających w interesie mieszkańców gminy Psary. Zgodnie z wolą założycieli Stowarzyszenie utworzyło pięć sekcji: kultury, sportu, ekologii, promocji i edukacji. Stowarzyszenie opiera się na społecznej pracy swoich członków, nie prowadzi działalności gospodarczej. Pozyskane środki finansowe służą realizacji celów statutowych i nie mogą być przeznaczone do podziału pomiędzy członków Stowarzyszenia. Celem stowarzyszenia jest promocja gminy i zaspokojenie potrzeb jej mieszkańców. Cele osiąga zdobywając środki finansowe z: Samorządu Województwa Śląskiego, Fundacji J&S Pro Bono Poloniae, Polskiej Fundacji Dzieci i Młodzieży, Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności, Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej,

Fundacji Wspomagania Wsi.

Członkowie Stowarzyszenia podejmują inicjatywy, które:

- pomagają pobudzić społeczną aktywność – dają szansę na twórcze działanie dzieci, młodzieży i dorosłych,
- pozwalają na realizację różnorodnych zainteresowań i pasji,
- integrują mieszkańców,
- pobudzają wyobraźnię,
- uwrażliwiają, pomagają zrozumieć, wzbudzają szacunek i uznanie dla dziedzictwa kulturowego naszych przodków,
- stwarzają młodym ludziom możliwości zdobycia cennej wiedzy i umiejętności niezbędnych do aktywnego uczestnictwa w życiu społecznym,
- inspirować do szukania korzeni oraz historii i dziejów swoich rodzin,
- przypominają i przekazują na-

stępny pokoleniom istotę i znaczenie zanikających tradycyjnych umiejętności (ginące zawody) i technik wytwarzania.

W ciągu swojej ponad 3-letniej działalności Stowarzyszenie zrealizowało wiele projektów. Wspólnie z Urzędem Gminy w Psarach, Gminnym Ośrodkiem Kultury i Zarządem Gminnym KGW od kilku lat organizuje konkurs „Partnerstwo na rzecz kultury Gminy Psary” skierowany do organizacji społecznych oraz młodzieżowych grup nieformalnych z terenu gminy. Celem konkursu jest integracja i aktywizacja małych środowisk wiejskich poprzez lokalne działania animacyjno-kulturalne. W drodze konkursu dofinansowuje się także projekty odzwierciedlające społeczno-kulturalne potrzeby środowiska.

IX Festiwal Strachów. Fot. arch. Gmina Psary





Finał XIV konkursu wiedzy technicznej

23 kwietnia 2010 roku w samo południe, po raz pierwszy w nowej siedzibie Wydziału Informatyki i Nauki o Materiałach w Sosnowcu przy ul. Żytniej 12, rozpoczęła się uroczystość wręczenia nagród i wyróżnień finalistom XIV Konkursu Wiedzy Technicznej. Jest to impreza cykliczna organizowana – co roku z nadejściem wiosny – przez Zakład Dydaktyki Przedmiotów Technicznych Wydział Informatyki i Nauki o Materiałach Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Jej celem jest zainteresowanie młodzieży – uczniów ponadgimnazjalnych szkół ogólnokształcących i techniczno-zawodowych naszego regionu – techniką, a także promowanie wśród młodego pokolenia Polaków korzyści płynących z wyboru przedmiotów ścisłych na egzaminach maturalnych.

Konkurs, którego pomysłodawcą jest prof. dr hab. Jan Ilczuk – długoletni kierownik Zakładu Dydaktyki Przedmiotów Technicznych i obecny Dziekan Wydziału Informatyki i Nauki o Materiałach, organizowany jest od 1997 roku i składa się z dwóch etapów. Pierwszy odbywa się na terenie szkoły, ma na celu wyłonienie reprezentacji szkoły. W tegorocznym szkolnym etapie konkursu uczestniczyło łącznie ok. 550 uczniów.

Nagrody ufundowali: prof. dr hab. Wiesław Banyś, rektor Uniwersytetu Śląskiego oraz – Kazimierz Górski, prezydent Sosnowca – Zbigniew Podraza, prezydent Dąbrowy Górniczej, Adam Lazar, starosta Powiatu Będzińskiego, Robert Ruta, dyrektor Szkoły Językowej Profi Lingua, Grzegorz Pisalski, poseł na Sejm RP. Dzięki tym wszystkim sponsorom i sympatykom Wydziałowa Komisja Konkursowa pod przewodnictwem prof. dr hab. Jana Ilczuka mogła przyznać nagrody nie tylko uczniom, którzy zajęli trzy pierwsze miejsca, ale także 22 uczniom, którzy w punktacji generalnej zdobyli najwyższą liczbę punktów.

Zwycięzcą XIV Konkursu Wiedzy Technicznej został Rafał Szalecki z sosnowieckiego IV LO im. St. Staszica, który zdobył 59 z 72 możliwych do zdobycia punktów. Miejsce drugie przypadło ubiegłorocznemu zwycięzcy XIII edycji Konkursu – Jakubowi Klimowi (56 punktów) – z VI Liceum Ogólnokształcącego im. Janusza Korczaka w Sosnowcu. Na trzecim miejscu znaleźli się ex aequo dwaj uczniowie z I LO im. Króla Kazimierza Wielkiego w Olkuszu – Michał Czernek i Szymon Guguła, którzy uzyskali po 53 punkty.

Iwona Kantorysińska



Nagrodę odbiera Jakub Klim z VI LO w Sosnowcu, laureat II miejsca w XIV Konkursie Wiedzy Technicznej, zwycięzca ubiegłorocznej edycji konkursu. Fot. arch. Gmina Psary

Energetyka dla regionu



TWÓRCZA NATURA ENERGII

 Śląskie. Pozytywna energia

Projekt Zrównoważony rozwój społeczności lokalnych Zagłębia Dąbrowskiego w „Nowym Zagłębiu” i w Internecie współfinansowany jest przez Zarząd Województwa Śląskiego

www.tauron-pe.pl

 **TAURON**
POLSKA ENERGIA

Lewiatan

Pracodawcy miastu

24 maja 2010 roku w Urzędzie Miejskim w Sosnowcu odbyła się konferencja pod hasłem: „Wpływ aktualnej sytuacji makroekonomicznej na prowadzenie działalności gospodarczej w regionie. Prognoza na II półrocze 2010 r. Informacja na temat rozwoju i zamierzeń inwestycyjnych miasta Sosnowiec.” Organizatorem konferencji był Śląski Związek Pracodawców Prywatnych „Lewiatan”. Zaproszenie do udziału w tym panelu skierowano przede wszystkim do środowiska przedsiębiorców i administracji regionu Zagłębia. Celem konferencji była identyfikacja najistotniejszych oddziaływań, będących wynikiem aktualnej sytuacji makroekonomicznej, wpływających na prowadzenie działalności gospodarczej. Konferencję otworzył Bartosz Daczyński, Prezes Śląskiego Związku Pracodawców Prywatnych (na zdjęciu). Prezydent Miasta Sosnowiec, Kazimierz Górski, w blisko godzinny występ, przybliżył słuchaczom najważniejsze wyzwania, z jakimi musiał zmierzyć się samorząd sosnowiecki w ciągu ostatnich 20 lat. Uwaga została skupiona głównie na tym, jak radzono sobie z przemianami gospodarczymi, związanymi z transformacją ustrojową. Wśród uczestników panelu znaleźli się także: Dariusz Winek, Główny Ekonomista Banku, Dyrektor Departamentu Analiz Makroekonomicznych i sektorowych Banku BGŻ S.A. oraz Marcin Brendota – Ekspert ds. analiz biura maklerskiego ALIOR BANK. Podczas konferencji poruszone zostały problemy, z jakimi dzisiaj muszą się zmagać polskie miasta, kiedy przychodzi im finansować inwestycje oraz pozyskiwać fundusze unijne. Eksperci chwalili samorządy za to, że są partnerską władzą, na którą mogą liczyć przedsiębiorcy. Podsumowaniem spotkania była konkluzja, że Polska jest zieloną wyspą na gospodarczej mapie Europy. Przyczyniły się do tego: duch prywatnej przedsiębiorczości oraz solidna praca samorządów.

Fot. arch. UM Sosnowiec



Jubileusz Kazimierza Wielkiego – w jaworznickiej „Budowlance”

Tak tedy król ten ponad wszystkich monarchów polskich dzielnie rządził Rzeczpospolitą; albowiem jak drugi Salomon podniósł do wielkości dzieła swoje – murował miasta, zamki, domy – pisze z kronikarską dumą świadek panowania, Janko z Czarnkowa. Wtóruje poprzednikowi najsłynniejszy z kronikarzy, Jan Długosz, słowami znanymi każdemu polskiemu dziecku: Zastawisz Polskę glinianą, drewnianą i nieschludną, pozostawił ją murowaną, ozdobną i wspaniałą.

W ten sposób charakteryzują króla Kazimierza jemu współcześni. Potomni uznali zasługi ostatniego Piasta i przyznali mu tytuł Wielkiego.

Ostatniego kwietnia 2010 roku 700 lat minęło od jego narodzin, a przecież sława Kazimierza w narodzie wcale nie minęła. Powstało nawet Stowarzyszenie Miast Króla Kazimierza Wielkiego, którego przedstawiciele postanowili już od teraz, jak najstaranniej czcić pamięć naszego Dobrodzieja, ostatniego z Piastów, syna Łokietka i Jadwigi.

Poza miastami, czującymi związek emocjonalny z ostatnim z Piastów, choćby dlatego, że za jego czasów powstało kilkadziesiąt nowych grodów, zamków i warowni, do Stowarzyszenia przystąpiło również wiele szkół, noszących imię króla Kazimierza.

Jedną z nich jest Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych im. Kazimierza Wielkiego w Jaworznie. Imię królewskie przyjął, gdy po raz kolejny reforma szkolnictwa sprawiła, że zmieniono nazwę szkoły – kiedyś zasadniczej zawodowej, potem zespołu szkół zawodowych, wreszcie ponadgimnazjalnych. Dlaczego akurat takie imię? Po pierwsze – szkoła powstała jako „przyzakładowka” budowlana. Po drugie – król budownictwem był wslawiony. Po trzecie wreszcie

– miejscowa legenda powiada, że ongiś, przed wiekami, młody król Kazimierz wybrał się na polowanie. Być może w drodze z Krakowa do Będzina, leżącego po sąsiedzku nad Przemszą, gdzie właśnie w miejscu grodu wznosił kamienną warownię, a osadę targową podniósł do rangi miasta na prawie niemieckim i otoczył ją kamiennymi murami. Spotkał więc w jaworowym lesie drwali, którzy pytani przez władcę: Co robicie dobrzy ludzie? – mieli odpowiedzieć: Jawor se zna, panie. Tak właśnie nazwa miasta miała się zrodzić. Powodów więc było dosyć, aby młodzież w głosowaniu powszechnym uznała propozycję za własną.

I tak się stało, że odkąd król patronat nad szkołą zaczął pełnić, ZSP nr 1 wyraźnie w mieście i poza jego granicami uznanie zdobywa coraz większe. Tym bardziej, że tak dyrekcja, jak również nauczyciele o rozsławianiu placówki dbają gorliwie i umiejętnie. Praktycznie nie ma imprezy, która głównym echem nie odbiła się we wszystkich lokalnych (i nie tylko) mediach. A jest ich naprawdę dużo – wystarczy wejść na stronę internetową www.zsp1.jaworzno.edu.pl, żeby się samemu przekonać. Szkoła kształci w wielu zawodach – techników budownictwa, mechaników pojazdów samochodowych, usług fryzjerskich, turystycznych. Są klasy wielozawodowe i szkoły dla dorosłych. Właśnie z myślą o starszych uczniach w celu promowania ciągłego kształcenia, doskonalenia zawodowego i podnoszenia kwalifikacji zawodowych osób dorosłych szkoła realizuje projekt współfinansowany przez Unię Europejską w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego, „Szkoła otwarta dla dorosłych”. Głównym celem projektu jest modernizacja systemu kształcenia ustawicznego i upowszechnienie



nienie edukacji osób dorosłych w regionie. Od grudnia 2009 do 9 czerwca 2010 roku uczniowie uczestniczą w projekcie „Akademia Kompetencji Kluczowych” współfinansowanym z środków EFS. Realizacja projektu ma na celu umożliwienie uczniom kształcącym się w szkołach zawodowych i placówkach oświatowych prowadzących kształcenie zawodowe, rozwój kompetencji kluczowych poprzez udział w specjalnie przygotowanych zajęciach pozalekcyjnych. Dodatkowe zajęcia pozwolą na wyrównanie szans edukacyjnych, rozwój kompetencji, a w efekcie zwiększenie szans na zatrudnienie lub kontynuację edukacji.

Od marca do czerwca 2010 roku szkoła uczestniczy w projekcie „Młodzieżowa Akademia Samorządowa”. Projekt ten jest współfinansowany przy wsparciu udzielonym przez Islandię, Lichtenstein i Norwegię ze środków Mecha-



nizmu Finansowego Europejskiego Obszaru Gospodarczego, Norweskiego Mechanizmu Finansowego oraz budżetu Rzeczypospolitej Polskiej w ramach Funduszu dla Organizacji Pozarządowych. Uczestnictwo w projekcie jest całkowicie bezpłatne dla uczestników.

Szkoła ma swoje logo, a nawet – hymn, do którego muzykę napisał absolwent ZSP nr 1, (ukończył również Akademię Muzyczną w Katowicach), klawiszowiec zespołu Universe, Roman Jońca.

Są również inne projekty i inicjatywy, które sprawiają, że chętnych do nauki jest z każdym rokiem więcej.

Wydarzeniem, które ostatnio zgromadziło wielu zainteresowanych z miasta i z innych miejscowości – były właśnie urodziny króla Kazimierza Wielkiego. Przybyły władze miasta z zastępcą prezydenta Jackiem Nowakiem, goście z Kruszwicy i Buska-Zdroju, przedstawiciele zaprzyjaźnionych uczelni – Politechniki Śląskiej i Wyższej Szkoły Zarządzania Ochroną Pracy w Katowicach, absolwenci i przyjaciele szkoły.

Do nich pani dyrektor Halina Jarczyk skierowała laudację zasług królewskich, w której podkreśliła: Dbał o prawo i porządek w państwie. W królewskich statutach zdecydował, że największym dobrem na świecie jest doświadczyć miłości i sprawiedliwości od bliznich, cudzego nie zabierać ani pożądać, a swego według przykazań boskich używać, by niezgodę hamować a zgodę zabezpieczyć. Jakże piękne słowa i ciągle aktualne. Czegoż więcej można pragnąć

bardziej od miłości i sprawiedliwości? Jakżeby się wspaniale żyło w świecie rządzonym przez te dwie wartości! A Kazimierz nie poprzestał na tym – zadbał z równą konsekwencją i przezornością o kształcenie narodu, który wówczas nie miał ani jednej uczelni. Powołał do istnienia Akademię Krakowską, polską Alma Mater, która niejednego uczonego świata sprezentowała, od Mikołaja Kopernika poczynając, a nie kończąc przecież wcale, bo każdego roku wydaje nowych absolwentów rozślawiających Polskę. Nic dziwnego więc, że niejedna szkoła przyjęła imię wielkiego króla, który tak bardzo dbał o wiedzę swojego narodu.

W części artystycznej wystąpiła absolwentka szkoły, Roksana Jarzynka Mulka, laureatka ogólnopolskich festiwali Łomża-Radom na Przeglądzie Piosenki Literackiej 2005 i 2006, FAMA 2005, artystka musicalu Miasto w Krakowie w reżyserii Katarzyny Cygan.

Po niej młodszy koledzy z Grupy Teatralnej

ReSpektakl wystąpili z musicaliem Kazimierz i Esterka (muzyka R. Jońca), w którym ujawnili początki długoletniej miłości Kazimierza do Żydówki, uwiecznionej narodzeniem jedynych synów władcy (niestety nieślubnych).

W finale uroczystości zagrał zespół rockowy Blockhead – w którego składzie znaleźli się absolwenci „budowlanki” – Piotr Skalka – twórca grupy, muzyk, poeta, wokalista i kompozytor oraz Remigiusz Szewczyk – perkusista. Całkiem sporo talentów jak na szkołę o profilu zawodowym!

Ale na tym nie koniec – nawet nauczyciel geografii, Andrzej Woźniak, opiewa zasługi Patrona mową wiążaną, wyjaśniając filozoficznie:

Bo wielkość nie ilością synów się mierzy / Ani tym, ilu kto miał rycerzy / – Na miano Wielkiego ten zasługuje / Kogo po śmierci lud oplakuje!

Wpisał się w ten sposób w najnowszą tendencję narodową. Ale to już temat zupełnie innej opowieści.

Tekst i fot. Zbigniew Adamczyk

Jaskółki przyznane

Zakończyła się druga część konkursu „Mistrz Rolnictwa i Przetwórstwa 2009”, w którym firmy z terenu całego kraju ubiegały się w 26 kategoriach o miano najlepszej. Kapituła konkursu wyłoniła spośród zgłoszonych przez konsumentów firmy, które otrzymały „Wyróżnienie Roku 2009”, „Nagrodę Sezonu 2009” oraz „Produkt Roku 2009”.

Laureaci 9 kwietnia tego roku spotkali się na uroczystej gali wręczenia statuetek oraz certyfikatów w dąbrowskiej restauracji „Maxim”. Nagrody wręczali: Bogusława Zaród z Wydziału Ochrony Środowiska i Rolnictwa UM w Sosnowcu, Edyta Cichopek ze Śląskiej Izby Rolniczej w Katowicach oraz redaktor

Henryk Kocot z Wydawnictwa Regiony, które jest organizatorem konkursu. Na gali swoją obecność zaznaczyło Centrum Targowo-Wystawiennicze EXPO SILESIA, dzięki obecności dyrektora projektu Targów Rolno-Leśnych AGROSILESIA Magdalena Jakóbik.

Patronat Medialny nad imprezą objęła redakcja naszego czasopisma. Wydawnictwo Regiony przypomina, iż trwa głosowanie konsumenckie drugiej edycji konkursu „Mistrz Rolnictwa i Przetwórstwa 2010”. Szczegóły na stronie www.turystycznysz-lak.pl

(Koc)

ZDZ zawsze blisko!

Zakład Doskonalenia Zawodowego w Katowicach

www.zdz.katowice.pl

35 tys. uczniów i słuchaczy rocznie

300 zawodów i kierunków kształcenia

blisko 70 szkół

ponad 30 ośrodków kształcenia

Kalendarium imprez kulturalnych

Polecamy...

Sosnowieckie Centrum Sztuki Zamek Sielecki:

W ramach projektu „Letnie granie” na dziedzińcu Zamku Sieleckiego odbędą się koncerty: **25.07** – Duo Projekt Bracia Oleś; **22.08** – World Trio.

GALERIA EXTRAVAGANCE:

26.06 (godz. 19.00) – wernisaż wystawy „Idea, materia, przestrzeń” (wystawa potrwa do **22.08**)

Do **28.08** – trwa wystawa historyczna „Zamki polskie według rekonstrukcji Jana Gumowskiego”.

Muzeum Pałac Schoena, Sosnowiec:

Do **31.07** – trwa wystawa „Dzielnice Sosnowca – Modrzejów, Niwka, Dańdówka, Bór, Bobrek, Jęzor”

Do **15.08** – trwa wystawa „Zdzisław Beksiński. Malarstwo”

Muzeum Zagłębia w Będzinie:

27.06 w Muzeum Zagłębia w Będzinie odbędzie się Jarmark Rzemiosła i Rękodzieła

27.08 – Wakacyjne Warsztaty Muzealne

Klub im. Jana Kiepury, Sosnowiec:

21.06 – „Święto Klubu”: zakończenie działalności sezonu artystycznego, wystąpią m.in.: zespół Animato, Skandal, sekcja tańca towarzyskiego, grupa teatralna „Kwadryga” i „Bambino”, Kiepurki”, Lia Fail”, wstęp wolny

28.06–9.07 – wakacje z Klubem Kiepury, szczegóły już wkrótce na stronie internetowej Klubu (<http://www.kiepura.pl/klub/index.php>)

Pałac Kultury Zagłębia, Dąbrowa Górnicza:

23.06 – 4 gitary, 4 epoki – koncert muzyki klasycznej, Sala Kameralna

25.06 – „Kabaretowe Party”, wystąpią kabarety: DNO, Statyf, Wejście Główne, Zaraz Wracam, Musker, Kredens, Wrzud oraz Grzdyl, Piwnica Teatralna

25.09 – spektakl teatralny „Dziwna para”, Sala Teatralna

KINO STUDYJNE KADR:

18.06–23.06 – „Jaśniejsza od gwiazd” (dramat, Wlk.Brytania/Australia/Franca/USA)

25.06–30.06 – „Burrowing” (dramat, Szwecja)

25.06–30.06 – „Dobre serce” (dramat, Dania/Islandia/USA)

02.07–07.07 – „Nic osobistego” (dramat, Irlandia/Holandia)

02.07–07.07 – „Samotny mężczyzna” (dramat, USA)

Bilety na wszystkie filmy w cenie: 12 zł)

Zabrze:

„Muzyczne Lato 2010” – w programie: **17.07** – Róże Europy; **24.07** – Karpowicz Family; **31.07** – Video; **7.08** – Classic; **14.08** – Carrantuohill; **21.08** – Jeden Osiem L; **28.08** – największa Dyskoteka Plenerowa na Śląsku.

Ponadto...

Teatr Śląski, Katowice:

11.06 – premiera spektaklu „Wszystko dobre, co się dobrze kończy”.

Dąbrowa Górnicza:

19.06 – III Muzealny Festyn Historyczny,

Wodzisław Śląski:

20.06 – XXX Wodzisławskie Spotkania z Folklorem (wystąpi m.in. Kapela ze Wsi Warszawa).

Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku, Chorzów:

20.06 – spektakl plenerowy „Skrzypek na dachu”,

Rondo Sztuki, Katowice:

20.06 – Rondo Muzyki: koncert zespołu Dick4Dick,

Rosarium WPKiW, Chorzów:

25.06 – rozpoczęcie Festiwalu Bezdroża Azji, w ramach festiwalu odbędą się: projekcje filmów dokumentalnych, współczesnego kina azjatyckiego, wykłady, wystawy, koncerty, pokaz tańca indyjskiego, degustacje indyjskich potraw, na zakończenie zagra Masala Soundsystem,

Koszęcin:

25–27.06 – impreza plenerowa pod nazwą „Święto Śląska”, siedziba Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”,

Miasteczko Śląskie:

26.06 – WIANKI 2010,

Tychy:

26–27.06 – Dni Tyskie, a 27–29.08 – Tyskie urodziny,

Śląski Teatr Tańca w Bytomiu:

27.06 – 10.07 – XVII Międzynarodowa Konferencja Tańca Współczesnego i Festiwal Sztuki Tanecznej,

Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie:

28.06 – XIII MIĘDZYNARODOWE SPOTKANIA FOLKLORYSTYCZNE „Z daleka i bliska”, koncerty z udziałem

zespołów pieśni i tańca z regionu i zagranicą – spotkania pod patronatem Międzynarodowej Organizacji Kultury Ludowej IOF

Rybnik:

29–30.06 – XI RYBNICKI FESTIWAL MŁODYCH TALENTÓW IM. IRENE-USZA JESZKA,

Dąbrowa Górnicza:

3–4.07 – XVI Piknik Country – impreza plenerowa, której towarzyszy zlot motocykli i pojazdów jednośladowych,

Rynek w Bytomiu:

4.07 – III Ogólnopolski Turniej Tańca Street Dance, organizator: Śląski Teatr Tańca,

Piekary Śląskie:

10.07 – Dni Miasta Piekary Śląskie oraz Piknik z Radiem Piekary (21.08),

Tychy:

25.07 – Święto Czekolady, park miejski,

Pola Marsowe, Chorzów:

30–31.07 – XII edycja Festiwalu Muzycznego im. Ryśka Riedla „Ku przestrodze”,

Dąbrowa Górnicza:

2.08 – meta II etapu 67 Tour de Pologne, **Dolina Trzech Stawów, Katowice:** **5–8.08** – OFF FESTIVAL 2010,

Rynek i ulice Wodzisławia Śląskiego

13–15.08 – Bezgraniczne Zamieszanie Teatralne,

Zamek Chudów, Gliwice:

14.08 – XI Jarmark Średniowieczny,

Skansen w Wojewódzkim Parku Kultury i Wypoczynku, Chorzów:

18.08 – Dzień Miodu,

Chorzów:

18–20.06 – Festiwal Uśmiechu,

Cieszyn:

21–29.08 – XIX Międzynarodowy Festiwal Muzyki Wokalnej „Viva Il Canto”,

Cieszyn:

26.08 – konwent miłośników fantastyki EUROCON 2010 – TRICON,

Dąbrowa Górnicza:

28–29.08 – festyn: Pożegnanie Lata i Dożynki Miejskie (m.in. Święto Plonów, zabawa taneczna).

Kalendarium opracowała: Ewa M. Walewska